

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania
PARYŻ **Nr 6/68** **1953**



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

WYWIAD Z GENERAŁEM WEYGAND

Cz. STRASZEWICZ:

KOCIOŁEK NA ZIEMOWITA

Roman JAKOBSON:

CZESI A KULTURA POLSKA

Karl JASPERS : **O KSIĄŻCE MIŁOSZA**

SPIS RZECZY :

Witold Gombrowicz :	<i>Sienkiewicz</i>	3
Michał Sambor :	<i>Literatura na emigracji</i>	13
Jan Ulatowski :	<i>Rzeczywistość — ale jaka ?</i>	19
Roman Jakobson :	<i>Polska literatura średniowiecz- na a Czesi</i>	27
Jan Wszelaki :	<i>O wschodni „Plan Schumana”</i>	43
Jan Holcman :	<i>„Falszywe i złośliwe tony”</i>	51

◆		
Czesław Miłosz :	<i>Dziecię Europy</i>	61

◆		
Czesław Straszewicz :	<i>Kociołek na Ziemowita</i>	65

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

K.A. Jeleński :	<i>Wywiad z gen. Weygand</i>	83
-----------------	------------------------------------	----

SPRAWY I TROSKI

Melchior Wańkowicz :	<i>Polacy w St. Zjednoczonych</i>	89
Zdzisław Peszkowski :	<i>Powstaniec w polatanej sutannie</i>	100

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>List z Wyspy</i>	105
Wł. Bączkowski :	<i>Kreml na nowym etapie</i>	111
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	114

KSIĄŻKI

Karl Jaspers :	<i>O książce Miłosza</i>	118
Andrzej Vincenz :	<i>Nowa antologia poezji</i>	120
Anatol Muehlstein :	<i>Świadectwo amb. Laroche'a</i> ..	127
Londyńczyk :	<i>Can Russia survive ?</i>	132
(j) :	<i>Notatki wydawnicze</i>	133
(j) :	<i>Przegląd miesięczników</i>	137
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	140

KRONIKA KULTURALNA

Tymon Terlecki :	<i>Refleksje z pokazu</i>	141
Krytyk :	<i>Film francuski prowadzi</i>	144
Jan Torosiewicz :	<i>Wystawy paryskie</i>	149
—	<i>Rozstrzygnięcie Konkursu Free Europe</i>	150

◆		
T. Drobnia, S.W. Szcze- panowski, Michał K. Paw- likowski, J. Czapski, Al. Kawałkowski, W. Zaleski:	<i>Listy do Redakcji</i>	152

◆		
—	<i>Résumé en langue française</i> ..	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec — Juin 1953

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Karl JASPERS, powszechnie uważany za najwybitniejszego z żyjących filozofów niemieckich, urodzony w r. 1883 w Oldenburg. Doktorat medycyny 1909. Sześć lat pracy jako asystent kliniki psychiatrycznej w Heidelbergu. Profesor psychologii 1916. Profesor filozofii w Heidelbergu 1921. Pozbawiony w 1937 katedry przez Nazich z powodów politycznych. Odzyskuje katedrę w 1945. Obejmuje w 1948 katedrę filozofii uniwersytetu w Bazylei, gdzie wykłada dotychczas. Główne dzieła : *Psychopatologia ogólna*, 1913; *Psychologia światopoglądów*, 1919; *Sytuacja duchowa epoki*, 1931; *Filozofia*, 1932; *Rozum i egzystencja*, 1935; *Nietzsche*, 1936; *Wina niemiecka*, 1946; *Nietzsche i chrześcijaństwo*, 1946; *O prawdzie*, 1947; *Wiara filozoficzna*, 1948; *O sensie dziejów*, 1949; *Wprowadzenie do filozofii*, 1950; *Bilans i perspektywy*, 1951.

Następny numer „KULTURY” o objętości 240 stron będzie — jak zwykle — numerem podwójnym za m-ce listopiec-sierpień.

Londyńskie biuro Redakcji „Kultury” :

Juliusz Mieroszewski

21, Fentiman Rd
London S.W.8

Tel. REL. 41-33

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, Paris (XVIII^e)

Sienkiewicz

Czytam Sienkiewicza. Dręcząca lektura. Mówimy : to dosyć kiepskie, i czytamy dalej. Powiadamy : ależ to taniocha — i nie możemy się oderwać. Wykrzykujemy : nieżnośna opera ! — i czytamy w dalszym ciągu, urzeczeni.

Potężny geniusz ! — i nigdy chyba nie było tak pierwszorzędnego pisarza drugorzędnego. To Homer drugiej kategorii, to Dumas Ojciec pierwszej klasy. Trudno też w dziejach literatury o przykład podobnego oczarowania narodu, bardziej magicznego wpływu na wyobraźnię mas. Sienkiewicz, ten magik, ten uwodziciel, wsadził nam w głowy Kmicica wraz z Wołodyjowskim oraz panem Hetmanem Wielkim i zakorkował je. Odtąd nic innego Polakowi nie mogło naprawdę się podobać, nic antysienkiewiczowskiego, nic asienkiewiczowskiego. To zaszpuntowanie naszej wyobraźni sprawiło, że wiek nasz przeżywaliśmy jak na innej planecie i nie wiele z myśli współczesnej przenikało w nas. Przesadzam ? Gdyby historia literatury przyjęła jako kryterium wpływ sztuki na ludzi, Sienkiewicz (ten demon, ta katastrofa naszego rozumu, ten szkodnik) powinien by zajmować w niej pięć razy więcej miejsca niż Mickiewicz. Któż czytał Mickiewicza z własnej i nieprzymuszonej woli, któż znał Słowackiego ? Krasiński, Przybyszewski, Wyspiański... było to coś więcej niż literatura narzucana, literatura wmuszana ? Lecz Sienkiewicz to wino, którym rzeczywiście upajaliśmy się i tu serca nasze były... i z kimkolwiek się rozmawiało, z lekarzem, z robotnikiem, z profesorem, z ziemianinem, z urzędnikiem, zawsze natrafiało się na Sienkiewicza, na Sienkiewicza jako na ostateczny, najbardziej intymny sekret polskiego smaku, polski „sen o urdzie”. Często był to Sienkiewicz zamaskowany — lub niewyznany tylko, wstydliwie tajony — albo nawet czasem zapomniany — lecz zawsze Sienkiewicz. Dlaczego po Sienkiewiczzu pisano jeszcze i wydawano książki — które nie były już książkami Sienkiewicza ?

Ażeby zrozumieć nasz romans sekretny (gdyż kompromitujący) z Sienkiewiczem, należy dotknąć sprawy drastycznej, a mia-

nowicie problemu „wytwarzania urody”. Być urodziwym, pociągającym, ponętym — to pragnienie nie tylko kobiety i, być może, im naród jest słabszy i bardziej zagrożony, tym dotkliwiej odczuwa potrzebę urody, która jest wezwaniem do świata: patrz, nie prześladuj mnie, kochaj! Lecz piękność potrzebna jest nam także, aby móc zakochać się w sobie i w swoim — i w imię tej miłości stawić opór światu. Narody zatem zwracają się do swoich artystów, aby oni wydobyli z nich piękność i stąd w sztuce piękność francuska, angielska, polska lub rosyjska. Czy ktokolwiek opracował historię urody polskiej w ciągu dziejów? Trudno o temat ważniejszy, gdyż uroda twoja określa nie tylko twój smak ale i cały twój stosunek do świata, pewne rzeczy stają ci się niemożliwe do przyjęcia nie dlatego, abys je potępiał, lecz ponieważ są „nietwarzowe”, ponieważ „szkodzą ci na typ”, ponieważ — z nimi — nie mógłbyś urzeczywistnić tej piękności, jakiej pragniesz, na jaką się stylizujesz. Tak więc kobieta, która stylizuje się na dziecko, lub na trzpiotkę, nie chce, nie lubi, nie kocha myślenia, ułan zasię musi lubić wódkę, choćby jej nie lubił, wyrostek musi kochać papierosy.

Salon de beauté Sienkiewicza jest wynikiem długiego procesu i, powtarzam, nie wiele zrozumiemy z jego oszałamiających triumfów póki nie rozejrzemy się w polskich przygodach z urodą na przestrzeni ostatnich stuleci. Weźcie do ręki literaturę naszą z XVI i XVII stulecia, a przekonacie się, że ona prawie zawsze utożsamiała urodę z cnotą. Nie było w niej miejsca na piękność, zrodzoną wyłącznie z życia, wręcz przeciwnie życie ukazywało się tutaj okiełznane moralnością i tylko młodzieniec zacyjny, bogobojny i poczciwy mógł dostąpić kanonizacji estetycznej w sztuce. To właśnie nam się dzisiaj nie podoba — to nas nudzi — to wydaje się nam nieżywotne, niepociągające. Gdyż cnota, sama w sobie, jest nieciekawa i z góry wiadoma, cnota jest załatwieniem sprawy, to jest śmiercią; grzech jest życiem. I cnota może stać się żywotna tylko jako przewyżczenie grzechu, który, poza tym, jest oryginalny, jest czymś co nas wyodrębnia i określa. Natura ludzka objawia się w grzechu, w żywotnej ekspansji, i ten kto nie zaznał takiego okresu żywotności, kto od dzieciństwa był tylko cnotliwy, nie wiele będzie wiedział o sobie. Ale ówczesnej literaturze wydawała się nie do pomyślenia myśl bluźniercza, aby Piękno mogła istnieć poza Cnotą.

Co w sposób nieunikniony musiało doprowadzić do skostnienia Formy. Typ Polaka, jaki proponowała literatura i sztuka, nie będąc dość nasycony grzechem, dość związany z życiem, musiał stać się oderwaną formułą — czyż nie tak dzieje się dzisiaj z oficjalną bolszewicką urodą młodego, rozpromienionego robotnika z uśmiechem na ustach, młotem w dłoni i spojrzeniem skierowanym w świetlaną przyszłość, która nudzi nadmiarem cnoty? I stąd ta niesłychana przygoda nasza, jaką był wiek XVIII, genialny nieomal kryzys piękności polskiej, który postawił nas oko w oko z Brzydota, z Rozwiązłością naszą... wiek sklerotycznego, starczego zeszywnienia i zarazem tępego roz-

wydrzenia, kiedy to rozbrat pomiędzy formą a instynktem wytworzył przepaść... najgłębszą chyba, jaka kiedykolwiek objawiła się sielskiemu naszemu duchowi. Nigdy, ani przedtem, ani potem, nie otarliśmy się bliżej o piekło i nie wiele warta jest myśl o Polsce i Polakach, która z lekceważeniem pomija okres saskiego błazeństwa. Ale cóż mianowicie się stało? Stało się to, że Polak poczuł się karykaturą Polaka. Jezuickie szkoły nie mogły dostarczyć urody bardziej żywotnej, więc, zrozpaczeni męczącym poczuciem okropności i śmieszności własnej, stoczyliśmy się w sklerozę i w farsę.

Bez kwestii, potężny idiotyzm nasz z tego okresu rodzi się między innymi z niezaspokojonego pragnienia urody. Polska ówczesna to po prostu naród który nie umie być piękny. Na dnie owego kontredansu opasłych szlachciców dostrzegać się daje rozpacz wskutek niemożności dotarcia do źródeł żywego wdzięku, to dramat istot zmuszonych zaspakając się takimi namiastkami jak ceremoniał, honory, godności i wyładowywać się w uroczystym rytuale, podczas gdy obżarstwo, lubieżność i pycha nie znajdują już żadnego hamulca. Jaka szkoda niepowetowana, że saska groteska nie została doprowadzona do swych ostatecznych konsekwencji! Gdyż to samoudręczenie w brzydocie, w głupocie zawiodłoby nas prawdopodobnie do wyższych postaci piękności i rozumu — ten dręczący konflikt z formą, która stała się nam wroga, mógłby znakomicie wydoskonalic naszą wrażliwość na formę — i, kto wie, może uzyskalibyśmy w ten sposób lepsze zrozumienie tego nieuleczalnego rozdźwięku, jaki istnieje między człowiekiem a jego formą, jego „stylem” — a ta myśl pozwoliłaby nam dostrzec na koniec istnienie Formy, jako takiej, sprawiłaby, że nie tylko „styl polski” ile stosunek nasz, jako ludzi, do tego stylu, stałby się najważniejszą naszą troską. Tak, dokonilibyśmy, być może, ważnych odkryć, dotarlibyśmy do idei płodnych, nowych, gdyby... gdyby nie Mickiewicz. Niestety! Mickiewicz złagodził nam bóle, nauczył nas nowej piękności, która na długie lata stała się obowiązującą i sprawił, że znowu staliśmy się zadowoleni z siebie.

Gdybyż to była dobra robota!... Ale prawdziwej piękności nie osiąga się przemilczaniem brzydoty. Nie wiele zdołacie dokonać ze swoim ciałem, jeśli wstydlivość nie pozwoli wam rozebrać się do naga. A cnota nie polega na ukrywaniu grzechów, ale na ich przewyżczeniu, cnota prawdziwa nie tylko nie boi się grzechu, ale go szuka — gdyż on jest racją jej istnienia. Sztuka jest zdolna znakomicie wzmocnić piękność człowieka lub narodu, pod warunkiem, że jej pozostawimy pełną swobodę działania. Ale Mickiewicz, wieszcz równie miłosierny co wstydlivy, tyłek pobożny co płochliwy, wolał nie rozbierać do naga a wszechobejmująca dobroć jego bała się zajrzeć prawdzie w oczy. Był on najwyższym objawieniem tej estetyki polskiej, która nie lubi „babrać się” w brudach, ani robić nikomu przykrości. Lecz największa słabość Mickiewicza na tym polegała, że był poetą narodowym, to jest poetą utożsamionym z narodem i wyrażającym

naród, a przeto niezdolnym ujrzyć narodu z zewnątrz jako cze-goś „istniejącego w świecie”. Pozbawiony punktu oparcia w tym świecie zewnętrznym i we własnej indywidualnej jaźni, nie mógł ruszyć narodu z posad i — w tych warunkach — dokonać tego na co było go stać, to jest zaopatrzył nas w taką piękność jaka w danej chwili odpowiadała naszym narodowym interesom. Ponieważ utraciliśmy niepodległość i byliśmy słabi, przyozdobił słabość naszą pióropuszem romantyzmu, uczynił z Polski Chrystusa narodów, przeciwstawił naszą chrześcijańską cnotę nieprawości zaborców i wyśpiewał piękno naszych obyczajów tak właśnie jak wyśpiewywał piękno naszych krajobrazów.

Znów więc cnota stała się dla nas fundamentem piękności — i skwapliwie poddali się Polacy tej kosmetyce nie bacząc, że to się odbywa kosztem życia. Mickiewicz, poeta narodowy pokonanego narodu, narodu o zredukowanej żywotności, w gruncie rzeczy bał się życia, nie był on z tych artystów którzy drażnią byka, którzy prowokują, rozpalają do białości rzeczywistość, aby potem dopiero ująć ją w karby estetyki, moralności. Nie — był on raczej z tych nauczycieli i wychowawców, co to wołają unikać pokus i podczas gdy sztuka Zachodu była nieustannym podniecaniem i ekspansją, sztuka Mickiewicza to raczej ostrożne hamowanie, to wystrzeganie się „złych myśli” i podniecających widoków. Jakże wyglądałby nasz rozwój gdyby wówczas pojawiła się na naszym niebie, obok mickiewiczowskiej, inna gwiazda: mąż równie znakomity i wzniosły, który by jednak nie oddał siebie na służbę narodu, ale, dumnie wzgardziwszy całą biedą naszą, wszystkimi koniecznościami niewoli, spróbował dotrzeć do Piękności jako człowiek wolny, swobodny duchowo. Ale żadna gwiazda taka — w rodzaju Goethego — nie ukazała się nam we właściwym czasie, a dziś chyba już na to za późno... gdyż problemy mają swoją chronologię i w chwili obecnej co innego ciąży nam na sercu.

Ażeby zdać sobie sprawę jakie w danym okresie historycznym przeważa odczucie urody, trzeba wziąć pod uwagę przede wszystkim stosunek społeczeństwa do młodzieży. Otóż znamienne jest, że w poezji twórcy „Ody do młodości” uroda młodzieńcza wciąż jeszcze podporządkowana jest urodzie „dojrzałej” — rzec można, że to wciąż literatura „ojców” i Mickiewicza nie zachwyca młodzieniec — zachwyca go „mąż” lub młodzieniec mający zadatki na męża. Nie znajdziemy zresztą w całej sztuce polskiej, wbrew jej romantyzmowi, ani szczypty tej egzaltacji młodości jaką przesyciona jest sztuka Grecji, lub malarstwo renesansowe, lub Romeo i Julia... nie, tu młodość zawsze jest tłumiona, tu nałożono wędzidło koniowi młodości... Lecz jakąż, wobec tego, była sytuacja młodzieńca polskiego w mickiewiczowskim okresie? Nie znajdując w sztuce żadnej afirmacji dla swoich dwudziestu lat, dla wdzięku, który był mu dany od natury, mógł on być piękny tylko jako romantyczny syn kłęski, lub jako Polak, lub jako ktoś czyja piękność — piękność cnoty, zasług — zaczyna się na dobre po trzydziestce. Lecz i ta piękność cnoty,

Boga lub Naród mająca za źródło, okazywała się niepomierne ciasna w obliczu tylu różnorodnych piękności, jakie stopniowo ujawniały się na Zachodzie — gdyż tam poczynano spozrzegać że istnieje piękno hańby i podłości, piękno pogańskie grzechu, piękno Goethego i złowrogi połysk światów Szekspira, Balzaka i piękności, które miały znaleźć swój wyraz w Baudelaire, Wilde'zie, Ruskinie, Poem, Dostojewskim — ale nic z tego zachodniego dążenia ku wzbogaceniu gamy ludzkiej urody nie przenikało do duszy młodzieńca, który miał wyznaczoną jedną tylko rolę i mógł funkcjonować tylko jako „cnotliwy syn Polski”. Jeśli więc, poniesiony instynktem i temperamentem, zapuszczał się w dżunglę tamtych, wzbronionych, uroków to zawsze na własną rękę, bez przewodnika, zdany na własne niewyrobione, mętne odczuwanie.

Wróćmy do Sienkiewicza.

Dylemat cnota-żywotność pozostał zatem niezalutwowany i nurtował tym boleśniej, że nieoficjalnie, całą literaturę polską pomickiewiczowskiego czasu. Nigdzie nie objawia się on w sposób bardziej karykaturalny, niż w Kraszewskim, i studia nad tym autorem rzuciłyby sporo światła na naszą psychikę. Poddani zostaliśmy zwężonej estetyce i w jej ramach trzeba nam było malować własny wizerunek. Nowemu pokoleniu coraz bardziej zaczynał doskwierać fakt, że ta uroda obywatelska zbyt wąskich dostarczała ujęć temperamentowi i szukano jak pojednać cnotę z wdziękiem i z urokiem, jak stworzyć typ Polaka, który byłby nie tylko do rózania ale i do tańca. Rzec można, że szukaliśmy okazji do grzechu, ale, sparaliżowani wiekową tradycją, szukaliśmy li tylko grzechu złagodzonego, grzechu, który nie byłby podły, ani nikczemny, ani brzydki, ani straszny... tak, potrzebą naszą był raczej grzeszek sympatyczny, nie wzbudzający odrazy. Doskonale wyczuł Sienkiewicz to ukryte zapotrzebowanie i utworzył sobie drogę do triumfu. Typ Polaka, odziedziczony po Mickiewiczu i mimo wszystko wysokiej miary, uczynił łatwiejszym, przystępniejszym i wdzięczniejszym, cnotę opieprzył grzechem, grzech ocukrzył cnotą i zdołał przyrządzić słodkawy likier niezbyt silny a przecież podniecający z gatunku, który najbardziej smakuje kobietom.

Grzech sympatyczny, grzech poczciwy, grzech uroczy, grzech „czysty” — oto specjalność tej kuchni. Nie rzymianin Skrzetuski, ale grzesznik Kmicic jest typowym bohaterem Sienkiewicza. Kmicicom i Winicjuszom pozwala się grzeszyć pod warunkiem, aby grzech pochodził z nadmiaru sił żywotnych i czystego serca. Sienkiewicz zrealizował to wyzwolenie grzechu, które od dawna było koniecznością polskiego rozwoju... ale na jakimż poziomie! Różnica pomiędzy istotnym dążeniem do urody a kokieterią na tym polega, że w pierwszym wypadku pragniemy podobać się sobie, a w drugim wystarcza abyśmy innych oczarowali. Ale już od lat Polacy praktykowali urodę interesowną, zawsze w imię jakichś innych i wyższych racji, coż więc dziwnego, że Mickiewicz, mimo wszystko w sporej mierze bezinteres-

sowny i potężny, przekształcił się stopniowo w Sienkiewicza, będącego już jawną żądzą podobania się za wszelką cenę. Ten, na-przód, pragnął podobać się czytelnikowi. Powtóre, pragnął, aby jeden Polak podobał się drugiemu Polakowi i aby Naród podobał się wszystkim Polakom. Po trzecie, pragnął, aby naród podobał się innym narodom.

W tej sieci chłonnego uwodzicielstwa ginie, rzecz jasna, wartość, a decydujący staje się efekt zewnętrzny — i łatwość z jaką Sienkiewicz osiąga pozór wartości, jest godna podziwu a zarazem niezmiernie charakterystyczna. Jeżeli teatr jego pełny jest postaci tytanicznych, o potężde i blasku — w rodzaju pana hetmana wielkiego i wojewody wileńskiego — niespotykanym gdzie indziej, to właśnie ponieważ to jest czysty teatr i czyste aktorstwo. Zdolności, jakie objawia ten kuchmistrz w przyrządzaniu nam zupy ze wszystkich blasków, są właśnie cechą człowieka miernego, który igra wartościami. Dramatem prawdziwej wyższości jest to, że ona za nic nie chce się zniżyć, że będzie walczyć do upadłego o swój poziom, gdyż nie umie, nie może zrezygnować z siebie — i dlatego wyższość autentyczna jest zawsze twórcza, to znaczy przekształca innych na własną modłę. Sienkiewicz natomiast z rozkoszą oddaje się cały na usługi przeciętnej wyobraźni, a rezygnując z ducha, nie rezygnuje jednak z talentu i w ten sposób dochodzi do sztuki arcyzmysłowej, opartej na zaspokajaniu niewyżytych skłonności masy, staje się dostarczycielem przyjemnych snów... do tego stopnia, iż zachwycona przeciętność krzyczy: cóż za geniusz! I rzeczywiście, jest to sztuka w pewnym specjalnym znaczeniu genialna, genialna właśnie dlatego, że wywodzi się z żądzy podobania się i czarowania — i stąd ta wspaniałość narracji — intuicja gdy idzie o wystrzeganie się tego, co może zmęczyć, znudzić, co nie bawi — ten sok, ta barwność, ta melodia... Niezwykły geniusz, ale nieco żenujący, geniusz od tych nieco wstydliwych marzeń, którym oddajemy się przed zaśnięciem, geniusz, którym lepiej nie chwalić się przed zagranicą. I dlatego, mimo całą jego chwałę, nigdy dotąd nie została oddana pełna sprawiedliwość Sienkiewiczowi. Inteligencja polska rozkoszowała się nim „do poduszki”, ale na gruncie oficjalnym wołała wysuwać inne nazwiska, artystów nieskończenie mniej utalentowanych ale poważniejszych, jak Żeromski lub Wyspiański...

Jest to bowiem geniusz „łatwej urody”. Z przerażającą skutecznością spłyca on wszystko, czego się dotknie, następuje tu swoiste pogodzenie życia z duchem, wszystkie antynomie, którymi krwawi się poważna literatura, zostają złagodzone i w rezultacie otrzymujemy powieści, które podlotki mogą czytać bez rumieńca. Dlaczegoż ten bezmiar tortur i okropności, jakimi wypełniona jest *Trylogia* lub *Quo Vadis*, nie wzbudzą protestu we wrażliwych dziełach, które omdlewają czytając Dostojewskiego? Gdyż wiadomo, że tortury sienkiewiczowskie opisane są „dla przyjemności”, tu nawet ból fizyczny staje się cukierkiem. Świat jego jest groźny, potężny, wspaniały, ma wszystkie zalety

prawdziwego świata, ale naklejono na nim etykietkę „dla zabawy” wskutek czego ma jeszcze i tę zaletę, że nie przeraża.

Lecz zabawa nie byłaby, sama przez się, taka zła, bo nigdzie nie jest powiedziane, że nie wolno się bawić, kokietować, marzyć... gdyby ta igraszka wartościami nie przybierała pozorów kultu wartości. Nikt nie broni sprzedawca kota, nie należy jednak sprzedawać kota w worku. Gdybyśmy zapytali Sienkiewicza: — Dlaczego upiększa pan historię? Dlaczego upraszcza pan ludzi? Dlaczego karmi pan Polaków stekiem naiwnych iluzji? Dlaczego usypia pan sumienia, tłumi pan myśl i hamuje postęp? — odpowiedź jest gotowa, zawarta w ostatnich słowach *Trylogii*: dla pokrzepienia serc. A zatem Naród stanowi ostateczne jego usprawiedliwienie. Lecz, oprócz narodu, także Bóg. Czyż to właśnie ma być, w pojęciu Sienkiewicza i jego wielbicieli, pisarstwo par excellence moralne, oparte mocno na światopoglądzie katolickim, literatura „czysta”. Z czego okazuje się, że punkty wyjściowe Sienkiewicza zgodne są z naszą wiekową tradycją: wszystko, co się pisze, pisze się w imię Narodu i Boga, Boga i Narodu.

Łatwo dostrzec, że te dwa pojęcia — naród i Bóg — nie dadzą się ze sobą całkowicie pogodzić, a w każdym razie nie dadzą się do tego, aby je szeregować jedno obok drugiego. Bóg — to moralność absolutna, a naród to grupa ludzka o określonych dążeniach, walcząca o byt... Musimy więc zdecydować, czy najwyższą naszą racją jest nasze poczucie moralne, czy też interesy naszej grupy. Otóż pewne jest, że zarówno u Mickiewicza, jak u Sienkiewicza, Bóg podporządkowany został narodowi i cnota była dla nich przede wszystkim narzędziem walki o zbiorową egzystencję. Ta słabość naszej indywidualnej moralności, ta nasza uparta stadowość, musiały z biegiem czasu wtrącić nas w laicyzm coraz wyraźniejszy i zaprawdę cnoty Sienkiewicza stają się już jawnym pretekstem dla urody, jest on jak kobieta, która pielęgnuje czystość w myśli i uczynkach nie po to, aby podobać się Bogu, lecz ponieważ instynkt ją zapewnia, że to się podoba mężczyznom. Na pozór więc tylko jest Sienkiewicz pisarzem katolickim i ładna jego cnota jest o sto mil od prawdziwej cnoty katolickiej, bolesnej, niewdzięcznej, będącej kategorią czynnym odpehnięciem zbyt łatwych uroków — cnota jego nie tylko doskonale godzi się z ciałem, ale nawet zdobi je jak uśmiech. Dlatego literaturę Sienkiewicza można by zdefiniować jako „zlekceważenie wartości absolutnych w imię życia i jako propozycję „życia ułatwionego”.

Nigdy znakomite powiedzenie Gide'a, że „piekło literatury wybrukowane jest szlachetnymi intencjami”, nie okazało się trafniejsze niż w tym wypadku... i demoniczne konsekwencje szlachetnych i szczyrych — nie należy o tym wątpić — sienkiewiczowskich intencji nie dały na siebie długo czekać. Jego „piękność” stała się idealną pizamą dla tych wszystkich, którzy nie chcieli oglądać swej szpetnej nagości. Sfera szlachecko-ziemiańska, żyjąca na swoich folwarkach tym właśnie życiem ułatwio-

nym i będąca, w znakomitej większości, rozpaczliwą bandą gnusnych bęcwałów, znalazła na koniec swój idealny styl i, co zatem idzie, uzyskała pełne zadowolenie z siebie. Nasiąknęła do cna z rozkoszą tymże stylem arystokracja, burżuazja, kler, wojsko i wszelki w ogóle żywioł, który pragnął wykipić się zbyt trudnym konfrontacjom, a patriotyzm, ten patriotyzm polski, tak łatwy i szparki w swoich początkach, a krwawy i olbrzymi w swoich skutkach, upajał się Polską sienkiewiczowską do nieprzytomności. Rozmaite hrabiny, inżynierowe, mecenasowe, obywatelki ziemskie i miejskie odnalazły na koniec tę „kobietę-Polkę” w którą mógł wcielić się ich idealizm, podparty mężowskim grozem i wychuchany przez służbę domową, i odtąd te kapłanki i strażniczki, te wiochny, te Oleńki i Baśki stały się nieprzemakalne i niedostępne wszelkiej rzeczywistości zewnętrznej — gdyż wiedza szkodziła im na „czystość”, gdyż ich piękność polegała właśnie na nieprzemakalności. Lecz, co gorzej, cała dusza narodu stała się niewrażliwa na świat zewnętrzny, jak to się dzieje z marzycielami, którzy wolą nie psuć sobie marzeń. I może nie dlatego, aby nie interesował tej masy Polaków uparty rewizjonizm Zachodu, wybuchający coraz nowym marksizmem, freudyzmem czy surrealizmem; ale istniała w nich pewna obawa przed rzeczywistością, gdyż w głębi ducha było im wiadomo, że ich, z Sienkiewicza poczęte, wyobrażenie o sobie jest jak pancierz Don Kiszota, którego lepiej nie wystawiać na ciosy. I zresztą oni tego *nie lubili*, nie znajdowali w tym upodobania, rycersko-ufańska ich dusza co innego pokochała. Potęgę sztuki! Oto pewien styl decyduje o możliwościach emocjonalnych narodu, czyniąc go głuchym i ślepy na wszystko inne, określając do tego stopnia najszybsze jego gusty, iż 90 % świata staje się mu niejadalne. Naturalnie, sam Sienkiewicz tego nie dokonał. Miał on, jak widzieliśmy, swoich poprzedników, miał też i następców, to znaczy całą szkołę sienkiewiczowską w literaturze i sztuce.



Z powyższego, z lotu ptaka dokonanego, przeglądu przegód narodu naszego z urodą wynikałoby, że prawdziwej, autentycznej piękności polskiej dotąd nie ma. Ani piękności, ani formy, ani stylu. Nie ludźmy się ani przez chwilę, że literatura i sztuka, jaką dziś rozporządzamy, jest naprawdę stylem. Gdyż styl, forma, piękność mogą być tylko dziełem ludzi duchowo wolnych, dążących do tego celu z całą bezwzględnością, dość śmiałych i dość namiętnych w tym poszukiwaniu, aby wzgardzić wszystkimi względami postronnymi i obnażyć nas tak, jak jeszcze nigdy nas nie obnażano. Dopiero wówczas Polacy pogodzą się z rzeczywistością i z należytą swobodą przystąpią do siebie. Nie dopracujemy się nigdy ani urody, ani cnoty polskiej, póki nie ośmielimy się odkryć polskich grzechów i polskiej brzydoty.

Ale nie lekceważmy Sienkiewicza. Od nas samych zależy, czy on stanie się narzędziem prawdy, czy fałszu, i jego twórczość

tak wstydliva może doprowadzić nas do samoobnażenia w większej mierze niż jakakolwiek inna. Demaskująca, obnażająca siła Sienkiewicza na tym właśnie polega, że on posuwa się po linii najmniejszego oporu, że cały jest przyjemnością, nieobowiązującym wyżyciem się w tanim marzeniu. Jeśli przestaniemy widzieć w nim nauczyciela i mistrza, jeśli zrozumiemy, że to jest poufny nasz marzyciel, wstydlivy opowiadacz snów, to książki jego urosną nam na miarę sztuki o charakterze spontanicznym, której analiza wprowadzi nas w mroki naszej osobowości. Gdybyśmy pisarstwo Sienkiewicza potraktowali w ten sposób, jako wyładowanie instynktów, pragnień, tajnych aspiracji, ujrzelibyśmy w nim prawdy o sobie od których, być może, włosy stanęłyby nam dęba. Jak nikt, wprowadza on w te zakamarki naszej duszy gdzie się urzeczywistnia polskie wymigiwanie się życiu, polskie uchylanie się prawdzie. Nasza „powierzchność”, nasza „lekkosć”, nasz w gruncie rzeczy nieodpowiedzialny, dziecinny stosunek do życia i do kultury, nasza niewiara w pełną rzeczywistość egzystencji (wynikająca chyba z tego że nie będąc w pełni Europą, nie jesteśmy Azją) ujawnia się tutaj gwałtowniej, im bardziej się tego wstydzi. Jeżeli nowoczesna myśl polska nie zdobędzie się na należytą przenikliwość to, przerażona tym odkryciem i pragnąc za wszelką cenę upodobnić się do Zachodu (lub do Wschodu) pocznie tępić w nas te „wady” i przerabiać naszą naturę — co doprowadzi do jednej więcej groteski. Jeżeli jednak będziemy dość rozumni na to, aby po prostu wyciągnąć z siebie konsekwencje, odkryjemy zapewne w sobie nieprzewidziane i niewyzyskane możliwości i zdołamy zaopatrzyć się w piękność zgoła odmienną od dotychczasowej.

Zdawałoby się co prawda, że mówić o nowoczesnej myśli polskiej i o polskim rozwoju, w obecnych warunkach naszego zakneblowania, prymitywizmu i wszechstronnej nędzy, jest niczym więcej, jak frazeologią. A jednak! Istnienie jest rzeczą skomplikowaną. Za kulisami pierwszoplanowych zdarzeń odbywa się nieustanna praca psychiczna na dalszą obliczona metę. Życie w nas ani na chwilę nie zostało zahamowane a tylko, w tej chwili, nie może wyostać się na powierzchnię. Dziś — tam w kraju — bardziej niż kiedykolwiek masy polskie duszą się w kagańcu sztucznej estetyki, narzuconej im w imię Cnoty (proletariackiej). Co więcej — nigdy nie było silniejsze nasze rozdarcie między Wschodem i Zachodem, a te dwa światy wzajemnie się niszczy i kompromitując w polu naszego widzenia, wytwarzają w nas pustkę, którą będziemy mogli zapełnić tylko własną treścią. Prędzej czy później ukaże się nam prawdziwy polski diabeł i wówczas dopiero dowiemy się do jakiego Boga mamy się modlić.

Witold GOMBROWICZ

PLON

PIERRE JEAN JOUVE

MICHEL FANO

WOZZECK OU LE NOUVEL OPERA

Pour tous les musicologues, le *Don Juan de Mozart* de Pierre Jean Jouve est l'un des ouvrages les plus importants qui aient été publiés depuis dix ans, et une contribution capitale à la littérature « mozartienne ».

Pierre Jean Jouve a appliqué la même méthode d'analyse à la fois esthétique et psychologique à *Wozzeck*, l'opéra d'Alban Berg, l'une des rares œuvres importantes du théâtre lyrique contemporain. Il s'agit d'une véritable « dissection » de l'œuvre de Berg, dont tous les secrets, toutes les beautés, toutes les ressources sont ici mis à jour par le plus attentif, le plus érudit et le plus sensible des analystes.

In-8° soleil, avec 60 exemples musicaux dans le texte,
un document et un frontispice hors texte, 750 fr.

25 exemplaires numérotés sur pur fil sous couverture
repliée 3.000 fr.

PIERRE JEAN JOUVE
LE DON JUAN DE MOZART 480 fr.

PLON

Literatura na emigracji

Gdy północną Europę pokrywały lody, gdy po dzisiejszej Francji i południowej Anglii chodziły sobie mamuty, renifery i kudłate nosorożce, Sahara była przyjemnym krajem obficie rozszonym stałymi opadami i rojącym się od takiej fauny, jaką dziś widzi się w Afryce podzwrotnikowej. Alisci, gdy skończyła się era lodowcowa, na stepie ciągnącym się od Sahary po dolinę Indusu, klimat zmienił się całkowicie, upodabiając się stopniowo do dzisiejszego. Wyschły step nie mógł już utrzymać tej fauny, która się na nim pasła w złotym wieku obfitych opadów — i koczownicze ludy żyjące tam odtąd z myślistwa stanęły w obliczu zagłady. Kilka dróg stanęło wówczas otworem przed myśliwymi, którym przyroda zdmuchnęła sprzed nosa zwierzyne. Mogli wyemigrować na południe w ślad za cofającą się w głąb Afryki fauną, mogli szukać szczęścia w odwrotnym kierunku, udając się na północ, mogli z myśliwych przekształcić się w pasterzy i mogli, wreszcie, wynaleźć uprawę roli, uniezależnić swą aprowizację od fauny związawszy ją z florą.

Z tych czterech dróg pierwsza była linią najmniejszego oporu i zawiodła dezertów w gorące serce Czarnego Łądu, bezpłodnego cywilizacyjnie. Ostatnia była najgodniejszą, najbardziej twórczą odpowiedzią na wyzwanie rzucone przez przyrodę. Z niej wyrosły cywilizacje egipska i sumeryjska.

Tak przynajmniej sprawy wyglądały według głośnej teorii Arnolda Toynbee, który w przeciwieństwie do pozytywistów, szukających źródeł cywilizacji w szczególnie sprzyjających warunkach, genezę jej widzi w twórczej odpowiedzi człowieka na wyzwanie przyrody stawiającej go w warunkach niesprzyjających.

Tę teorię „wyzwania” i „odpowiedzi” stosuje Toynbee nie tylko do genezy cywilizacji, ale i do mniejszych jednostek społecznych, a także do jednostek tout court. Podkreśla np. wielkie osiągnięcia ludów zamieszkujących kresy jakiejs cywilizacji, żyjących w ustawicznym zagrożeniu i przez to skazanych na zgliszcze lub wielkość, a także twórczą rolę jednostek dotkniętych kalecznością; ślepy wieszcz Homer i kulawy patron metalurgii Hefajstos.

tos symbolizują twórcze odpowiedzi na to najsrozsze wyzwanie przyrody.

Prawda to nie nowa, znamy ją choćby z powiedzenia o potrzebie jako matce wynalazków, pisze o niej La Rochefoucauld : „Nie ma tak nieszczęśliwych wypadków, z których zręczny człowiek nie wyciągnąłby jakiejś korzyści, ani też tak szczęśliwych, których nieopatrzny nie umiałby obrócić na swą „szkodę”, mówi o niej przysłowie angielskie : „Gdy los ci daje kwaśną cytrynę, zrób z niej lemoniadę !”



Za słowami : „literatura emigracyjna” jak nieodstępny cień idą dwa inne słowa : „trudne warunki”. Na pytanie Wacława Zbyszewskiego : „Dlaczego nasza emigracja nie wydaje wielkiej literatury ?” pada przeważnie odpowiedź, którą można sprowadzić do tych dwu właśnie słów. Pierwszy chyba Tymon Terlecki miał odwagę rąbnąć : Trudne warunki nie są przyczyną małości naszej emigracyjnej literatury, są o b j a w e m małości !

Swoją tezę mógłbym streścić w ten sposób : Trudne warunki (czyli wyzwanie rzucone pisarzowi polskiemu na emigracji przez historię) są przyczyną małości literatury emigracyjnej, ale właśnie one m o g ą s i ę s t a ć przyczyną jej wielkości, gdy pisarz ten potrafi dać twórczą na wyzwanie odpowiedź. Trudne warunki klimatyczne, w jakich znaleźli się mieszkańcy wysychającego afrykańsko-azjatyckiego stepu były przyczyną zguby lub zastoju cywilizacyjnego wielu z nich, ale były też bodźcem dla wybranych, dla twórców cywilizacji. Nie były oczywiście — objawem zastoju, ani też powstanie cywilizacji nie zmieniło klimatu. Powstanie wielkiej literatury na emigracji nie zmieni ciężkich warunków twórczości. Norwid umarł w przytułku, ale był wielkim pisarzem.



Wyzwaniem rzuconym przez los pisarzowi na emigracji jest jego oderwanie od kraju i narodu. Wszystkie inne trudności są to pochodne tego wyzwania. Kraj i naród są nie tylko przyrodzonym terenem działalności i zespołem czytelników pisarza. Gdzie jak gdzie, ale tu właśnie oklepane powiedzenie o korzeniach, za pomocą których czerpie się soki, jest jak najbardziej na miejscu. Korzeni tych jest moc i splecione są tak, że trzeba poprzestać na przykładowym wskazaniu paru z nich.

Oto pisarz emigracyjny zapragnął stworzyć dzieło, które by, jak np. „Trylogia”, było wyrazem i uświadomieniem tęsknot większości czytającego narodu. Nie żyjąc jednak z narodem od lat siedmiu, może nawet trzynastu — cóż wie on o tym, czego ta większość pragnie, spodziewa się, boi ? Kto z czystym artystycznym sumieniem potrafiłby np. odpowiedzieć na pytanie, jak większość narodu polskiego ocenia dziś perspektywę rychłego wyzwolenia : optymistycznie czy pesymistycznie ?

Oto drugi pisarz, idąc drugim torem wielkiej literatury narodowej, postanowił przeciwstawić się temu, co czuje większość, tak jak np. autor „Przedwiośnia” upojeniu wolnością przeciwstawił gorzką troskę o społeczny kształt odrodzonej Polski. Zamierzenie to musi się rozbić o ten sam mur niewiedzy.

Oto inny pisarz wynosił w sobie myśl nową, śmiałą, obrazoburczą. Rzucił ją, niebardzo jeszcze sam pewien jej siły. W wolnym kraju myśl jego podchwyciliby jedni, rzuciliby się na nią z ferworem drudzy, zawrzało by od polemik, w ich ogniu pisarz by się rozgrzał, myśl by nabrała rumieńców... A tutaj ? Jeden z najlepszych naszych publicystów mówił mi kiedyś z żalem : „Gdybym napisał, że któryś z naszych polityków ukradł Skarb Narodowy i wyleciał z nim na Marsa, włos by mi z głowy nie spadł, bo najprawdopodobniej nikt by tego nie przeczytał”. Publicysta ten był może w tym wypadku zbyt wielkim optymistą, nie zmienia to jednak ponurego uczucia, że w dziewięciu wypadkach na dziesięć piszemy w próżnię.

Brak czytelnika, nie jako nabywcy, ale jako odzewu, brak krytyki, brak życia literackiego, brak dopływu młodych piór, zużożenie języka w oderwaniu od żywej mowy narodu, brak szerokiego pola obserwacji, które byłoby wspólnym polem autora i czytelnika — można mnożyć i mnożyć rozliczne trudności wygnania, nie wspominając ani słowem tego o czym się mówi najczęściej — trudności materialnych. — Brak czytelników jako nabywców czyni zawód literata na emigracji całkowicie nieopłacalnym. To często pociąga za sobą deklasację, a w najlepszych wypadkach — gdy literat dorwie się jakiejś quasi- czy para-literackiej posady — za uratowany status inteligenta musi płacić swym czasem, którego nie starcza już na twórcze pisanie.



Mimo tych trudności — mamy literaturę polską na emigracji. Dowodzi to, że pisarze umieli znaleźć odpowiedzi na wyzwanie losu. Nie mamy jednak — wielkiej literatury. Dowodzi to, że znalezione odpowiedzi nie są odpowiedziami najlepszymi. Literatura emigracyjna z podziwu godnym wysiłkiem kruszy nieprzełiczone przeszkody na swej drodze. Człowiek słaby omija przeszkody, wytrwały je kruszy, geniusz — przeskakuje — twierdził Karol Irzykowski. Najbardziej brak nam właśnie skoków, nawet wyskoków — dużo jest natomiast żmudnego i nieraz przemysłowego kruszenia. Pomijając dające się na palcach policzyć wypadki rozpaczliwego złamania pióra lub ucieczki do literatury obcej — pisarze emigracyjni wykazali sporo siły w wynajdywaniu najróżniejszych ratunków w swym rozpaczliwym położeniu. Na oderwaniu od kraju wynaleźli niejedną środek uśmierzający.

Nie mogąc żyć w Polsce, usiłują przynajmniej żyć Polską, oderwani od teraźniejszości polskiej nurzają się w przeszłości, oderwani od żywej mowy — wertują słowniki, odcięci od żywych i rozmaitych spraw polskich, zaciekle służą jednej teore-

tycznej Sprawie Polskiej, pielęgnują tradycję, walczą z wynarodowieniem, niektórzy „nasłuchują głosów z kraju”... Pozbawieni czytelników, jedni wydają urodziwe tomiki cieplarnianej poezji w 200 egzemplarzach, drudzy usiłują ich zwabić na różne sposoby. Przed psychicznymi skutkami deklamacji bronią się wspominkami i... anglofobią czy inną fobią, zależnie od miejsca postoju. Na brak czasu radzą sobie ograniczeniem się do małych lub szkicowych form: do liryki, felietonu, kartek z dziennika.

Przystępuję do części pozytywnej tych uwag z duszą na ramieniu. Bo czyż może być większa zarozumiałość, jak wskazywać drogi, po których nie tylko samemu nie umie się iść, ale których nawet nie widzi się jasno?

Pozytywną, twórczą odpowiedź na oderwanie od kraju widzę nie w godnych szacunku próbach ratowania tego, co się da ratować, ale w... pogodzeniu się z losem. Slowacki mówił o dwu rodzajach melancholii; są też dwa rodzaje rezygnacji. Jeden z nich uskrzydla.

Los pozbawił pisarza emigracyjnego jego misji: wyrażania i tworzenia świadomości narodowej. Zła rezygnacja każe złać pióro. Szlachetna wytrwałość podsuwa program skromniejszy: robić co się da, przechowywać, ocalać... Twórcza rezygnacja dyktuje program ryzykowny, ale kryjący w sobie ogromne możliwości: zastąpić świadomość narodową świadomością szerszej ojczyzny, z której nas nie wygnano, świadomością europejską, katolicką, chrześcijańską; oderwać się uczuciowo i myślowo od Polski, nie nasłuchiwać głosów kraju, nie dlatego, by, jak z grubą przesadą utrzymuje Lechoń, odbywał się tam tylko „wyścig służalstwa”, ale dlatego, że my na te głosy, stłumione przez niewolę, musimy pozostać głusi. Nie powinniśmy natomiast trwać w dobrowolnej głuchocie na otaczający nas świat, w którym nie powinniśmy się czuć bardziej uchodźcami niż Polak wysiedlony dziś ze Lwowa do Krakowa. Sprawy, które pasjonują pisarzy francuskich czy anglosaskich winny się stać naszymi sprawami, o ile dotyczą wspólnej nam szerszej ojczyzny: Europy, cywilizacji zachodnio-chrześcijańskiej. Dlaczego pisarz polski nie mógłby pisać po polsku takich ultra-europejskich powieści, jakie pisze po angielsku węgierski ziemczony Żyd Koestler? Dlaczego inny pisarz polski, który się zawieruszył do jakiegoś Algeru, nie mógłby napisać powieści podobnej do „Zarazy” Camusa, w której realia są algerskie, język francuski, a problemy ogólnoludzkie? Dlaczego polski pisarz katolicki musi pisać o Bogu i Ojczyźnie, zamiast tylko o Bogu, temacie niewyczerpanym, a dziś coraz aktualniejszym, a nawet coraz... modniejszym? Dlaczego Amerykanin Hemingway mógł napisać znakomitą powieść o Hiszpanii, interesującą nie tylko Hiszpanów i Amerykanów, ale cały świat — a Polak nie odważy się na utwór o Anglii, Ar-

gentynie czy Indiach, znanych mu nieraz równie dobrze, jak Hiszpania znana była pisarzowi amerykańskiemu?

Nie jest to program ucieczki, odstępstwa, zdrady. Przeciwnie. Przez świadome oderwanie się, w zamierzeniu pisarskim, od Polski, emigracyjny pisarz polski, który — by za Lechoniem strawestować Singrid Undset — „żył w Polsce tysiąc lat” — w wykonaniu zamierzenia nie przestanie być Polakiem, tak jak Koestler nie przestaje być Żydem, Camus Francuzem, Hemingway Amerykaninem. Polskość zepchnięta w podświadomość, pogłębi tam swój nurt i przedrze się na powierzchnię dzieła z nieoczekiwaną siłą. Stanisław Mackiewicz świadomie napisał książkę o Dostojewskim i Rosji a podświadomie chyba stworzył mimochodem rzecz, która jest najlepszą propagandą kultury polskiej i która więcej dobrego przyniesie Polsce niż stosy propagandowej makulatury.

Wielkie rzeczy — twierdzi Toynbee — osiąga się tylko mimochodem, w dążeniu do rzeczy jeszcze większych. Jeśli ktoś się zapisuje na medycynę z zamiarem zrobienia doktoratu, zwykle studiów nie kończy. Jeśli zaś — z zamiarem zostania Pasteurem, Pasteurem nie zostanie, ale doktorat chlubnie robi. Jeśli za cel stawiamy sobie „ocalenie kultury narodowej”, „stworzenie świetnej literatury na emigracji” itp. nigdy tych wielkich celów nie osiągniemy. Żeby je osiągnąć, trzeba celów większych, szalonych, nieziszczalnych: stać się przywódcami moralnymi Europy, stworzyć nowy uniwersalny ruch społeczny, filozoficzny, religijny, stać się bohaterami, świętymi, prorokami, by — zbankrutowawszy — stać się pisarzami, w myśl głębokiej recepty Brzozowskiego. Mickiewicz miał większe ambicje niż stać się czołowym poetą romantycznym, nie ziścił tych ambicji, ale przez to właśnie stał się czołowym poetą romantycznym. By służyć ojczyźnie, trzeba sobie postawić cel większy od ojczyzny. Chrześcijaństwo pierwszych wieków wcale nie myśleli tworzyć cywilizacji chrześcijańskiej, dążyli do mistycznie rozumianego Królestwa Bożego, a mimochodem dali podwaliny pod naszą cywilizację.

Tak pojęte oderwanie się od Polski powinno usunąć niejedną trudność, ale nie usunie od razu wszystkich. Ale na wiele z nich możliwe są odpowiedzi twórcze, na tej samej linii pogodzenia się z losem.

I tak, gdy pogodzimy się z tym, że język nasz ubożeje na wygnaniu i że niewiele tu pomoże Linde czy lektura Paska — może by spróbować odświeżenia naszej emigracyjnej polszczyzny przez umiejętne czerpanie soków językowych i stylistycznych z literatur obcych? Dlaczego nie wykorzystać narzuconej nam przez los zażyłości z angielszczyzną czy francuszczyzną? Miernego pisarza zaprowadzi to na manowce, dobrego — nie, jak czerpanie z łaciny nie wykołowało twórców literackiej polszczyzny.

Na trudności wydawnicze twórczą odpowiedzią może być po prostu nieogłaszanie — pojęte jednak nie jako pisanie do szuflady, ale jako nieśpieszne tworzenie rzeczy, które i za lat

kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt będą równie ważne co dziś, a opracowane pełniej i staranniej. Nawet niepiśanie nie musi być rozpaczliwym złamaniem pióra, może być twórczym ugorowaniem, poświęconym wiernej i czulej miłości do przyszłego dzieła, wycofaniem się na pustynię, by z niej kiedyś wrócić — większym.

Pogodzenie się z brakiem czytelników może naprowadzić pisarza na zrozumienie zapoznawanej zbyt często różnicy pomiędzy poczytnością a wpływem, może skierować go na drogę, na której rezygnując z szerokiej poczytności osiąga się głęboki wpływ. Św. Tomasz z Akwinu, przez którego dzieła z trudem brną tomiści, Marks, którego nie czytało wielu marksistów, Nietzsche, którego nie czytało tylu hitlerowców — byli twórcami historii, nie dostawcami lektury.

Brak uznania może złamać słabszą osobowość pisarską, silniejszą może wyzwolić z zabobonu sławy i zawieść ją na zagubioną od wieków ścieżkę twórczości pojętej nie jako pyszny wyraz indywidualnego geniuszu, ale jako pokorna bezosobista modylitwa.

Simone Weil chcąc dotknąć się jednego z najważniejszych i najboleśniejszych zagadnień współczesności : zagadnienia duchowej, nie materialnej jak w XIX wieku, proletaryzacji robotnika, niezłe płatnego, ale zepchniętego do roli automatu w nowoczesnych zakładach przemysłowych — rzuciła umiłowaną pracę pedagogiczną i pisarską i poszła na niewykwalifikowaną robotnicę do fabryki samochodów. Pisarzy krajowych napędza się do organizowanej oficjalnie parodii tego doświadczenia, by popracowawszy trochę w fabrykach, tworzyli „literaturę proletariacką”. Wielkim pisarzem emigracyjnym mógłby się stać ten, kto by swą bolesną deklasację przyjął jako dar niebios, pozwalający mu na stworzenie literatury proletariackiej bez cudzysłowu.

Emigracja jest ciężkim dopustem Bożym, ale jak każde cierpienie — jest wielką szansą. I czyż nie jest wymownym dowodem naszej małości to, że natchnione słowa, które za chwilę przytoczę, ani żadne im podobne, nie wyszły spod pióra emigranta, lecz — angielskiego uczonego i pisarza zasiedziałego w bezpiecznej ojczyźnie :

„...Abraham był emigrantem z dogorywającej cywilizacji. Prorocy byli dziećmi innej rozkładającej się cywilizacji. Chrześcijaństwo zrodziło się z bólów konającego świata grecko-rzymskiego. — Czyż podobne światło duchowe zapłonęło w duszach „dipisów”, którzy w naszym świecie są odpowiednikami tych żydowskich wygnanców, którym tak wiele zostało objawione w bolesnym wygnaniu nad wodami Babilonu? — Odpowiedz na to pytanie, jakkolwiek będzie, jest ważniejsza od ciągle nieprzeżytego losu, jaki czeka naszą, obejmującą cały świat, cywilizację zachodnią...” (Arnold Toynbee).

Michał SAMBOR

Rzeczywistość — ale jaka ?

(BOLESŁAW MICIŃSKI NA TLE POKOLENIA)

Pisarze, biorący myśl na serio, zawsze należeli w Polsce do rzadkości. Norwid przez to jest tak wyjątkowym zjawiskiem. Czesław Miłosz pokazał, co się dzieje, gdy pisarze, nie biorący myśli na serio, zetkną się z czymś jeszcze rzadszym : z politykami, biorącymi myśl na serio. W istocie, cały „Zniewolony Umysł” jest jedną wielką konfrontacją ludzi mniej lub więcej poczciwych, ale sceptycznych, z ludźmi, dla których myśl jest twardsza niż materia. Oczywiście, książka ta jest równocześnie przejmującym pamiętnikiem podróży do piekieł w poszukiwaniu busoli. U kresu podróży Miłosz busoli nie znajduje, ale wie już, gdzie jej szukać : pod stosem rupieci, złożonym z wygodnych uprzedzeń i wątpliwości, którymi żył dotychczas. Następną książką Miłosza będzie dokumentem nawrócenia.

Miłoszowi, który zresztą nigdy nie był komunistą, zawdzięczamy informację bezcenną i o kluczowym znaczeniu : literaci polscy, kapitulujący przed doktrynerami partyjnymi, nie kapitulowali przed prawdą; kapitulowali — co jest znacznie bardziej żałosne i ze wszech miar oplakane — przed logiką. Fakt, że dziś tylko dla materialistów myśl jest twardsza niż materia, nie ma w sobie nic przypadkowego. Dla takich katolików, jak miłoszowski „Alfa”, którzy bez większego trudu nawrócili się na dialektyczny materializm, myśl katolicka była interesującą dywagacją, a nie opisem rzeczywistości. Kto się nie może zdecydować, jaka jest naprawdę rzeczywistość, ryzykuje zawsze, że ktoś lub coś za niego poweźmie tę decyzję. Za dywagujących literatów polskich powzięła ją Kompartia.

DWIE „ATMOSFERY MORALNE”

Bolesław Miciński nie żyje od dziesięciu lat. Przyjaciele jego, rozproszeni po całym świecie, nieraz zastanawiają się, jakby postępował, gdyby dożył lat pojałtańskich. W chwili, gdy Ge-

neralne Gubernatorstwo przyłączano do Rzeszy i dla uchodźców polskich we Francji powstał — po raz pierwszy — problem repatriacji, Miciński pisze :

Niczego się tak na świecie nie boję, jak samego siebie. Znam swoją słabość i dla tego wiem, że nie mogę sobie pozwolić na repatriację. Chodzą o to po prostu, żeby ani razu np. nie zdjąć czapki, ani razu się nie ukłonić. Ci, którzy nie będą mogli wracać ani z tarczą ani na tarczy i którzy zechcą wytrwać w... postawie (zwanej) afirmacją osobowości, mogą wrócić tylko jako mgielka i „straszyć” nocą przy mostkach i groblach. To także, że tak powiem, pewien problem czy „program polityki narodowej”.

Ten problem, który nigdy nie przybrał form „programu polityki narodowej”, bo zawsze rozwiązywany był doraźnie i polowicznie, był oczywiście tylko w specyficznych warunkach „drôle de guerre” problemem poważnym : wojna się nie skończyła i jej tragiczny koniec trudny był do przewidzenia. W cztery lata później inny uchodźca, który mógłby „wrócić z tarczą” — Adolf Bocheński, rówieśnik Micińskiego — jednym rzutem oka objął, wyraźne już wówczas, perspektywę tego problemu i zdecydował, że „z tej wojny wracać n i e w y p a d a”. I on zapewne bał się „straszyć po nocach przy mostkach i groblach”, ale myślał, że śmierć jego — jako ukoronowanie żywota romantycznego — stanie się hasłem, które pomoże Polakom rozwiązywać jasno i wyraźnie ich problemy. Adolf Bocheński nie chciał żyć w rzeczywistości, której cień padł na świat z Teheranu i której groźba brzmiała w churchilowskiej formułce o „nieleżnej Rosji sprawiedliwości”. Bolesław Miciński żyć chciał, choć wiedział, że jest skazany na rychłą śmierć. Toteż pamięć Bocheńskiego przywodzi nam na myśl przeszłość, na którą żywot ten rzuca jaskrawe światło, a pamięć Micińskiego każe nam myśleć o terażniejszości, którą przyjaciele jego tak różnie sobie ułożyli.

Gdy „drôle de guerre” się skończyła i emigracja polityczna osiadła w W. Brytanii, Miciński otrzymał stamtąd propozycję urzędzenia się w Anglii. Rodzina pisarza prze do decyzji. Miciński pisze wówczas „Memorandum” dla rodziny, w którym tak formułuje swój punkt widzenia :

Wszelka podróz jest ucieczką od samego siebie. Najpierw jako tako poznać samego siebie, a po tym zwiedzać muzea madryckie i British Museum. To, co nas interesuje w muzeach, to wyniki poznania samego siebie a nie podróży w przestrzeni. Można zobaczyć Goyę w Grenoble, Warszawie i Aninie, tylko na to trzeba mieć o d w a g ę, a nie w i z y i sto-sunki. Turystyka w czasach wojny jest nieprzyzwoitością i świństwem. „Co zjeść i w co się ubrać — mówi św. Paweł — na tym poprzestawać mamy”. Tak zwana „zmiana wrażeń” w czasie wojny jest „płochością” nie do przebaczenia... Można tworzyć w głodzie i z mieczem nad karkiem (dosłownie : Boecjusz i inni). Człowiek, który od „klimatu moralnego” uzależnia swój rozwój, nie ma po co się rozwijać, i tak (nie) z tego (nie) wyjdzie...

Miciński pracował w tym czasie nad „Portretami” Kanta i Juliana Apostaty, w których próbował urzeczywistnić swoją koncepcję eseju nie będącego „czymś z pogranicza filozofii i literatury, ale formą autonomiczną” *). Nie wysuwa więc w „Memorandum” głośniowych postulatów, ale zasadę, którą sam realizuje. A przecież — czyż to nie ludzkie, że pisarz szuka „atmosfery moralnej”, w której mógłby żyć i tworzyć, tj. w której myśl jego znajdowałaby echo, a praca — wynagrodzenie ? O pisarzu sowietyzowanym pisze Miłosz, że „strach przed myśleniem na własny rachunek jest jego cechą... Jest to strach przed jałowością, przed tym, co Marx nazwał nędzą filozofii... Intelktualista, o którym mowa, nie wierzy w pisanie do szuflady”. Ale oto na następnej stronie „Zniewolonego Umysłu” dowiadujemy się, jakie są rzeczywiste przyczyny tego strachu :

Nacisk zorganizowanej maszyny państwowej jest nierzeczywisty w porównaniu z naciskiem przekonującej argumentacji. Byłem w Polsce na zjazdach przedstawicieli różnych dziedzin sztuki, gdzie po raz pierwszy omawiano teorię socjalistycznego realizmu. Stosunek sali do mówców, wyglądających przepiślowo referaty, był zdecydowanie wrogi. Wszyscy uważali socjalistyczny realizm za urzędowo narzuconą teorię, prowadzącą do opłakanych wyników, jak dowodził tego przykład sztuki rosyjskiej. Próby wywołania dyskusji nie udawały się. Sala milczała. Zwykle znajdował się jeden odważny, który przypuszczał atak pełen hamowanego sarkazmu, przy milczącym, ale wyraźnym, poparciu całej sali. Odpowiedź referentów miażdżyła atakującego znacznie lepiej przeprowadzoną argumentacją, i aby wypadła jeszcze mocniej, zawieriała całkiem dokładne pogroźki pod adresem kariery i przyszłości niesforne go osobnika. Oto schemat : argumentować i stwarzać niezbędne warunki siłą. Hubka i krzesiwo. Młot i kowadło. Pożądana iskra pojawi się. Jest to matematycznie pewne.

Twarze słuchaczy na tych zjazdach nie były zbyt czytelne, bo wprawa w maskowaniu uczuć osiągnęła już spory stopień doskonałości. Były one jednak dość czytelne, aby zauważyć szybko zmieniające się nastroje. Gniew, lek, podziw, niedowierzanie, zamyslenie — przechodziły falami. Miałem wrażenie, że biorę udział w widowisku zbiorowej hipnozy. W kularach ci ludzie mogli później śmiać się i dowcipkować. Ale harpun został rzucony i trafił. Dokądkolwiek się skierują, będą nieśli w sobie ostrze. Czy sądzę więc, że dialektyka, użyta przez referentów, była nie do odparcia ? Tak, była niemożliwa do odparcia, jeżeli się nie prowadziło całkiem zasadniczej dyskusji o metodzie. Do takiej dyskusji nikt z obecnych nie był przygotowany. Prawdopodobnie byłaby to dyskusja o Heglu, którego nie czytała publiczność, złożona z malarzy i pisarzy. Zresztą nawet gdyby ktoś chciał z tym wystąpić, nie dopuszczono by go do głosu. Dyskusja na podobne tematy jest — i to z lękiem — podejmowana tylko w najwyższych kręgach mędrców.

Oczywiście, bez „atmosfery moralnej”, tj. bez echa i wynagrodzenia, autor skazany jest na „pisanie do szuflady”, ale

*) „Nie można tego nawet nazwać transpozycją pojęć na wyobrażenia. Zadaniem eseju jest przedstawienie złożonego problemu w taki sposób, aby można go objąć jednym rzutem oka — jak obraz”. I dalej : „Esseista gromadzi problemy, jak słowa. W dobrym eseju winno być tyle zagadnień, ile zdań... Esseje pisane są, mówiąc za Leonardem, „sfumato” : mają one swoje tonacje jak utwory muzyczne, są esseje pisane w „dur” i „moll”...”

termin „nędza filozofii” nie jest użyty przez Miłosza w sensie Marxa, jest to negatyw predylekcji — może nie osobistej, zapewne bardzo rozpowszechnionej, a nawet typowej, np. dla polskiej inteligencji — ale przecież fantazyjnej, lekkomyślnej i wcale nie godnej pochwały. Jest to bowiem filozoficzna ignorancja, a w każdym razie filozoficzna obojętność. „Odważni” próbowali dyskutować jak się dyskutowało w kołach literackich przed wojną — właśnie nie „zasadniczo”: nie zorientowali się po prostu w zmianie partnera. Miciński, gdyby się znalazł na takim zjeździe, może nie należałby do „odważnych”, bo nie dopuszczono by go do głosu właśnie dlatego, że był do dyskusji dobrze przygotowany, ale „harpun” by się po nim ześlizgnął. Zapewne pisałby nadal „do szuflady” i — jak w Warszawie przedwojennej — zaczęłaby się wokół niego wytwarzać „atmosfera moralna”, odmienna od tej, jaką otaczają chętnych dyktatorzy rynku wydawniczego Polski Ludowej.

Być może, są dziś w Polsce Micińscy, którzy spokojnie piszą do szuflady, a nawet szerzą atmosferę moralną, nie sprzyjającą już nie tylko Murti-Bingowej narkomanii, ale nawet Ketmanowemu konformizmowi. Jeżeli jednak są, nic o nich nie wiemy. A przecież zawartość ich szuflady mogłaby oglądać światło dzienne w wolnym świecie — oczywiście, pod pseudonimami — i stanowiłaby dla emigracji artykuł spożywczy pierwszej potrzeby. Brak tego artykułu wydaje mi się faktem zarówno bardzo znamionym, jak i głęboko niepokojącym. Jest to bowiem jedyny rodzaj „kontaktów krajowych”, o jakie, moim zdaniem, warto zabiegać. Nie dlatego, by tacy samotnicy mogli stanowić „ośrodki oporu”, którymi można by się w razie potrzeby pochwalić, czy do których można by kogoś (w razie innej potrzeby) skierować, ale dlatego, że tylko ludzie o takich kwalifikacjach intelektualnych i moralnych zdolni są do kontynuowania wolnej myśli polskiej. Choć to obraża naszą miłość własną, musimy sobie wreszcie powiedzieć, że wolna myśl polska nie może poprzestawać na anty-komuniźmie, który staje się zwolna Murti-Bingiem Zachodu.

Pisać bez „atmosfera moralnej”, to — innymi słowy — obchodzić się bez pospolitych złudzeń. Tamto pisanie jest grą towarzyską, to — poszukiwaniem prawdy. Tysiące luster może pisarzowi zapewnić wpływ dokładnie tak głęboki, jak moralność, w której „atmosfera” żyje — prawda zapewnia mu wpływ najgłębszy. Jeżeli, jak mówi Chesterton, marzenie trwalsze jest od rzeczywistości — prawda jest trudniejsza do zwalczania, niż totalitarne imperium atomowe i może wysadzić z zawiasów cały system takich imperiów. Nam, Polakom, pozostała już tylko ta broń; trzeba jednak, by miała swoje zbrojownie i arsenały. Jeżeli nie będą one istniały w kraju, nie powstaną na emigracji, jeżeli bowiem emigracja nie będzie myślała kategoriami i w perspektywie kraju, nie znajdzie prawdy i ta gałąź narodu uschnie.

RÓWNOWAGA POSZUKIWANA

Miciński zrozumiał, że nasza klęska polityczna była skutkiem nie konfliktu interesów, ale konfliktu zasad.

W przemianach dziejowych, w które zostaliśmy uwikłani, odsłoniło się teoretyczne podłoże walk gospodarczych i zbrojnych. Jesteśmy uwikłani w wojnę, która toczy się między rzeczywistością i abstrakcją — między jednostką a zbiorowością. I dlatego ta wojna jest tak okrutna. I dlatego tak ważna.

Klęska Niemiec i Japonii nie rozstrzygnęła tego sporu, bo front drugiej wojny światowej nie przebiegał między dobrem a złem. Anglosasi co prawda poddawali się złudzeniu, że tak właśnie jest i chwytały się go jak tonący brzytwy — myśmy jednak wiedzieli, że to jest złudzenie, bo ich zwycięstwo niesło nam klęskę. Ale do tej pory nie możemy pogodzić się z myślą, że złudzenie to było czymś więcej, niż zaślepieniem czy naiwnością. Gdy ład powojenny oparty został na tym samym kulcie „nadnarodu”, przeciwko któremu rzekomo skoalizował się w czasie wojny cały świat — przestaliśmy rozumieć historię. Wsuwając ze swej strony inną koncepcję nadnarodu i szukając „interesów”, w ramach których ta koncepcja mogłaby się pomieścić, działamy przeciwko sobie, bo nasze interesy leżą po stronie „człowieka” a nie „abstrakcji”.

Bo tylko jednostka jest rzeczywista, tylko jednostka jest nieśmiertelna — tylko przed nią otwarta jest wieczność. Zbiorowość — rasa, naród, klasa — może być długowieczna, nigdy — wieczna. Dzieje każdej zbiorowości kończą się u wrót doliny Józefata.

Ta formuła Micińskiego jest konkluzją, która powinna była stać się punktem wyjścia dla wolnej myśli polskiej. Jej autor zdążył już tylko rzucić z tej pozycji przelotne spojrzenie na przeszłość (odkrywając swoją nienawiść do „czasów przedwojennych”), a gdy zaczął rozglądać się po teraźniejszości (w której odkrył rosnące znaczenie tajemniczej Ameryki), śmierć położyła kres procesowi myślowemu, którego nikt nie podjął. Miciński jak nikt inny zdawał sobie sprawę, że jego pokolenie, wyrosłe w przedwojennym „infantyliźmie”, który toczył życie duchowe całej Europy, nie będzie przygotowane do roli, jaka je czeka po wojnie. „Infantyliizm” stanie się paraliżem myśli, który wyrazi się w głębokim kompleksie winy. W istocie, ten kompleks winy mieli w pełni wyzyskać nowi panowie Europy. Książka Miłosza jest dokumentem walki z tym kompleksem i nikogo nie zdziwi, że we wspomniałym, wzruszającym finale „Zniewolonego Umysłu” Miłosz znajdzie ratunek przed sofizmami historyzmu w tym samym połączeniu pojęć prawda-jednostka, które jest testamentem Bolesława Micińskiego.

Wobec alternatyw, jakie stawia przed nami los, jesteśmy samotni. Nikt nie ma prawa dokonywać za nas wyboru, który leży wyłącznie w kompetencjach naszego sumienia. Ale i my nie mamy prawa cedować tej kompetencji na nikogo, czy zgola oczekiwac, by ktos za nas tego wyboru dokonat. Wolność nie może być nominalna, a realnej wolności nie zapewni nam żadna „abstrakcja”. Nie ma „prawa historii”, które pozwalaloby człowiekowi łamać Prawo, jakie odkrywa w sobie. Historyczne abstrakcje, które prawu temu przeczą, żądają od człowieka kapitulacji i dlatego trwa między nimi a człowiekiem wojna.

Dramat myśli zachodniej polega na tym, że choć przyjmuje to założenie i choć wie, że musi się na nim oprzeć, jeżeli nie chce złożyć broni przed komunizmem — boi się jego realizacji, bo w jego praktyce widzi anarchię. Między ideą a rzeczywistością otworzyła się przepaść — Zachód nie umie przez nią przetrwać pomostu. Nie godząc się z ekonomiczną interpretacją kultury, na której opiera się marksizm, w końcu zawsze staje na gruncie ekonomicznym i w „koniecznościach gospodarczych” znajduje kryterium i uzasadnienie swych planów organizacyjnych. Najśmielsi obrońcy „człowieka” i „wolności” nie wychodzą poza propozycje kompromisowe i w praktyce duch zawsze zmuszony jest do kapitulacji przed siłą.

Brakującym pomostem jest koncepcja elity. Gdy się przyjmuje, że elita powinna tylko „administrować”, a nie wyznacza się tej administracji żadnych granic, jest rzeczą nie uniknioną, że administracja staje się totalna, tj. że z kolei ona wykreśla granice wolności. A ponieważ elicie konceduje się wszystkie słabości „ludzkie”, nic jej nie przeszkadza w poruszaniu się po linii najmniejszego oporu. W rezultacie prawo działania dyktowane jest przez „obiektywne” warunki, sprawdzalne statystycznie i decyzje pobiera nie człowiek, ale mechanika rzeczy. Osobowość — i elity i mas — kształtowana jest przez tę mechanikę: myśl zadowala się rolą pośrednika. Jednostka przestaje w końcu być indywidualnością, a staje się reprezentantem statystycznej kategorii, czy — by użyć terminu Władimira Weidle — „człowiekiem-próbką”.

Człowiek nie chce być twórczy, człowiek chce być „dyspocyjny”, bo wierzy — jak cytowany przez Miłosza polski marksista — że „nie ma w nim n i c”. Zdradzony przez swoich „klerków”, którzy go w tej wierze utwierdzają, z n o s i jedną wojnę totalną po drugiej i przed widmem ostatniej, która starłaby z ziemi gatunek ludzki, broni się nadzieją na „wyrównanie się poziomów”. Ale nawet jeżeli to wyrównanie nastąpi na najwyższym poziomie technologicznym i ekonomicznym (co jest możliwe, jeżeli nie będzie trzeciej wojny światowej), osiągnięty zostanie równocześnie n a j n i ż s z y poziom kulturalny. I nie może być inaczej, skoro jesteśmy zdecydowani poświęcać „prawu historii” Prawo, które jest w nas.

Do największych sukcesów historyzmu i pragmatyzmu należy wzgarda, jaką dziś jest okryte sumienie. Niemal uwierzyli-

my, że głos wewnętrzny jest anarchiczny, bo ogłuchliwszy na różnicę, jaka go dzieli od głosu instynktu. Pęd w górę i ciężenie w dół zamknęliśmy w jednym pojęciu „pragnień”. Myśl traktujemy już tylko jako wypadkową mechaniki instynktów. Czyż jednak rzeczywistość sumienia nasze jest równie anarchiczne, co nasze pragnienia? Czy „Wielkie Budowle”, od których Miłosz odwraca się z nostalgią, m u s z ą być wznoszone z „materiału ludzkiego”, którego wolę pierwiej złamano lub skorumpowano? Dzisiejsi wielcy budowniczywie opierają architekturę społeczeństwa na „woli” człowieka, sprowadzonej do instynktu trwania, a architekturę swej własnej osobowości na „woli”, sprowadzonej do instynktu panowania. Taki układ rzeczy to — jak mówi Miciński — „złe wytyczone granice moralne”, o wiele groźniejsze niż złe wytyczone granice polityczne. Tu — nie na mapie — przebiega konflikt wolności i tyranii, który charakteryzuje nasze czasy.

Czasy, pozbawione wyraźnej dominanty moralnej, pojęciowej i artystycznej, są układem przypadkowym i wspierają się na chwiejnej równowadze, którą zburzyć może najłżejszy wstrząs. Przemiany dziejowe naszych lat nie są bynajmniej dziełem krzykliwych wodzów i zarozumiałych polityków: obie wojny były wynikiem wadliwej równowagi życia, spojonego z obcych i nie wiążących się z sobą elementów.

Mimo pozorów, człowiek spragniony jest wielkości. Pozbawieni wielkości prawdziwej, tj. niewymiernej, ludzie dali się uwieść wielkości wymiernej, tj. pozornej. Pozbawiony pokory, miłości, nadziei i wiary w ostateczną sprawiedliwość i cel istnienia, czas nasz dał się uwieść wielkościom wymiernym, małym, które narzucił mu totalizm... I tak jakby na świni ogromnej, siedząc okrakiem na pozłacanym bydlęciu bestii apokaliptycznej, wjechali wodzowie, kopniędziem buta rozwalając wrota przyszłości.

Między równowagą światową, której ludzkość poszukuje tworząc kolosy, które tylko po to się z sobą mierzą, by z ruin powstawały nowe kolosy, z nowymi ruinami po nowej próbie sił — a równowagą wewnętrzną, którą człowiek ma rozpaczliwą nadzieję znaleźć w tych właśnie tragicznych zmaganiach, istnieje związek konieczny i nierozzerwalny. Związek ten jest widoczny i stanowi jedyny niezmienny element wszystkich przemian naszych czasów. Opatrzność, która zezwala na katastrofy, pochyla się na pobojowisku nad człowiekiem i w oszalałych oczach ofiary, która jest swoim własnym katem, szuka znaku, że człowiek zobaczył wreszcie mur, o który wciąż na nowo się rozbija. Równowaga wewnętrzna nie powstanie w wyniku równowagi światowej: równowaga światowa powstanie w wyniku równowagi wewnętrznej.

Logika tej równowagi założona jest w dyscyplinie, która ustaliła ostatecznie pierwszeństwo człowieka między zwierzętami: w architekturze.

Architektura — pisze Miciński — jest zwycięstwem umysłu nad materią. Posługując się rozkładem ciężaru i oporu materii według planu, którego zarys powstał w umyśle, pozostawia materii możliwość działania w tym samym stopniu, co myśli, tak że stwarza złudzenie, jakoby materia zrealizowała ów plan o własnych siłach.

Ten paradoks jest modelem osobowości.

Zmagają się w człowieku skłonności, które wyrazić można, w przestrzennym umysłowaniu, jako „pęd ku górze”, z siłami, które podobne biernej materii, ciągną do ośrodka ciemnej, złej natury człowieka. W walce, w ciągłej przemianie, która znaczy właściwy życiu wewnętrznemu niepokojny rytm, żyjemy na skrzyżowaniu dwóch, równie w nas mocnych, sił.

To „skrzyżowanie” jest najgłębszą rzeczywistością człowieka. Gdy „szanujemy jednostkę”, szanujemy architekta, który tu wprowadza i utrzymuje równowagę — wznosząc gmach, „którego zarys powstał w umyśle” i licząc się z „ciężarem i oporem materii”, by stworzyć wrażenie, że „materia zrealizowała ów plan o własnych siłach”.

Podobny rezultat — ciągnie Miciński — osiągnęlibyśmy, kierując człowiekiem nie wbrew jego woli, lecz posługując się jego wolą tak, aby zgodnie z własnym założeniem i celem, spełniała równocześnie nasze zamiary.

To jest model polityki, która nie byłaby architekturą kolumn na glinianych nogach ani architekturą ruin. Człowiek osiągnie wielkość, gdy uzgodni architekturę społeczeństwa z architekturą osobowości. Będzie jednak daremnie dążyć do wielkości i szukać równowagi, gdy usunie jednostkę ze „skrzyżowania”, na którym postawiła go natura lub gdy pozwoli politykom przechodzić do porządku nad „własnym założeniem i celem” jednostki.

Oto program reformy zarazem moralnej i politycznej, który przedkładam współczesnym jako testament Bolesława Micińskiego. Rozumie go Miłosz gdy pisze :

Nie obchodzi mnie, czy znalazłem się po stronie przyszłych zwycięzców czy zwyciężonych. Wiem jedno : jeżeli mój przyjaciel (marksista) będzie spożywał słodkie owoce zwycięstwa, planeta ziemską będzie zagospodarowana planowo na długie setki lat, ale biada tym co tego dożyją... Jeżeli mój przyjaciel będzie miał możliwość się przekonać, że siła, którą wielbił, nie była koniecznością, nasza planeta wejdzie w okres straszliwych wojen i krwawych rewolucji, ale poszukiwanie się nie zakończy i nadzieja zostanie zachowana.

Jan ULATOWSKI

Polska literatura średniowieczna a Czesi

Roman Jakobson, autor zamieszczonego tu studium, jest uczonym światowej sławy o wyjątkowym rozmachu twórczym i wyjątkowo rozległym kręgu zainteresowań. Urodzony w Moskwie w r. 1896, przyjaciel lat młodzieńczych Majakowskiego, emigrował z Rosji do Czechosłowacji we wczesnych latach dwudziestych. Przed wojną był profesorem bohemistyki w Brnie Morawskim, dziś jest profesorem slawistyki w Uniwersytecie Harvardzkim.

Jakobson jest przede wszystkim językoznawcą, wspólnie ze zmarłym na krótko przed wojną profesorem Uniwersytetu Wiedeńskiego Mikołajem Trubeckim, jednym z założycieli i spiritus movens Praskiej Szkoły Językoznawczej, której teorie znalazły szeroki oddźwięk poza granicami Czechosłowacji, przede wszystkim w Skandynawii i w Ameryce. Piszą się też na nie dzisiaj wybitni językoznawcy polscy. Wykład tej teorii przyniesie zapowiadana książka Jakobsona „Sound and Meaning”. Z innych prac jego z dziedziny językoznawstwa ogólnego warto wymienić przede wszystkim ogłoszoną w Kopenhadze w r. 1938 rzecz „Sur la théorie des affinités phonologiques des langues” i wydaną w Uppsali w r. 1941 książkę „Kindersprache”.

W swoich specjalnych pracach językoznawczych zajmował się przede wszystkim językiem rosyjskim, ale i tu zainteresowania jego sięgają daleko nie tylko poza rusycystykę, ale i poza slawistykę w ogóle. W tylko co wydanej w Paryżu książce zbiorowej „Les langues du Monde” można znaleźć jego rozdział o językach paleosybirskich.

Ogłosił także szereg ważnych prac o wersyfikacji, przede wszystkim o staroczeskim wierszu i o wierszu jugosłowiańskiej epiki ludowej. Jest znankomitym filologiem : w r. 1948 ogłosił w New Yorku z bogatym aparatem krytycznym „Słowo o wyprawie Igora”, napisał też szereg studiów o literaturze cerkiewno-słowiańskiej, przede wszystkim o czesko-ruskich związkach literackich w średniowieczu. Zajmuje się także słowiańskim folklorem i słowiańską mitologią.

Jest wreszcie świetnym znawcą nowszej poezji rosyjskiej, jak świadczą jego prace ogłoszone po rosyjsku, niemiecku i czesku o Puszkynie, Majakowskim, Chlebnikowie i Pastiernaku.

W wydanym w Wilnie w r. 1937 tomie zbiorowym „Prac”, ofiarowanych Kazimierzowi Wójcickiemu, ukazało się jego studium „Z zagadnień prozodii starogreckiej”. Kilkakrotnie pisał na tematy polskie : w „Slavische Rundschau” o Baudouinie de Courteney, w „Prager Presse” — o Porzezińskim. Wśród jego drobniejszych prac znajdują się też : ogłoszony w Brnie w r. 1937 essay o Karolinie Sobańskiej oraz szkice o Bogurodzicy i legendzie o św. Aleksym. W czasie wojny, w 1943, ogłosił w angielskich „Biuletynach” Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce rzecz „Polish-Russian

Cooperation in Science of Language", a w r. 1946 w „The American Slavic and East European Review” artykuł o studiach rusycystycznych prof. Wacława Lednickiego, „Polish Scholarship and Pushkin”.

Ogłoszone tutaj studium jest — jeśli idzie o dwie pierwsze jego części — preredagowaną i uzupełnioną wersją dwóch prac, które ukazały się pierwotnie w r. 1939 w wydanej w Pradze książce zbiorowej „Co dały nasze ziemie Europie i ludzkości”. Książka ta wyszła w Czechach już za rządów hitlerowskich. Stąd prace te, których autor zdążył tymczasem szczęśliwie uciec przed hitlerowcami do Norwegii, mogły się ukazać tylko pod pseudonimem: Olafa Jansena. Czas i okoliczności wydania sprawiły, że mimo zawartego w nich bogactwa nowych spostrzeżeń i ujęć, rzucających nowe światło na pewne dziedziny średniowiecznej kultury polskiej, prace te przeszły zupełnie niezauważone w nauce polskiej, która w pierwszych latach po wojnie żywo zajmowała się dawnymi stosunkami kulturalnymi polsko-czeskimi (jak świadczy załączona niżej bibliografia).

Część trzecia studium, o Śląsku jako pośredniku między Polską a Czechami, jest również zmienioną redakcją fragmentu większej rozprawy sprzed wojny „Śląsko-polska cantelina inhonesta z początków XV wieku”, w której Jakobson opublikował tekst nieznanego dotychczas średniowiecznego polskiego zabytku poetyckiego oraz wyczerpująco i na szerokim tle historycznym go omówił. Rozprawa ta, ogłoszona w mało dostępnym periodyku czeskim, mimo że — jak świadczą recenzje Brücknera, Juliana Krzyżanowskiego i Szyjkowskiego — została gorąco przyjęta przez naukę polską, już przed wojną była w Polsce trudno dostępna i mało znana.

Uczeni polscy słusznie podkreślają, że problem wpływu staroczeskiego języka i literatury na język i piśmiennictwo staropolskie dotąd nie jest dostatecznie zbadany. Wpływ ten był wszechstronny, przeniknął głęboko, działał od wczesnego średniowiecza aż po wiek XVI, przy czym szczególnie silny był w wieku XIV i w okresie husyckim. Oczywiście przewaga czeska na polu kulturalnym, politycznym, gospodarczym i wojennym, bliskie sąsiedztwo, żywe kontakty, tak przyjazne, jak i wrogie, otwierały drogę gorliwemu naśladownictwu. Wpływy czeskie oddziaływały na życie religijne i naukowe, dworskie i handlowe, na prawodawstwo i administrację, na sztukę wojenną i na literaturę, tak prozaiczną, jak i poetycką. A w każdej z tych dziedzin przenikanie nowych wartości, nowych myśli i form, odbijało się także na wkładzie językowym. „Jak Kazimierz Wielki na Karola, tak zapatrywał się Kraków na Pragę, a Polska na Czechy; stąd brano wszystko, od monety aż do pisowni”, słusznie stwierdza Brückner.

I. OBRZĄDEK SŁOWIAŃSKI W POLSCE

Z Czech przenikała do Polski kultura cerkiewno-słowiańska, której podwaliny założyli Cyryl i Metody. Źródła do najstarszych dziejów kultury polskiej są skąpe i pełne luk. Jest mało pewnych danych, które by pozwalały na rozwiązanie problemu, w jakiej mierze i w jakich granicach czasu kultura cerkiewno-słowiańska

przenikała z Czech do Polski. Wiemy z morawsko-panońskiej legendy, że były jakieś kontakty między morawską misją i Małopolanami, i że Metody usiłował, bez większego powodzenia, jakby wynikało ze sformułowania tekstu, wprowadzić chrześcijaństwo w jakimś polskim księstwie nad Wisłą. Wieki X i XI, okres kultury cerkiewno-słowiańskiej w państwie Przemyślidów i okres, w którym dzieje polskie i czeskie mocno zązębiają się o siebie, dostarcza wymownych chociaż skąpych danych o przenikaniu obrządku Cyryla i Metodego do Polski. Imiona pierwszych biskupów krakowskich, Prochor, a prawdopodobnie także i jego następcy, Prokulf (Proklus?), nawiązują do świata bizantyjskiego. Starodawny kościółek na Wawelu, Feliksa i Adaukta, zdradza charakterystyczne rysy ówczesnych czeskich rotund, wyraźnie związanych z tradycją Cyryla i Metodego. Małopolskie kościoły wczesnego średniowiecza przejmują czeski kult Św. Klemensa, który zajmuje tak wydatne miejsce w żywocie Konstancyna. W ostatnich czasach niespodzianie odkryto jawne ślady kultu w Polsce Św. Gorazda, wygnanego z Moraw następcy Św. Metodego. Szerzyciel chrześcijaństwa w Polsce, Mieszko, orientuje polskie życie religijne na Czechy, tak pod wpływem swojej małżonki Dobrawy, bratanki Św. Wacława, jak z poczucia potrzeby przeciwstawienia się zależności od Niemiec, jak wreszcie z racji możliwości propagandy i ekspansji liturgii w języku słowiańskim, wypiastrawanym w Czechach. Czeszy misjonarze i księża idą do Polski, gdzie wydatnie pracują nad organizacją i wzmocnieniem jej kościoła i kultury, ba, jak świadczy przykład Św. Wojciecha, także i nad jej mocarstwowym rozwojem. Nowoczesne badania, tak czeskie jak i polskie, uważają Św. Wojciecha za stronnika liturgii słowiańskiej; być może, że wzmocnił jej pozycję i w Polsce.

Niewątpliwie na okres, w którym szerzyło się w kraju chrześcijaństwo, przypada powstanie polskiej terminologii religijnej. Jej podstawą, jak pokazała polska i czeska sławistyka, zwłaszcza prace E. Klicha i B. Havranka, był język cerkiewno-słowiański czeskiej recenzji. „Że ta starosłowiańska warstwa polskiej terminologii religijnej — mówił Havranek — przyszła za czeskim pośrednictwem, o tym świadczy jej adaptacja, wykazująca zbieżności z językiem czeskim, jak *gospodzin* (starosłow. *gospod'*), *smilować* (starosłow. *milovati*, *po-*), albo zwłaszcza uderzające przesunięcia etymologiczne, zgodne z językiem czeskim: starosłowiańskie *blagosloviti* dało w polszczyźnie *blagosławić*, tak jak w czeskim *blahoslaviti*; odpowiednikiem starosłowiańskiego *raz(d)resiti* jest *rozgrzeszyć*, tak jak w czeskim *rozhresiti*, związane ze słowem *grzech*, *hriech*. Szybko przeniknęły także do Polski imiona czeskich narodowych świętych, jak i część im oddawana (kościół poświęcone Św. Wacławowi, jego imię w czeskiej formie; Strachota, szeszczone imię Metodego).

Jeśli, jak dowodzi polska numizmatyka, denary z cyrylijskim napisem *Bolesław* odnoszą się do Bolesława Chrobrego, a nie czeskiego Bolesława II albo III, jest to dowód przenikania czes-

kiej cyrylicy do Polski. Domysł, iż denary te były przeznaczone dla ruskich poddanych Bolesława Chrobrego, że zatem wiążą się z ruską cyrylicą, nie jest oparty na żadnych dowodach. Dla każdego, kto jest obznajmiony z czesko-łacińskimi zabytkami wczesnego średniowiecza i z ich terminologią, jest rzeczą bezsporną, że słowa „*latinorum et slavorum, quotque estis incolae*”, użyte przez Anonima (tzw. Galla), opisującego jak wszyscy (w Polsce) oplakiwali zgon Chrobrego, oznaczają łacinników i wyznawców słowiańskiego obrządku, i że podobnie w powiedzeniu Matyldy Szwabskiej o Mieszku II, że zwyczaj „*in propria et latina Deum digne venerari*”, słowo *propria* może oznaczać jedynie język cerkiewno-słowiański, albowiem nie było w owym okresie żadnego innego obrzędowego języka rodzimego u Słowian. Ruskie źródła z oburzeniem mówią o jakimś wygnaniu mnichów z Polski, mniej więcej współczesnym z pierwszym wygnaniem słowiańskich mnichów z benedyktyńskiego klasztoru w Szawie przez Spytihniewa w r. 1056 w związku z wynikłą wtedy schizmą i ich ucieczką na Węgry. A również i drugi, definitywny pogrom duchownej szkoły Prokopa odpowiada chronologicznie analogicznemu papieskiemu wystąpieniu przeciwko polskiemu klasztorowi benedyktyńskiemu w Tyńcu, założonemu prawdopodobnie przez Bolesława Chrobrego. Opat jego był wtedy oskarżony o kacerstwo i pozbawiony godności, a część mnichów wygnana. Sam przez się nasuwa się domysł, że ta represja związana jest i w Polsce z akcją Rzymu przeciwko „kacerstwu” Św. Metodego, która wzmocniła się w momencie pierwszej krucjaty.

Ale tradycja liturgii słowiańskiej nie zagięła u Czechów z zanikiem liturgii słowiańskiej. Znalazła ona wyraz w łacińskich utworach, namiętnie propagujących dzieło pionierów liturgii słowiańskiej, w odnowieniu walki o prawo „*in propria Deum venerari*” i w utrzymaniu z pietyzmem pieśni z dziedzictwa cerkiewno-słowiańskiego. I ten okres usilnego nawiązywania do precedensów i wzorów, wywodzących się z tradycji Cyryla i Metodego, znalazł odzw. w sąsiedniej Polsce. Legenda o genealogii narodów słowiańskich, wzięta od Czechów i rozwinięta przez kroniki polsko-łacińskie („*Scribitur enim in vetustissimis codicibus, quod Pannonia sit mater et origo omnium slavonicarum nationum*” itd.), wywodzi się, jak dowiódł N. Nikolskij, z tradycji morawsko-panońskiej. Przenikają także do Polski czesko-łacińskie msze ku czci Cyryla i Metodego. Na Polskę również rozciągają się próby Karola IV wprowadzenia na nowo słowiańskiej liturgii w Czechach. W Polsce również żyje przez całe stulecie pełnym życiem starodawna pieśń religijna, związana w tradycji z imieniem Św. Wojciecha. Pouczające warianty czeskiej pieśni „*Hospodine, pomiluj ny*” umożliwiają wyczytanie z dochoowanej, poniekąd szcechizowanej redakcji czystej cerkiewno-słowiańskiej wersji. Krytyka filologiczna polskiej pieśni „*Bogurodzica dzie-wica*”, która znana jest z późniejszych, względnie standardyzowanych zapisów, stawia nas przed tym samym zadaniem. Można tu przecież stwierdzić trzy warstwy językowe: cerkiewno-słowiań-

ską czeskiego stempla (porównaj zwłaszcza: *Bogurodzica, Bogiem sławiona* zamiast *blógostawiona, Gospodzina*), czeską (*matko szwolena, twego, spuści*, porównaj staroczeskie *spustiti* w znaczeniu „odpuścić”, *zbożny*) i polską. Ze znacznym prawdopodobieństwem wyznaczają one trzy chronologiczne fazy: pieśń pierwotnie cerkiewno-słowiańska, była szcechizowana, a potem znowu spolszczona. Znajdujemy tu np. słowa *U twego syna*. Forma *twego* zamiast polskiego *twojego* jest bezsprzecznie bohemizmem, który później dopiero przeszedł do poszczyzny literackiej, w pieśni jednak jest po prostu zachowaniem tekstu poprzedniego, czeskiej redakcji. Przekład na język polski *U twego syna* naruszyłby schemat sylabiczny. Ten czeski tekst nie jest jednak pierwotnym. Przyimek *u* jest tu w sposób oczywisty dodatkiem, zniekształcającym sens. Został on najprawdopodobniej dodany dla zachowania schematu sylabicznego, inaczej bowiem w szcechizowanym cerkiewno-słowiańskim wierszu brakłoby jednej sylaby. Tak możemy się dokopać pierwotnego cerkiewno-słowiańskiego tekstu *Twojego syna*.

2. WZORY LITERACKIE

Piśmiennictwo *in vulgari slavonico* rozwinęło się w Polsce dużo później niż na sąsiednim terytorium czeskim. Odrodzenie myśli Cyryla i Metodego, zapoczątkowane w państwie czeskim za ostatnich Przemyślidów, i zwłaszcza charakterystyczne dla okresu rządów Karola, było bodźcem dla rozwoju literatury w języku rodzimym. Kierując się hasłem „*miły jest Bogu Czech, tak jak i łacinnik*”, okrzepło to piśmiennictwo stopniowo we wszystkich dziedzinach kultury, aż po pionierskie próby liturgii w języku narodowym, jakie się pojawiły w czasach husyckich. Akurat na schyłek XIII wieku przypada wzrost czeskiej ekspansji kulturalnej na ziemię polskie; największy jej rozmach przypada na rząd Karola i trwa poprzez czasy husyckie. Nie jest rzeczą przypadku, że literatura polska w języku narodowym zaczęła się rozwijać dopiero z końcem XIV wieku i wzrosła w siłę z końcem wieku następnego. Zdaniem Brücknera, literaturze czeskiej przypada zasługa ułatwienia w znacznej mierze jej młodszej polskiej siostrze stawiania pierwszych kroków. Ale nawet i wtedy, kiedy czeska sztuka słowa dostarczyła poważnego bodźca rozwojowi polskiej twórczości w języku narodowym, ma polszczyzna w piśmiennictwie średniowiecznym niepomiernie skromniejszą rolę w porównaniu z językiem czeskim. Nie wchodząc w drogę łacinnie w jej licznych funkcjach, polska proza religijna ma przez długi czas za jedyne swoje zadanie uprzystępnienie tekstów religijnych kołom, nie władającym łaciną, ludowi (typowym przykładem są tu Kazania Gnieźnieńskie) i kobietom (Psałterz Floriański, Modlitewnik Nawojki, Modlitewnik siostry Konstancji i in.). Wpływy czeskie nie ograniczają się do rzeczy pisanych po polsku, ale objęły także i polską twórczość w języku łacińskim.

Jest rzeczą wymowną, iż slawica w rękopisach łacińskich polskiego pochodzenia mają częściej językowe zabarwienie czeskie, niż polskie. Jest to zjawisko bardzo stare, albowiem język czeski jeszcze przed powstaniem piśmiennictwa w języku polskim wpłynął na bardziej staranny język polski warstw wyższych, zwłaszcza na Śląsku. Ba, w nauce polskiej wysunięto przypuszczenie, że ta kulturalna polszczyzna poczęła się tworzyć już z początku naszego tysiąclecia i że przejęła niektóre fonetyczne właściwości języka czeskiego, zwłaszcza rozróżnianie *s, z, c, dz* i *sz, ź, cz, dź*. Jeśli jednak zauważymy, że w śląsko-polskich dialektach, graniczących z czeskiimi, zachowały się, prawdopodobnie pod wpływem języka czeskiego, oba szeregi spółgłosek, możemy zmodyfikować przytoczoną hipotezę w tym sensie, że to akurat ta śląska właściwość dialektyczna zachowała się i upowszechniła w polszczyźnie kulturalnej. Wzór czeski sprzyja takiemu upowszechnieniu, zadecydowała tu jednak kierująca rola Śląska w średniowiecznej kulturze polskiej. W imię tego to wzoru wymowy, zorientowanego na czeski, staropolska pisownia odechyliła się od czeskiej, wprowadzając już w trzynastym wieku swoje symbole graficzne, służące dla odróżnienia *ž* od *z*. W fonetycznych bohemizmach polsko-łacińskich dokumentów z w. XII-XIII i najstarszej łacińskiej kroniki Polski Anonima, tzw. Galla, znalazła swoje odbicie ta czeska orientacja kulturalnej polszczyzny okresu przed-literackiego. Tzw. Kronika Wielkopolska z początków gotyku idzie w swej czeskiej orientacji językowej tak daleko, że w charakterystycznej dla owych czasów fantastycznej etymologii nazwy polskiego plemienia Kaszubów (w pisowni autora: *Casshubi*) nie sięga do polszczyzny, ale do czeskiego słowa „huba”. W łacińskim wierszu nagrobkowym z XIV w. sławny polski król Bolesław nazywa się nie z polska Chrobry, ale prawdopodobnie z czeska Chrabry (ściślej mówiąc: Chabri). Pisarze polscy XV wieku wplatają do swoich łacińskich rękopisów glossy charakteru mieszanego, czesko-polskiego, ba i czeskie przysłowia. Na czeskich wzorach i przykładach skrupulatnie opierają się (jak to dowiódł V. Flajshans) nieliczne zabytki polsko-łacińskiej leksykografii, a z łacińsko-czeskich spisów lekarских i roślin polscy ukladacze pozostawili czeskie nazwy niemal że bez zmian.

Nie idzie tu jednak o wpływy językowe. Między źródłami polsko-łacińskich kronik (wspomniana Kronika Wielkopolska, śląska kronika principum Poloniae i kronika Długosza) źródła czeskie zajmują wybitne miejsce. Z Czech do Polski, zwłaszcza w XV wieku na uniwersytet krakowski, dostały się liczne łacińskie rękopisy, a czescy uczeni w Polsce odegrali wybitną rolę w polskim piśmiennictwie łacińskim. Przybyło ich do Polski najwięcej z początkiem XV wieku. Wielu było Czechów i Polaków kształconych w Pradze wśród pierwszych profesorów uniwersytetu krakowskiego, założonego na wzór praskiego, a burza husycka wyrzuciła do sąsiedniego państwa słowiańskiego tak propagandzistów nowej nauki, jak i antyhusyckich emigrantów.

Z uczonych czeskich tego okresu, zapisanych w dziejach kultury polskiej, są zwłaszcza znani: Jan Szczekna, autor licznych łacińskich kazań oraz rozważań religijnych, Maurycy Rwaczka i Stefan Palecz, polemici antyhusyccy, oraz wybitny autor pism teologicznych, mnich Hieronim z Pragi.

Wybitnym wkładem pism czesko-łacińskich do polskiej ideologii były hasła wspólnoty słowiańskiej oraz nacjonalizmu, o charakterze obronnym, antyniemieckim. Jeszcze do okresu przed końcem XIII wieku należy tzw. list królowej Kunhuty, księżnej trzebieckiej, który, przeciwstawiając się faworyzowaniu niemieckiego duchowieństwa, kładzie podwaliny słowiańskiej orientacji. Na początku następnego wieku łacińska pieśń czeskiego pochodzenia *De quodam advocato Cracoviensi Alberto* podburza Polaków przeciwko Niemcom, którzy „*semper volunt primi esse et nulli prorsus subesse*”. A o około sto lat później mnich Hieronim z Pragi poucza polskiego czytelnika o słowiańskiej wspólnoty „*Bohemie, Polonie, Ungarie, Bosnie, Bulgarie, Russie, Serbie, Albanie, Dalmacie et Charvacie*”; łączy te ziemie, jak pisze, „*Bohemorum lingua*”. Na użytek Polaków płynęła z tej propagandy teza „*Polonis et Bohemis unam esse linguam*”, i hasło kulturalnego postannictwa języka narodowego, oparte o czeski wzór. Te to hasła świadczyły o zdrowym współzawodnictwie z łaciną i niemieczyzną, która, inaczej niż u Czechów, głębiej przenikała do polskiej kultury duchowej, zwłaszcza do piśmiennictwa. Podczas gdy u Czechów nie spotykamy się z rękopisami, w których występują razem teksty w języku ojczystym i w niemieczynie, u Polaków, a zwłaszcza na Śląsku, takie przykłady dwujęzyczności są początkowo dość pospolite. Psalterz Floriański jest trójjęzyczny: łaciński, polski i niemiecki. Najstarsze teksty polskich modlitw zostały zapisane po traktacie łacińskim i po niemieckich modlitwach. Dwa najstarsze zapisy polskich pieśni świeckich sąsiadują w kodeksach Mikołaja z Koźła i Krystyna z Góry z pieśniami niemieckimi i z łaciną. Ani jedna staroczeska legenda nie wskazuje na wzór niemiecki, ale jedyny przykład wierszowanej hagiografii polskiej, fragment legendy o Św. Aleksym, jest bliski wersji niemieckiej. Rola duchowieństwa niemieckiego była większa w Polsce i wyraźniejsze są ślady niemieckiego wpływu na polską pisownię. Temu to groźnemu niemieckiemu naciskowi, jakiego doświadczała polska literatura, skutecznie przeciwstawiała się *Bohemorum lingua*. Jej bliskość polszczyźnie i teza o wspólnym języku Czechów i Polaków umożliwiały i ułatwiały to przenikanie czeskiego języka literackiego i czeskiego piśmiennictwa, to płodne w skutki świadome krzyżowanie obu struktur językowych, pojętych jako odmiany jednego języka i w rezultacie próby stworzenia własnego, czysto polskiego wariantu języka literackiego. Tak liturgia *nobilis slavonici idiomatis*, przeniesiona w r. 1390 z założonego przez Karola Emausa „na Slovanehch” do Krakowa, musiała, jak świadczy Długosz, wpłynąć na słowiańskie uświadomienie językowe.

Obok czeskich tekstów poetyckich, które docierały do Polski, czytane tam były w oryginale i niekiedy tylko w Polsce się zachowały, znamy wiersze czeskie kopiowane przez Polaków z mimowolnymi polonizmami (np. kopia wierszowanych i prozaicznych modlitw czeskich w kodeksie krakowskiej biblioteki uniwersyteckiej, który cytują Krcek i Bidlo), czeskie pieśni napoły przepisane, a napoły przełożone (jak np. pieśń o Św. Dorocie), a wreszcie czym dalej, tym czystsze językowo przekłady z języka czeskiego na polski. Język czeski polskiej recenzji („gmatwanina dwujęzykowa”) nie poprzestawał na adaptacji czeskich utworów, ale i znalazł niekiedy wyraz także i w oryginalnych dziełach poetyckich (*cantilena inhonesta* w rękopisie Mikołaja z Koźła). Również i czeska forma poetycka, w pewnej mierze przystosowana do wymagań polszczyzny, zachowała się nie tylko w przekładach, ale też była wzorem i dla oryginalnych twórców polskich (bez względu na to, czy domysł polskich i czeskich uczonych o czeskim wzorze staropolskiej legendy o Św. Aleksym jest trafny, czy też nie, poetycka, zwłaszcza wierszowa forma tej legendy jest, jak słusznie przypuszcza Hrabak, bezpośrednią kontynuacją epickiej formy czeskiej). Ba, można nawet powiedzieć, że wszystkie metryczne i stroficzne odmiany polskiej poezji wieku XV mają (aż do rzadkich odgłosów rodzimych form folklorystycznych) wzór w bogatych zasobach czeskich.

Mimo archaicznego pochodzenia Bogurodzicy, nie ma polska poezja zabytku, który byśmy mieli prawo datować przed końcem XIV wieku. Znaczna większość spośród najstarszych liryków polskich albo ściśle odtwarza, albo przekształca znane czeskie wzory. Z liryki religijnej na temat zmartwychwstania należą tutaj: 1. Bóg wszechmogący wstał z martwych żądający (Bóh wsemohuci wstał z mrtvych zaduci); 2. z trzeciej strofy tej czeskiej pieśni wywodzi się także i drugi polski wiersz, Chrystus z martwych wstał je, ludu przykład dał je (Jesu Kriste, vstał si, nam na prikład dal si); 3. Wesoly nam dzien nastal, gdy Pan Chrystus zwyciezyl (Vesely den nam nastal, v nemz stvoritel zvitezil); 4. O krzyżu, bądź pozdrowiona nasza nadziejo jedyna (O krizi, zdrav bud', nadeje jedinka); 5. Jezusa Judasz przedał za pieniądze nędzne (czeski wiersz Umucenie naseho Pana milostneho, od wiersza: Jezise Jidas prodal za penize nuzne); 6. Witaj, miły Jezu Kryste, Tyś z prawej dziewczki czystej (czeski wiersz: Vitej, mily Spasitelu, od wiersza: Vitej mily Jesu Kriste, jak se pocal z dievky ciste). Z cyklu pieśni na Boże Narodzenie mają udowodniony czeski wzór utwory: 1. Stałac się rzecz wielmi dziwna, panna syna porodila (Stalat' se jest vec divna, panna syna porodila); 2. Zdrów bądź, królu angielski, k nam na świat w cieie przyszly — pieśń niemal że dosłownie powtarzająca wzór czeski (Zdrav bud' krali anjelsky, k nam na svet v tele prisly), oraz pewna ilość czeskich kolend, na których czeski wzór wskazał Dobrzycki. Modlitwa do Ducha Św., Dusze święty, zawitaj k nam, jest związane z czeską modlitwą Zavitaj k nam, svaty Duse. Z pieśni maryjnych naśladowują wzory czeskie: 1. Na-

sze nadziejo przemiła, Tyś wszystka niebieska siła (znane czeskie Vzyvani panny Marie od wiersza Nase nadeje premila, tva nebeska vsecka sila) i 2. Zdrowa bądź, najświętsza królewno (Zdrava najsvetsie kraleвно); na czeski wzór wskazuje także i 3. Zdrowaś, gwiazdo morską, boża matko święta (Zdrava, morská hvezdo, bozie matko svata). Staroczeskie Vzyvani sv. Doroty (Doroto, panno cista, tvój hod cti cierkev svata) zostało powierzchniowo spolszczone: Doroteo, cna dziewko czysta, ciebie czci cyrkiew święta... W niektórych przypadkach można myśleć o czeskim wzorze także i wtedy, kiedy tekst jego się nie dochował. Trzeba tu jednak wielkiej ostrożności, gdyż ani leksykalne, gramatyczne i fonetyczne bohemizmy, ani metryka i strofika, nawiązujące do wzorów czeskich, ani rymy zakotwiczone w wymowie czeskiej a nie polskiej (np. rymy biskupi — skąpi, czeskie skupi), ba, ani nawet poszczególne zbieżności z czeskimi zabytkami nie mogą służyć jeszcze jako decydujące dowody czeskiego wzoru tego czy innego polskiego utworu; posługiwanie się bowiem słowami, formami, strukturami wersyfikacyjnymi, cytataми i kliszami, czerpanymi po prostu z czeskiego zasobu, było w staropolskim piśmiennictwie powszechne, także i w tych utworach, które nie są przekładami i naśladownictwami czeskich dzieł.

Nie oddzielaliśmy od siebie wierszowanych modlitw śpiewanych i tylko recytowanych. Prawda, w nauce czeskiej słusznie podkreślono ważność tego rozróżnienia, przeprowadzono je jednak tylko prowizorycznie i domaga się ono tu i ówdzie rewizji; w historii poezji staropolskiej rozróżnienia tego w ogóle nie wprowadzono i wszelkie utwory religijne mową związaną bywały nieściśle określane jako „pieśń religijna”. Do pomnożenia i rozpowszechniania i popularyzacji prawdziwych pieśni religijnych znacznie przyczynił się nie tylko w Czechach, ale i w Polsce, ruch husycki, a już przed nim narodowo uświadomiony prąd reformacyjny w czeskim duchowieństwie. Zwłaszcza podkreślono polską działalność Czecha Szczekny, kapelana królowej Jadwigi. Także agitacyjne utwory husyckie oddziaływały również i na Polaków: śląsko-polskim odgłosem czeskiej pieśni przeciw Zygmunтови Luksemburczykowi o bitwie pod Kutną Horą z 1421 r. jest utwór ogłoszony przez Dielsa, „Słyszeli smy nowiną”, a pochwalna pieśń Andrzeja Gałki o Wklefie w zupełności należy swoją ideologią, emocjonalnym zabarwieniem i formą wierszową do kręgu czeskich utworów husyckich.

W dziedzinie liryki świeckiej spolszczeniem czeskiego powiedzenia (Ach, kak velmi boli, kdyz trdlem hlavu holi...) jest czterowiersz Ach, miły Boże, toć boli, kiedy chłop kijem głowę goli...; R. Ganszyniec zebrał dowody na czeskie źródło wierszowanego listu miłosnego (dodajmy, że rym „cizie strany — Polany” redakcja polska z powodów łatwych do zrozumienia zastąpiła w wyliczeniu obcych ziem rymem dźwiękowo gorszym „strony — Morawy”); St. Dobrzycki znalazł źródło obszernego staropolskiego utworu „Skargi umierającego” (Ach! mój smętku, ma żałości) w czeskim wierszu O rozdeleni duse z telem

(Ach! mój smutku, ma złości). Z czeskimi Nauceniami způsobu prestonich związanych jest, według Hrabaka, staropolski wiersz Słoty analogicznej treści. Z polskich utworów mnemotechnicznych tkwią w czeskiej tradycji wierszyki kalendarsowe, tzw. Ciosiojany. Badacze słusznie podkreślają, że droga, jaką przeszła pod czeskim kierunkiem polska poezja w ciągu XV wieku, jest dużo dłuższa, cięższa i ważniejsza dla wytyczenia kierunku rozwoju, aniżeli droga, która od tej poezji wiedzie do wybitnego dzieła Reja.

Niewiele tylko danych dochowało się do naszych czasów o pierwszych krokach polskiego dramatu religijnego, a przecież wpływy czeskie wyraźnie objęły i ten dramat. J. Polivka zwraca uwagę na ułożony w formie dramatycznej szkic obchodu Bożego Narodzenia, pisany po czesku i znaleziony w łacińsko-polskim rękopisie krakowskim, a znakomity znawca staropolskiego teatru St. Windakiewicz uważa, że staroczeskie dramaty wielkanocne były naśladowane w Polsce i że późniejsze opracowanie takiego naśladownictwa dochowało się w polskim dramacie o Zmartwychwstaniu Mikołaja z Wilkowiecka.

Poezja polska sprzed końca XIV wieku reprezentowana jest wyłącznie dwoma pierwszymi strofami Bogurodzicy, proza polska — wyłącznie fragmentami Kazań Świętokrzyskich. Prozy artystycznej w polskim języku także i XV wiek na dobrą sprawę niemal że nie zna. Na wzór biblii w języku czeskim, rozpowszechnionej w Polsce, pojawiła się próba spolszczenia czeskiego tekstu, a właściwie, jak zauważali badacze od Dobrowskiego do Polivki, a czego szczegółowo dowiódł Urbańczyk, po prostu polskiej transkrypcji czeskiej biblii. Niewolniczo zależne są od czeskich wzorów także i staropolskie przekłady psalmów. Najstarsza próba, Psalterz Floriański, powstał z końcem XIV wieku na terytorium czeskim, w pobliżu czesko-polskiej granicy etnograficznej, w Kładsku. Licznymi bohemizmami wskazują na swój czeski wzór codzienne modlitwy w polskich rękopisach XV wieku, znajdujące się we wrocławskim pierwodruku z r. 1475, przy czym Pozdrowienie anielskie, w porównaniu z dochowanym czeskim tekstem modlitwy, nawiązuje do bardziej archaicznego czeskiego pierwowzoru. Zbiór modlitw, pisany z końcem XV wieku dla jakiejś Nawojki, jest bądź to przekładem nieznanego czeskiego zbioru modlitw, jak dowodzi rozbiór Krcka, albo też polską kompilacją różnych źródeł, tylko częściowo czeskich, jak sądzi Brückner. Nieco młodszy zbiór, Modlitewnik siostry Konstancji, z wyjątkiem końca, dopisanego inną ręką, tak obfituje w bohemizmy, że czeski wzór jest wielce prawdopodobny. Przekładem z czeskiego jest także i najstarsza dochowana polska reguła, reguła trzeciego zakonu Św. Franciszka. Wydaje się, iż fragment Widzenia Św. Brygidy z drugiej połowy XV wieku jest także związany z jakimś czeskim wzorem. Staropolski przekład czeskiej redakcji widzenia Tundala zachował się jedynie w odpisie białoruskim. Stosunek do czeskich zabytków nielicznych fragmentów apokryficznej literatury staropolskiej i urywku le-

gandy o Św. Błażeju, który jedyny reprezentuje w polskim dorobku literackim wieku XV prozaiczne żywoty świętych, czeka jeszcze na szczegółowe zbadanie.

Wśród nielicznych staropolskich zabytków prozaicznych, których zakres ten pobieżny przegląd niemal że w całości wyczerpuje, szczególne miejsce zajmują dwa najbardziej archaistyczne zabytki polskiej prozy: 1. fragmenty świętokrzyskie, szkice polskich kazań z pogranicza XIII i XIV wieku, oraz 2. również kazania, zachowane w rękopisie gnieźnieńskim, niewiele co starszym od Psalterza Floriańskiego. Pierwowzory obu tych zabytków polskiej sztuki kaznodziejskiej nie zostały jeszcze znalezione; interesujące jest spostrzeżenie Brücknera o zbieżnościach w pewnych szczegółach fragmentów świętokrzyskich z łacińskimi kazaniem Marcina z Opawy, wybitnego czeskiego pisarza z trzeciego ćwierćwiecza XIII wieku. Kazania Gnieźnieńskie są wolne od czeskiego nalotu językowego, ale fragmenty świętokrzyskie mają kilka wyraźnych rysów czeskich i w pisowni, i w fonetyce, i w słownictwie. A jednak w polsko-łacińskich rękopisach kaznodziejskich polskie glossy, które wstawiano jako pomoc przy ustnym przekładzie kazań na język rodzimy, mają wiele czeskich elementów językowych. Prawdopodobnie żywe słowo, skierowane do ludu, pierwotnie bardziej unikało obcych słów, ale w XV wieku warstwa czeska w polszczyźnie tak się wzmogła i tak zadomowiła, że z języka wyższych klas zaczęła przenikać i do mowy ludowej. Od czeskich zabytków prawnych z epoki Karola i wcześniejszych w sposób wydatny są zależne najstarsze statuty polskie.

W pierwszej połowie wieku XVI czeskie wpływy w polszczyźnie jeszcze się wzmocniły. Czeskie publikacje znalazły w Polsce piękny zbyt, ba, niektórzy autorzy po prostu dedykowali je polskiemu mecenasom. Poniekąd z pierwszych polskich druków są, zdaniem polskiej fachowej opinii „polsko-czeską gmatwaniną”. I językowy i literacki wkład czeski (opowiadania, literatura dewocyjna) ogarnął w Polsce masy. Rozpowszechniało go drukarstwo, tak czeskie, jak i polskie. Czeska literatura wyznaczała także zakres polskich przekładów i służyła polskiemu tłumaczowi bądź to gotowymi wzorami (np., jak dowodzi Polivka, powieść o Apolloniuszu, królu Tyru), albo przynajmniej pomocą przy przekładzie łacińskich oryginałów (np. czeski przekład dialogu Palinura z Charonem, którym, jak pokazuje St. Vrtel-Wiecznyński, wydatnie posługiwał się polski autor, „ojciec polskiej poezji świeckiej”, Biernat z Lublina). A równocześnie z tym to popularyzowaniem się i schodzeniem w lud czeskich elementów w piśmiennictwie polskim XVI wieku szybko zaczynają się usamodzielniać jej najwyższe, czołowe osiągnięcia. Dojrzała kultura językowa czeskiego gotyku, zaszczerpiona literackiej polszczyźnie, była bodźcem dla jej rozwoju, i złąła się z nią już w twórczości Mikołaja Reja w organiczną całość. Podczas gdy w Czechach wielka poezja gotycka obumarła, a owocnesne warunki kulturalno-polityczne uniemożliwiły kontynuację na tymże po-

ziomie, polskie pierwociny, które ta stara a bogata kultura według wyrażenia Brücknera macierzyńsko wypiastrowała, rozwinęły się w bez porównania lepszych warunkach społecznych zadziwiająco szybko w arcydzieła Jana Kochanowskiego. Wspinała poezja polskiego renesansu jest w gruncie rzeczy właściwie kontynuacją sztuki słowa czeskiego gotyku. A z rozrostem polskiej literatury zaczyna się na schyłku XVI wieku poważne przenikanie polskiej książki w odwrotnym kierunku, do Czech. Nawiązując do pomysłowego powiedzenia Wiktora Szklowskiego, że linia dziedziczenia literackiego idzie od stryja do bratanka, wolno widzieć w szesnastowiecznej poezji polskiej kontynuację i szczytowy rozwój starej poezji czeskiej.

3. ŚLĄSKIE POŚREDNICTWO

W tym czeskim kulturalnym imporcie do Polski głównym pośrednikiem był Śląsk. Był od dawna, jak świadczą śląskie za- bytki XI-XIII wieku, przesycone czeskimi elementami. Od drugiej połowy XIII wieku był Śląsk w swym życiu politycznym, prawnym i kulturalnym w bezpośrednim zasięgu silnych wpływów królestwa czeskiego, a w wieku XIV stał się częścią składową czeskiej korony. Im dalej w czas tym bardziej podlegał czeskiej kulturalnej ekspansji, ale równocześnie utrzymywał ściśle kulturalne i gospodarcze związki z Polską, nie dość na tym — w ciągu XIII i XIV wieku stanął, według trafnego określenia współczesnych polskich historyków, „na czele polskiej cywilizacji”. Ta wybitna rola Śląska w kulturze polskiej trwała i później, a Jan Dąbrowski słusznie podkreśla wybitną rolę, jaką odegrali Ślązacy w krakowskim życiu uniwersyteckim pierwszej połowy XV wieku.

Czesi stali pod względem kultury na czele zachodnich Słowian, a Śląsk mógł mieć przodującą rolę w kulturze polskiej w znacznej mierze właśnie dlatego, że tkwił w zasięgu kultury czeskiej. Był doskonałym pośrednikiem w przyjmowaniu czeskich wzorów, według których kształtowała się i rozwijała polszczyzna literacka i polska kultura.

W nauce polskiej można się spotkać z tendencją do uważania połączenia się Śląska z królestwem czeskim za zjawisko jednoznacznie ujemne z punktu widzenia polskiej historii kultury. Jest to jednak pogląd zbyt jednostronny. Szybkie szerzenie się języka czeskiego w śląskich sferach kulturalnych jest faktem bezspornym. Czeskie zapisy są tam znane już z XIII wieku. Nehring stwierdza, że wśród listów śląskiego pochodzenia czeskie są dużo liczniejsze od polskich; listy śląskie w języku polskim pojawiają się dopiero w XVI wieku, głównie w drugiej jego połowie. Dwory górnośląskie szybko stają się językowo czeskimi. W ciągu XV wieku język czeski przenika do sądu oraz do ksiąg ziemskich i miejskich, i staje się jedynym językiem urzędowym na

Górnym Śląsku. Wrasta tam mocno w grunt, tak że podczas gdy w Czechach i na Morawach język czeski po Białej Górze zostaje wyparty z urzędu i z sądu, na Górnym Śląsku urzęduje się jeszcze z końcem XVII wieku wyłącznie po czesku. Autorytet języka czeskiego stał tam tak wysoko, iż według świadectwa Górnickiego Polak z XVI wieku „choć nie będzie w Czechach, jedno iż granicę Śląska przejedzie, to już inaczej nie będzie chciał mówić, jedno po czesku”.

Nie powinniśmy jednak wyobrażać sobie tego procesu kulturalnego jako mechanicznego rezultatu czeskiego nacisku politycznego na Śląsk, — zasadniczą rolę odgrywała i dojrzałość kulturalna. Dlatego urzędowy język czeski szerzył się i utrzymywał w księstwie Oświęcimskim i Zatorskim jeszcze niemal w sto lat po przyłączeniu do Polski, i dlatego język czeski długo jeszcze odgrywał wydatną rolę w życiu krakowskiej elity. A co najważniejsze, nie powinniśmy zapominać, że przenikanie języka czeskiego na Śląsk nie oznaczało walki dwóch słowiańskich języków literackich. W śląskich kancelariach język czeski zajął miejsce łaciny, i przede wszystkim urzędowej niemieczyny, a w żadnej mierze języka polskiego, który się tam nigdy nie ugruntował. J. Kapras słusznie stwierdza, że „w XV wieku niemieczyna silnie cofa się na Śląsku, ale nie przed elementem rdzennym, rodzimym, polskim, lecz przed elementem czeskim”.

Drogą czeskich wpływów przenikają na polski Śląsk nie tylko liczne niemieckie wpływy kulturalne, ale także i słowiańska świadomość plemienna. Już w liście z r. 1272 przypisywanym Kunhucie wypomina się śląskiej księżnie Agnieszce, że jest przychylniejsza dla niemieckich franciszkanów niż dla swoich polskich czy czeskich współrodaków tegoż zakonu. Ta świadomość słowiańska sprzyjała na Śląsku nie tylko rozwojowi języka czeskiego, była również mocnym bodźcem dla rozwoju polskiego języka i literatury. Ba, rozwój języka czeskiego na Śląsku bezpośrednio a wydatnie sprzyjał uformowaniu się polszczyzny literackiej. Pobudził i utrzymywał myśl, że rodzimy słowiański język literacki jest możliwy i pożądany. Próby opanowania czeskiego języka literackiego nie rzadko udawały się tylko częściowo („czeszczyzna wie to Bóg jaka będzie”). Od tych to niedoskonałych prób i od usiłowań udostępnienia języka literackiego warstwom szerszym i nie należącym do czeskiego świata jest już naturalne przejście do usiłowań świadomie niepełnego naśladowania czeskiego wzoru, do własnego, lokalnego wariantu języka literackiego. Jest rzeczą charakterystyczną, iż niemal że na czeskiej ziemi, w pobliżu czesko-polskiej granicy etnograficznej — w Kładsku, w klasztorze założonym przez praskiego arcybiskupa Arnosza z Pardubic, — powstał z końcem XIV wieku jeden z najstarszych polskich zabytków językowych, Psalterz Floriański, przeznaczony na eksport do Polski (do biblioteki królowej Jadwigi); na Śląsku, jak dowodzi Dobrzycki, często przekładano czeskie utwory poetyckie; z zabytków staropolskich, szczególnie obfitujących w bohemizmy, wyraźnie związane ze

Śląskiem jest wrocławski tekst „Skargi umierającego”, wrocławski rękopiśmienny tekst modlitw i te same modlitwy wydrukowane w statutach synodalnych biskupa wrocławskiego — polski pierwodruk z r. 1475; prawdopodobnie na Śląsku też powstała najobszerniejsza polska próba słownikowa XV wieku — mammotrekt lubiński; także i o większości późniejszych tekstów pisanych „z czeska po polsku”, przypuszcza się, że również powstały w sferze najintensywniejszych wpływów czeskiego języka i kultury, to jest na Śląsku. Jest rzeczą wymowną, że najstarsze dwa zapisy świeckich pieśni polskich znajdują się w rękopisach śląskich z początków XV wieku.

Czeski wkład do poezji polskiej nie ograniczył się do zabytków pisanych, albowiem, jak bardzo wyraźnie podkreśla F. Kolessa, ziemie czesko-słowackie, zwłaszcza Morawy, były poważnym ośrodkiem, z którego, zwłaszcza przez Śląsk, płynęła do Polski tradycja pieśni ludowej.

Brückner oburza się na wspomniany wyżej mieszany polsko-czeski mammotrekt i niektóre inne polskie (czy też według klasyfikacji Dobrzyckiego, śląsko-polskie) teksty XV wieku. Widzi w tym przykład „bezmysłnego lenistwa, niedbalstwa, opieczętowania polskiej. Nie chciało się po prostu ludziom XV wieku najmniejszego wysiłku umysłowego, bali się go jak ognia, zadowalali się przeżuwaniem gotowego czeskiego materiału, nie starając się zastąpić go zupełnie i należycie własnym”. Sąd ten wnosi w ocenę staropolskich stosunków językowych kryteria późniejsze, obce omawianemu okresowi. Tendencje purystyczne były jemu po prostu obce, celem śląsko-polskich literatów był właśnie mieszany twór językowy — czeski język literacki adoptowany, albo też według określenia Brücknera, „przykrojony na ład polski”. Jeśli Brückner uważa, że polski język literacki kształtował się na wzór czeskiego, nie może przypisywać lenistwu systematyczne wysiłki mające na celu połączenie elementów polskich z czeski. Bohemizmy miały na celu podwyższenie społeczno-kulturalnego poziomu tekstu językowego, sygnalizowanie jego charakteru literackiego. Łukasz Górnicki dopuszcza zapożyczenia „z tak podobnego naszej mowie języka, jaki jest czeski” tylko w tych wypadkach, „gdzieby słowa polskiego nie było na tę rzecz, którą by Polak okrzyć miał, albo w przetłumaczeniu z jednego języka na drugi potrzebowałby cudzego słowa”. Ale tego rodzaju filtr zapożyczeń jest objawem dalszego etapu w rozwoju polszczyzny literackiej, podczas gdy polskie pierwociny literackie dążyły zupełnie świadomie do tego, aby zamiast rodzimych słów (albo też form gramatycznych i dźwiękowych) „stawić czeskie, dobrze niż nasze podłejsze”, albowiem w tamtym okresie szło nie tylko o terminologiczne, ale także, a nawet głównie, o stylistyczne wzbogacenie polszczyzny za pomocą bohemizmów i o wyraźne oddzielenie języka literackiego od języka mówionego. Czesko-polskie różnice językowe traktowano wtedy raczej jako społeczno-kulturalne i stylistyczne warianty niż jako terytorialne i plemienne właściwości dwóch różnych języków.

Brückner słusznie powołuje się na analogiczną rolę języka cerkiewno-słowiańskiego w językach Słowian wschodnich i południowych; trudno jednak zgodzić się na jego negatywną ocenę ekspansji tak języka czeskiego, jak i cerkiewno-słowiańskiego. Nowe badania dowiodły, iż cerkiewno-słowiańska kultura językowa nie tylko że nie wyszła na szkodę rosyjskiemu językowi literackiemu, ale że naodwrot można ją uważać za pomyślną szczytówkę. Umożliwiła ona bogate zróżnicowanie stylowe języka rosyjskiego. Dialekty o rozmaitych funkcjach były w rozmaitym stopniu przesycone elementem cerkiewno-słowiańskim. Dla polszczyzny literackiej to samo znaczenie miał język czeski. Na Śląsku XV wieku w języku urzędowym, kancelaryjnym, epistolarnym starano się o czysty język czeski, podczas gdy w języku literackim podstawową warstwą była polszczyzna z poważnym nawarstwieniem czeskim. O stosunku do języka czeskiego decydowały na Śląsku funkcje społeczne.

Roman JAKOBSON

Literatura przedmiotu : T. Lehr-Splawiński, K. Piwarski i Z. Wojciechowski, Polska-Czechy, Katowice-Wrocław 1947. — Francis Dvornik, The Making of Central and Eastern Europe, Londyn 1947. — M. Gumowski, Szkice numizmatyczno-historyczne z XI wieku, Poznań 1924. — E. Klich, Polska terminologia chrześcijańska, Poznań 1927. — T. Lehr-Splawiński, Misja słowiańska św. Metodego a Polska. Collectanea Theologica, t. XIII, 1932. — J. Zathay, O kilku przepadłych zabytkach rękopiśmiennych Biblioteki Narodowej w Warszawie, Studia z dziejów kultury polskiej, Warszawa 1949. — J. Birkenmajer, Zagadnienie autorstwa Bogurodzicy, Gniezno 1935. Tenże, Bogurodzica dziewica, Lwów b. r. T. Lehr-Splawiński, Uwagi o języku Bogurodzicy, Kraków 1936. — R. Jakobson, Česky vers pred tisici lety. Slovo o slovesnost, t. I, 1935. — Tenże, Ceske prvky v polske kulture, Slovo a slovesnost, t. I, 1935. — Tenże, Badani o ceskem versi, Slovo a slovesnost, t. II, 1936. — J. Woronczak, Tropy i sekwence v literaturze polskiej do połowy XVI wieku, Pamiętnik Literacki, t. XLIII, 1952. — N. Nikolskij, Powiest' wriemiennych liet kak istocznik dlia istorii naczalnago perioda russkoj pis'miennosti i kultury. Leningrad 1930. — W. Nehring, Über den Einfluss der altcechischen Literatur auf die altpolnische, Archiv. f. slav. Philologie, t. I, II, V, VI. — A. Brückner, Dzieje literatury polskiej w zarysie, wyd. 3, t. I, Warszawa 1921. — J. Łoś, Początki piśmiennictwa polskiego, wyd. 2, Lwów 1922; por. Polivki rec. I wyd., Listy filologiczne, t. XLIV, 1917. — J. Bidlo, Cesti emigranti v Polsku v dobe husitske a mnich Jeroným Prazsky, Casopis Musea kralovstvi ceskeho, t. LXIX, 1895. — B. Vydra, Polska stredoveka literatura kazatelka a její vztahy ke kazatelke literature ceske, Vestnik Kral. Ceske Spolecnosti Nauk, 1927. — W. Bruchnalski, O źródłach niektórych utworów poetyckich polskich XV i XVI w., Przegląd Powszechny, t. IV, 1884. St. Dobrzycki, Studia nad średniowiecznym piśmiennictwem polskim. Rozprawy Akad. Um., ser. II, t. XVIII, 1901. — Tenże, Kolędy polskie a czeskie, ich wzajemny stosunek, Pozn. Tow. Przyjaciół Nauk, 1930. — R. Jakobson, Slezskopolska cantilena inonestá ze zacatku XV století, Narodopisny vestnik ceskoslovansky, t. XXVII-XXVIII, 1934-35. — J. Hrabak, Staropolsky vers ve srovnani se starocesky, Praga 1937. — Tenże, Staropolska legenda o Sv. Alexiu nemela ceskou predlohu? Slovo a slo-

vesnost, t. IV, 1938. — Tenże, Smilova skola, Praga 1941. — St. Vrtel-Wierczyński, Staropolska legenda o św. Aleksym na porównawczym tle literatur słowiańskich, Poznań 1937. — Tenże, Polski i czeski „Dialog Palinura z Charonem”, Pamiętnik Literacki, t. XLIII, 1952. — J. Woronczak, „Skarga umierającego”, Wrocław, 1949. — Tenże, „Skarga umierającego”. Najstarsze przekazy i wzory obce, Pamiętnik Literacki, t. XXXIX, 1950. — St. Windakiewicz, Teatr ludowy w dawnej Polsce, Kraków, 1902. — J. Polivka, O staroczesne predloze staropolske bible, Sbornik filologicky, t. VI, 1917. — St. Urbańczyk, Z dziejów stosunków językowych polsko-czeskich, Rozprawy P.A.U., Wyd. Filol., ser. II, t. LXVII, 1946. — O. Balzer, Maiestas Carolina i inne źródła prawa czeskiego z XIV w. a statuty Kazimierza Wielkiego, Kwartalnik Historyczny, t. XXXIII, 1919. — S. Rospond, Studia nad językiem polskim XVI wieku, Wrocław 1947. — Tenże, Zabytki języka polskiego na Śląsku, Wrocław-Katowice 1948. — T. Ulewicz, Świadomość słowiańska Jana Kochanowskiego, Kraków 1948. — Tenże, Sarmacja. Studium z problematyki słowiańskiej XV i XVI w., Kraków 1950. — F. Kolesa, Karpatskyj cykl narodnich piseń, Sbornik praci I sjezdu slovanskych filologu, Praga 1932. — Josef Vasica, Krakovske zlomky hlolske, Slavia, XVIII, 1947. — Roman Jakobson, The Kernel of Comparative Slavic Literature, Harvard Slavic Studies, I, 1953.

POLSKIE SŁOWO NA OBCZYŹNIE

Największa na emigracji

KSIEGARNIA
POLSKA

ORBIS

38, Knightsbridge, S.W.1.
LONDON, Gt. Britain

WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE
W JĘZYKU POLSKIM

Wydane gdziekolwiek na świecie
Na składzie zawsze ponad 3.000 tytułów

KSIAŻKI ANGIELSKIE:

Polonica, zagadnienia środkowo-wschodnio-europejskie,
współczesne problemy wojny i pokoju.

Polecamy również:

POLSKIE PŁYTY PATEFONOWE

wiele nowych własnych nagrań.

Płyty wysyłamy zagranicę w przesyłkach
specjalnie opakowanych i ubezpieczonych.

KATALOG KSIĄŻEK I PŁYT NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

O wschodni „Plan Schumana”

W czasie ostatnich 14 lat wielu z nas zastanawiało się nad przyczynami, które doprowadziły do upadku a następnie do ujarznienia środkowo-wschodniej Europy. Zasadniczą przyczyną owego upadku jest fakt, że narody środ.-wschodnio-europejskie żyją — i żyć będą w przyszłości — pomiędzy dwoma potężnymi sąsiadami, którzy w pewnych okresach ulegają żądzy opanowania tego obszaru.

W różnorodny sposób możemy przeciwstawić się tym niebezpiecznym zakusom. Możemy sprzymierzyć się z jednym potężnym sąsiadem przeciwko drugiemu. Pewne kraje naszego obszaru, które stosowały tę politykę przekonały się jednak, że jej koszt jest zbyt wysoki. Inny typ polityki to szukanie poparcia państw zachodnich. 30 lat temu to była dobra polityka — w późniejszych latach okazała się znacznie mniej skuteczna. Ufamy, że w przyszłości ta polityka okaże się znów celowa i skuteczna. Z całą pewnością będzie jednak nie wystarczająca jeżeli nie oprzemy jej o politykę zmierzającą do zjednoczenia naszych sił. W tej części Europy kraj osamotniony nie może być silny. Dopóki 10 państw i 12 do 15 narodów środ.-wschodniej Europy nie nauczą się wzajemnie współpracować, obszar ten narażony będzie zawsze na śmiertelne niebezpieczeństwa. Adolf Berle, Jr., zauważył słusznie, że „ponieważ 100 milionów Europejczyków, żyjących pomiędzy Niemcami a Rosją, nie umiało się zjednoczyć — padło łupem najpierw Hitlera a następnie Stalina”. To jest całkowicie słuszna diagnoza.

Czy potrafimy się zjednoczyć, aby w przyszłości nie paść ponownie ofiarą agresji? W niniejszym artykule chciałbym omówić jeden aspekt ewentualnego zjednoczenia naszych sił.

Zacznijmy od krótkiego przeglądu historii stosunków gospodarczych polsko-czechosłowackich. Do r. 1918 w ramach monarchii austriacko-habsburskiej istniała ożywiona wymiana handlowa pomiędzy Czechami i Morawami a polską Galicją. Czesi wywozili towary tekstylne i metalowe — Galicja oleje mineralne i produkty żywnościowe. W pierwszym okresie powojennych

trudności wymiana powyższa rozwijała się i przynosiła korzyści obu stronom. W r. 1922 Czechosłowacja zapoczątkowała u siebie nową politykę agrarną a jej nowa taryfa celna poważnie zmniejszyła import polskich produktów żywnościowych. Polska odpowiedziała serią nowych stawek taryfowych, które położyły kres eksportowi (do Polski) wielu czeskich wytworów przemysłowych. W r. 1938 Polska była 14-tym klientem Czechosłowacji a Czechosłowacja klientem Nr 9 Polski. Te cyfry wskazują na nienormalnie niski stan wymiany handlowej a mogły być niepomiarne wyższe. Fakty powyższe znajdują wytłumaczenie częściowo w trudnościach natury politycznej, częściowo także i w tym, że sfery handlowe w obu krajach nigdy nie uważały, iż warto rozwinąć stosunki handlowe polsko-czechosłowackie na większą skalę.

W latach 1941/42 rządy czechosłowacki i polski podjęły w Londynie rozmowy na temat ewentualnej federacji polsko-czechosłowackiej. Owa omawiana wówczas federacja przewidywała koordynację gospodarczą obu krajów aż po unię celną włącznie. Rozmowy nie przyniosły pozytywnych wyników głównie z tej przyczyny, iż Rosja ustosunkowała się negatywnie do tego projektu, wyrażając pogląd, iż każdy związek polsko-czechosłowacki będzie wymierzony przeciwko ZSSR.

Następną próbę ułożenia stosunków pomiędzy obu krajami podjął w r. 1947 komunistyczny rząd polski wraz z niekomunistycznym jeszcze rządem czechosłowackim. Zawarto wówczas szereg umów, które przewidują daleko idącą współpracę ekonomiczną i koordynację, łącznie z wspólnym planowaniem gospodarczym. W powyższych umowach posunięto się znacznie dalej niż to było projektowane w Londynie w latach 1941/42. Po praskim coup d'état w lutym 1948 rozmowy zostały ponownie podjęte pomiędzy komunistycznym rządem polskim a komunistycznym rządem czechosłowackim, i w rezultacie, na wiosnę 1948 r., doprowadziły do jeszcze dalej idących porozumień.

Powyższe dwie serie umów są czymś wyjątkowym w nowoczesnej historii środkowo-wschodniej Europy. Na Zachodzie ocenia je mylnie sądząc, że zmierzają one do utworzenia wschodniego zagłębia Ruhry. W moim zrozumieniu ta interpretacja jest błędna. Umowy z lat 1947/48 dotyczą i obejmują swymi postanowieniami całe terytorium obu państw, a nie tylko śląsko-morawsko-ostrowskie zagłębie węglowo-stalowe. Historia owych umów nie jest całkowicie jasna. W jakim celu je zawarto? Nie jestem pewien czy moja odpowiedź na powyższe pytanie jest właściwa. Niewątpliwie zdrowy rozsądek dyktował zawarcie tego rodzaju umów między sąsiadującymi ze sobą państwami, które stosują totalne planowanie i rozbudowują swoje potencjały przemysłowe. Lecz zdrowy rozsądek bardzo rzadko wyjaśnia bez reszty dany kurs polityczny. Jest możliwe, że jakkolwiek są to rządy komunistyczne i poddane sowieckiej kontroli to jednak doszły do wniosku, że skoordynowanie ich potencjałów gospodarczych i polityki ekonomicznych daje im pewien stopień bezpie-

czeństwa wobec sowieckiego kontrolera. Omawiane porozumienia nie zostały nigdy w pełni zrealizowane, ponieważ Moskwa musi się do nich odnosić z największą nieufnością. Wiemy z doświadczenia, że jak tylko jakieś dwa państwa postanawiają uzgodnić swoją działalność w jakiegokolwiek dziedzinie — Moskwa podnosi natychmiast alarm, że jest otoczona.

W rezultacie tylko kilka punktów przewidzianych w umowach między Pragą a Warszawą jest urzeczywistnionych i wykonywanych. Punkty powyższe są jednak nie do zlekceważenia i stanowią zerwanie z przeszłością. Wymiana handlowa pomiędzy obu krajami wzrosła do tego stopnia, iż do roku 1951 — Czechosłowacja była klientem Polski Nr 2 i wzajemnie Polska była klientem Nr 2 Czechosłowacji (pierwsza lokata w obu wypadkach obsadzona jest przez Sowiety). O ile moje informacje są dokładne, Polska jest nadal klientem Nr 2 Czechosłowacji — natomiast Wschodnie Niemcy stały się klientem Nr 2 Polski na skutek wielkiego zapotrzebowania wschodnio-niemieckiego przemysłu metalurgicznego na polskie paliwa.

Jedną z głównych cech charakterystycznych obecnych umów jest fakt, że na ich podstawie Czechosłowacja buduje w Polsce szereg elektrowni i innych zakładów przemysłowych — choćby wymienić Zabrze. To są inicjatywy całkowicie nowe w historii gospodarczej Europy środkowo-wschodniej. Jako Polak jestem zadowolony, że to Czesi dokonują tak wielkich inwestycji w Polsce czy też inni sąsiedzi (choćby wymienić elektrownię w Szczecinie zbudowaną przez Węgrów), a nie Rosjanie. Chemiczne zakłady w Dworach i związane z nimi olbrzymie elektrownie Jaworzno II — miały mieć w pewnej mierze wspólny polsko-czeski charakter a część produkowanego w tych zakładach prądu elektrycznego miała być eksportowana do Czechosłowacji. Nie wiem jak te sprawy wyglądają obecnie w ich aspekcie organizacyjnym, ale wiem z całą pewnością, że polski prąd elektryczny kupowany jest przez Czechów.

Innym interesującym szczegółem w powyższych umowach jest postanowienie, że produkcja ciężkich samochodów transportowych dla obu krajów zarezerwowana jest dla Czechosłowacji, podczas gdy produkcja lekkich i średnich samochodów transportowych zarezerwowana jest dla Polski. Jest to rzadki przykład międzynarodowego podziału pracy i wytwórczości.

Od czasu utworzenia w r. 1949 w Moskwie tzw. Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej znanej pod skrótem „Comecon” — polityki gospodarcze państw ujarzmionych są bezpośrednio kontrolowane przez Kreml. Ten stopień gospodarczej autonomii jakim cieszył się rząd warszawski i praski jeszcze w r. 1948 należy do przeszłości. Dziś nie ma nadziei na jakąś ściślejszą koordynację polityk gospodarczych czechosłowackiej i polskiej — chyba, że koordynacja byłaby nakazana przez Moskwę co wydaje się wcale nieprawdopodobne i wątpliwe. Wytyczne rozwoju gospodarczego a w szczególności produkcji przemysłowej tak Polski jak i Czechosłowacji — zostały z góry nakreślone, lecz nie tylko

przez Pragę i Warszawę. Przemysł czechosłowacki ma produkować ciężkie maszyny i uzbrojenie dla Rosji, kosztem innych dziedzin gospodarki czechosłowackiej. Cele i zadania mniej zaawansowanego polskiego przemysłu nie są jeszcze tak ściśle określone, do czasu, gdy liczne zakłady przemysłowe będące w budowie nie ruszą pełną parą.

A teraz wyobraźmy sobie, że Czechosłowacja i Polska zostały prawdziwie wyzwolone (nie tak jak w r. 1945) i postanowiły utworzyć unię gospodarczą — to jest obalić wszystkie cła i stworzyć wspólne organy planowania gospodarczego. Jaka byłaby pozycja takiego zjednoczonego obszaru gospodarczego vis à vis jego sąsiadów i zachodniej Europy?

Punkt pierwszy — to ludność. Polska liczy ponad 26 milionów mieszkańców a Czechosłowacja niemal 13 milionów. Łączna cyfra 39 milionów jest tylko nieznacznie niższa od cyfry ludności Francji. Polska nie ma mniejszości narodowych a Czechosłowacja tylko mały odsetek. Roczny przyrost naturalny w Polsce wynosi ponad 400.000, — w Czechosłowacji (głównie w Słowacji) przyrost naturalny wyraża się cyfrą ca. 140.000 rocznie. Polska ma przyrost naturalny znacznie większy niż obie republiki niemieckie — federalna i „ludowa”. W tej ostatniej podobnie jak na Węgrzech, w Rumunii w państwach bałtyckich cyfra ludności utrzymuje się na stałym poziomie.

Jeżeli przyjmiemy, że rosnąca ludność oznacza wzrost sił narodu, to wyżej przytoczone cyfry są wymownym wskaźnikiem dynamicznych przemian zachodzących na obszarze środkowowschodnio-europejskim. Jeżeli obecny przyrost naturalny będzie trwał nadal — ludność Polski i Czechosłowacji w 1960 r. przekroczy cyfrę ludności Francji. Czechy i Morawy już obecnie cierpią na skutek braku dostatecznej ilości rąk do pracy, podczas gdy Słowacja posiada pewną rezerwę ludnościową. Nie w pełni wykorzystane siły robocze na wsi w Polsce oblicza się wciąż jeszcze na około 2 miliony mężczyzn i kobiet.

W świetle tych cyfr przyszłość gospodarki czechosłowackiej leży raczej w dalszej mechanizacji produkcji z naciskiem na jakość produktów podczas gdy w Polsce jest jeszcze ciągle rzeczą aktualną ilościowe zwiększenie produkcji.

Jako punkt drugi rozpatrzmy rolnictwo. Około 40 % ludności wspólnego obszaru polsko-czechosłowackiego pracowałoby w rolnictwie. Obszar ten z jednym wyjątkiem — byłby samowystarczalny pod względem żywnościowym. Tym wyjątkiem jest pszenica, której oba kraje nie są w możności wyprodukować w dostatecznej ilości i musiałyby ją kupować w krajach sąsiednich, dopóki nie powiodłoby się przekonać Czechów, że chleb można wypiekać również z polskiego żyta. Wszystkie polskie nadwyżki w produkcji artykułów mleczarskich, nadwyżki drobiu, przetworów masarskich itp. byłyby konsumowane w Czechosłowacji. Im bardziej Polska i Słowacja byłyby uprzemysłowione, tym korzystniejsze otwierałyby się perspektywy dla produkcji rolnej wspólnego obszaru. Na skutek obecnego braku żywności,

zarówno w Czechosłowacji jak i w Polsce, zagrożenie jakie stanowiła dla rolnictwa czeskiego tańsza żywność polska — przestało istnieć. Wzmożenie produkcji środków żywności i dźwignięcie tej produkcji ze stanu obecnego upadku będzie, po wyzwoleniu, naczelnym punktem programu każdej polityki, czy to polskiej, czy czechosłowackiej, czy polsko-czechosłowackiej.

Punkt trzeci — paliwa. Wspólny obszar miałby nadwyżkę twardego węgla, której część skierowana byłaby z Polski do Czechosłowacji — oraz dużo lignitu, którego produkcja mogłaby być znacznie zwiększona. Obecna łączna polsko-czechosłowacka produkcja twardego węgla, wynosząca około 150 milionów ton, jest cyfrą poważną, równą łącznej produkcji Francji, zagłębia Saary i krajów Beneluxu — nie licząc lignitu, którego powyższe kraje nie posiadają.

Wspólny obszar polsko-czechosłowacki posiada nie wiele naturalnej ropy naftowej, lecz teoretycznie może pokryć całe swoje zapotrzebowanie na płynne paliwa produkując w dostatecznych ilościach syntetyczne paliwa płynne z nisko-gatunkowego węgla. Nie twierdę jednak by to była właściwa polityka. Wspólna produkcja energii elektrycznej wynosząca około 24 bilionów Kw. (z czego 13 przypada na Polskę a 11 na Czechosłowację) — choć szybko wzrasta, jest niewystarczająca. Energii elektrycznej można by produkować znacznie więcej zwłaszcza w Polsce.

Jako punkt czwarty rozpatrzmy przemysł. Polacy są bogatsi niż Czesi i Słowacy w siłę roboczą, w surowce energetyczne i w środki żywnościowe, lecz są niewątpliwie mniej doświadczeni w wytwórczości przemysłowej. Według najnowszych danych statystycznych ONZ za drugi kwartał 1952 wskaźnik wytwórczości przemysłowej w Polsce łącznie z kopalnictwem — wynosił 128, podczas gdy w Czechosłowacji 100. Jeżeli się zważy, że stosunek cyfr ludności Polski i Czechosłowacji wyraża się proporcją 202 czy 203 do 100 — to cytowany wskaźnik wytwórczości przemysłowej oznacza, że przeciętny Czech czy Słowak produkuje przemysłowo o ca. 70 % więcej niż przeciętny Polak. Powyższy stosunek wykazuje tendencję stopniowej zmiany na korzyść Polski.

Polska wydobywa co najmniej dwa razy więcej węgla niż Czechosłowacja, polskie fabryki tekstylne są większe niż czeskie a produkcja polskiego przemysłu chemicznego trzykrotnie przewyższa wytwórczość czechosłowacką. Czesi górują nad Polską w szczególności w produkcji maszyn wszelkich typów, zaczynając od gigantycznych generatorów dla elektrowni i samolotów odrzutowych a skończywszy na wytwórczości delikatnych, precyzyjnych instrumentów optycznych i elektrycznych. W tej dziedzinie upłynie wiele lat — nawet w korzystnych warunkach — nim Polacy będą w możności pokryć z własnej wytwórczości swe zapotrzebowanie na maszyny i instalacje fabryczne. Sądzę, że będzie leżało to w interesie Polski, by jej przyszłe wielkie zapotrzebowanie na instalacje przemysłowe pokryte było przez Czechosłowację. Równocześnie przemysł czechosłowacki, który obecnie rozbudowuje się mając w planie dostarczanie maszyn i insta-

lacji fabrycznych Rosji — a tym samym wysoce jest uzależniony od eksportu — korzystać będzie ze znacznie większego bezpieczeństwa, jeżeli w ramach wspólnego obszaru polsko-czechosłowackiego będzie mógł liczyć na znacznie powiększony rynek wewnętrzny.

Punkt piąty — wywóz i przywóz. Wspólny obszar polsko-czechosłowacki będzie miał wielkie zapotrzebowanie na surowce przemysłowe, których nie posiada. Wśród tych surowców wymienić należy ropę naftową, rudę żelazną i manganową, liczne metale kolorowe, siarkę, fosfaty, sole potasowe, kauczuk, bawełnę, wełnę, jutę i tytoń. Część tych surowców można zastąpić bez większych trudności syntetyczną naftą, syntetycznym kauczukiem, syntetycznymi włóknami i plastikami. Innych surowców mogłyby dostarczyć sąsiednie państwa środkowo-wschodnio-europejskie — w pierwszym rzędzie bauksytu, ropy naftowej i różnych rud.

Zasadniczymi artykułami wywozowymi wspólnego obszaru byłyby cukier, przetwory żywnościowe, węgiel, koks, cynk, chemikalia, maszyny różnych typów oraz przemysłowe towary konsumpcyjne.

Perspektywy eksportowe w relacji do światowej konkurencji zależałyby od wielu czynników, których dziś nie można przewidzieć. Jedno wszakże jest pewne: im większy rynek wewnętrzny — tym korzystniejsze perspektywy eksportowe.

Jednak nawet całkowite gospodarcze połączenie Polski i Czechosłowacji nie dałoby w rezultacie tego co określamy „wielką potęgą” w porównaniu np. z Niemcami, Rosją czy nawet Ukrainą jeżeli powstanie w przyszłości. Niemniej jednak, tego rodzaju unia niezmiernie wzmocniłaby zręby obu republik. Obecne przemiany gospodarcze jakich widownią są oba państwa jeszcze bardziej uwypuklają korzyści ewentualnej unii polsko-czechosłowackiej.

Od r. 1945 Polska stopniowo traci swój przedwojenny charakter państwa w dużej mierze rolniczego i „wiejskiego”. Nie mógłbym tego stwierdzić bez pewnych zastrzeżeń, ale zakładając, że ów rozwój ukoronowany zostanie prawdziwym wyzwoleniem — sądzę, iż w takim wypadku i pod tym warunkiem idzie on po linii ostatecznego interesu Polski, gdyż może położyć kres społecznym i strategicznym niedomaganiom i niedoborom, które brały swe źródło z niedostatecznego uprzemysłowienia Kraju.

W ramach unii gospodarczej Polska osiągnęłaby wielkie korzyści, gdyby była wspomagana w dalszej rozbudowie swego przemysłu przez życzliwego sąsiada, który dysponuje w tym kierunku daleko większymi umiejętnościami i doświadczeniem niż Polska a nie dąży do jej opanowania. Korzyści jakie płynęłyby z tego typu związku dla Czechosłowacji są jeszcze bardziej widoczne. Obecne gospodarcze przemiany jakie zachodzą w Czechosłowacji (a w szczególności w Czechach i na Morawach) rujną przedwojenną korzystną równowagę strukturalną republiki

i czynią ją bardziej bezbroną w sensie społecznym i gospodarczym niż przed 1938 r. Istnieje duże potencjalne niebezpieczeństwo w nadmiernym uprzemysłowieniu kraju, który nie ma bezpośredniego dostępu do morza, nie dysponuje ani dostateczną siłą roboczą, ani wystarczającą bazą żywnościową i nie posiada dużego rynku wewnętrznego dla swej produkcji przemysłowej. Tych niebezpieczeństw Czechosłowacja mogłaby uniknąć przez unię z Polską, która choć znacznie uboższa posiada dostęp do morza, siłę roboczą, bazę żywnościową i duży rynek wewnętrzny dla wyrobów przemysłowych — a nie jest zdolna narzucić nikomu swego panowania.

Oczywiście korzyści i bezpieczeństwo byłyby znacznie większe, gdyby któreś z sąsiednich państw przystąpiło na zasadzie całkowitej równości jako trzeci partner do związku polsko-czechosłowackiego. Przystąpienie tylko jednego jeszcze państwa do unii czyniłoby z obszaru tego trój-związku jednostkę gospodarczą mniej-więcej wielkości Francji, a o większym potencjale ludnościowym. Lecz powyższa uwaga przekracza zakres niniejszego artykułu. Chciałbym natomiast podkreślić, że każdy na większą skalę obliczony ruch zjednoczeniowy musi wyjść z pewnego centralnego punktu, który stanowiłby oś krystalizacyjną nowego układu. W środkowo-wschodniej Europie w chwili obecnej jest tylko jeden taki punkt a mianowicie węglowe zagłębie śląsko-ostrowskie z jego wielkim przemysłem metalurgicznym i chemicznym. Na obszarze środkowo-wschodnio-europejskim istnieje wiele innych centrów przemysłowych, choćby wymienić Czechy czy okręg budapeszteński, lecz żadne z tych wielkich ognisk przemysłowych nie może być porównane z zagłębiem śląsko-ostrowskim, gdzie w zasadniczych, podstawowych przemysłach pracuje ponad milion ludzi. Żaden konkretny plan zjednoczenia środkowo-wschodniej Europy nie może zignorować kardynalnej gospodarczej doniosłości tego faktu zarówno w jego aspekcie socjalnym jak i strategicznym. Warto podkreślić, że min. Schuman nie proponował nigdy, by związać gospodarczo Francję, Niemcy i kraje Benelux wokół Renu, choć niewątpliwie ta rzeka jest główną i zasadniczą arterią komunikacyjną wszystkich powyższych krajów. W gruncie rzeczy min. Schuman wyszedł w swym planie z gospodarczej podstawy o znacznie większej doniosłości a mianowicie z połączenia produkcji węgla i stali. Plan Schumana znajduje się w stadium realizacji i jeżeli chodzi o ruch węgla, koksu, rudy żelaznej, żelaza i stali — granice zostały zniesione. Z wyjątkiem Moskwy wszyscy odnieśli się przychylnie do tego szerokiego planu reformy i nie wiem dlaczego my, środkowo-wschodni Europejczycy, mielibyśmy szukać jakiegoś lepszego wzoru w naszym planowaniu.

Byłoby błędem nie doceniać argumentów historycznych, etnograficznych, psychologicznych i czysto politycznych, lecz wszystkie te momenty są w pewnej mierze nierealne bez zdrowej podstawy ekonomicznej.

Powyżej cytowałem już łączną produkcję polsko-czechosłowacką węgla i elektryczności. W oparciu o ten potencjał energetyczny Polska i Czechosłowacja wyprodukowały w ostatnim roku niemal 7 milionów ton stali (3,7 Czechosłowacja i 3,2 Polska) a więc dwa razy tyle co przed wojną. Plany gospodarcze przewidują znaczne powiększenie obecnej produkcji. Gdy liczne fabryki i huty obecnie będące w budowie około r. 1958 rozpoczną produkcję — łączna wytwórczość stali Polski i Czechosłowacji przekroczy 12 milionów ton. To jest skromna cyfra w porównaniu z produkcją Stanów Zjednoczonych ale nie jest wcale mała w odniesieniu do Europy a w szczególności Europy środkowo-wschodniej.

Możemy wyrażać opinie jakie się nam podoba w związku z obecną rozbudową przemysłu metalurgicznego w Polsce i w Czechosłowacji i komentować dowolnie jego rozmieszczenie, kosztą, przyszłą rentowność itp. lecz nie możemy ignorować faktu, że powyższa rozbudowa jest już w połowie dokonana co w konsekwencji pociąga za sobą wielkie przeobrażenia ekonomiczne w naszych krajach. Osobiście sądzę, że przyszłe organizowanie tej części Europy winno się zacząć od inicjatywy analogicznej do Planu Schumana, która w odniesieniu do paliw i stali objęłaby wszystkie kraje obszaru środkowo-wschodnio-europejskiego. Lecz każdy projekt tego typu, winien być poprzedzony porozumieniem pomiędzy dwoma czołowymi producentami węgla i stali tego obszaru tj. Polską i Czechosłowacją.

Jestem zwolennikiem regionalnego zjednoczenia wschodnio-środkowej Europy w ramach zjednoczonej całej Europy. Lecz jest nie do pomyślenia polityczne zjednoczenie bez gospodarczego zjednoczenia, albowiem we wszelkiej działalności ludzkiej nim się powie „B” trzeba w pierw powiedzieć „A”. Jestem głęboko przekonany, że w naszym środkowo-wschodnio-europejskim alfabetie gospodarcze zjednoczenie Czechosłowacji i Polski stanowi podstawowe „A”. Bez względu jakie jeszcze inne litery mamy w naszych planach, wszystko się musi zacząć od owego „A”.

Jan WSZELAKI

Der MONAT

MIĘDZYKRAJOWY MIESIĘCZNIK
POLITYCZNO-LITERACKI
POD REDAKCJĄ MELVINA J. LASKY'EGO
Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.
Cena egzemplarza — 1 DM.

“Fałszywe i złośliwe tony”

Gdy w swoim czasie muzykologowie zajmowali się badaniem wpływu Szopena na twórczość Wagnera (identyfikując chromatykę „Tristana” z chromatyką Szopena) nikt jeszcze nie przypuszczał, że Szopen odegra tak doniosłą rolę w muzyce współczesnej. Badano również wpływy Szopena na Debussyego i Scriabinę, kontynuatora tradycji szopenowskiej, którego mazurki, preludia i nokturny mogłyby uchodzić za dalszy ciąg twórczości Szopena. Scriabin, muzyczny kuzyn Szopena, rozwinął w znacznym stopniu jego styl, wprowadzając doń własne, nowe koncepcje.

Wpływy te częściowo dają się również odnaleźć w muzyce Debussyego, Szymanowskiego i Prokofiewa, choć nie jest od nich zupełnie wolny nawet tak odrębny nowator, jak Bela Bartok. W niektórych dziełach wyżej wymienionych kompozytorów znajdujemy fragmenty, przypominające fragmenty utworów Szopena — właśnie tych utworów, w których Szopen posługuje się najbardziej nowoczesną harmonią. Po dokładniejszym zapoznaniu się z treścią owych podobieństw, przekonaliśmy się, że nie mogły być one udziałem czystego przypadku. Trudno określić jednym słowem czym jest „wpływ” w kompozycji. Oznacza on adaptację a także transformację rozmaitych aspektów, jak harmonii, melodii, rytmiki a także — formy. Przy naśladowaniu zazwyczaj rolę odgrywają pewne reminiscencje muzyczne, a także świadome adaptacje dotyczące głównie akordów i modulacji szarmonizowanych nowoczesnie, które naśladowany kompozytor wprowadził po raz pierwszy. Adaptacje te są honorowane, albowiem stanowią warunek ewolucji w Sztuce, która nie może podążać naprzód tak gwałtownymi skokami, aby w następcy już nic nie było z poprzednika. Wpływy najłatwiej rozpoznajemy po owych reminiscencjach muzycznych, które w takiej czy innej formie przedostają się do dzieła muzycznego. Reminiscencje przechodzą ciekawe koleje, które można nazwać wędrówkami. Dzięki temu ulegają one nieraz całkowitemu przekształceniu. Proces transformacji najlepiej można zilustrować na przykładzie kilku taktów Mazurka b-moll nr 17 Szopena i Etiudy cis-moll op. 42 Scriabina. Pokrewieństwo jest uderzające.

Jest rzeczą charakterystyczną, że moderniści, którzy korzystali z pomysłów harmonicznym Szopena, wzorowali się właśnie na jego najmniej „szopenowskich” harmoniach, na tych, które kiedyś swoją ostrością i śmiałością raziły ucho Roberta Schumanna. Schumann, mimo całego kultu dla Szopena, nie mógł się pogodzić z niektórymi dysonansami szopenowskimi. To, co dziś uważamy za muzykę zrozumiałą, wtedy wydawało się „zbiorem fałszywych i złośliwych tonów”. Określenia tego użył Schumann w związku z pierwszą częścią Sonaty b-moll Szopena. Nie spodziewany zwrot harmoniczny, który uderza już w pierwszych taktach Sonaty b-moll, jest zaledwie zapowiedzią może najdowcipniejszego pomysłu Szopena — „Finału”, w którym Schumann widział tylko złośliwość, zuchwałość i szyderstwo. Trzeba dodać — że jeżeli szyderstwo, to artystyczne i dużej klasy. Można żałować, że takich „dowcipów” Szopen nie zdążył napisać więcej. Sam „Finał” Sonaty b-moll pozwala nam przypuszczać, że gdyby Szopen żył dłużej, jeszcze w niejednym wyprzedziłby naszych współczesnych kompozytorów.

Nie łatwo mógł Szopen ogłaszać swoje nowoczesne harmonie. Często spotykał się z ostrą krytyką, niezrozumieniem, podobnie jak i dzisiaj muzyka Schoenberga spotyka się z oburzeniem i rozumiana jest zaledwie przez garstkę wybranych. W opublikowanych niedawno listach Szopena do Delfiny Potockiej, znajdujemy następujący fragment :

„Coraz mniej z ludźmi o muzyce gadam. Jestem mądry, ale mało takich co mnie au fond rozumieją. Myślę, że tak być powinno, bo kto tylko dla dzisiejszego gustu pisze, o tym jutro zapomną. Jeśli tylko starym łańcuchem brząkać i potrzasać, to stałoby wszystko w miejscu. Trzeba do łańcucha własne oryginalne ogniwo dodać. Czym oryginalne więcej, tym większy krok naprzód”.

Szopen wiedział, że największą popularnością cieszą się liiche kompozycje i bardzo się obawiał, że jego doskonałe dzieła nie zostaną należycie ocenione.

„A ludzie, wiadomo — pisał do Potockiej — głupstwo od arcydzieła nie zawsze rozróżnią, i grać będą to, co powinni w piec rzucić”.

Z drugiej strony nie brak takich, którzy Szopena przesławiają za jego „romantyczność”, „guwernanckość” (określenia tego użył pierwszy Liszt, w drugiej fazie przyjaźni z Szopenem i w związku z jego Scherzem b-moll*). Czy ludzie ci dobrze przestudiowali Sonatę b-moll, Etiudę es-moll i Preludium a-moll — a więc kompozycje, które kiedyś straszły swoimi dziwnymi harmoniami? Słodczy w muzyce — to względna sprawa. Przy wczesnym Mendelssohnie i Griegu, Szopen wydaje się ostry, nowoczesny, wcale nie romantyczny, natomiast w sąsiedztwie Prokofiewa, a zwłaszcza Schoenberga może się wydać słodki jak

*) Szopen krótko się rozprawił z całą twórczością Liszta, pisząc do Potockiej : „Gdy myślę o Liszcie jako twórcy — to staje mi on przed oczyma wyróżniony na szczytach i dmący w trąby jerychońskie, fortissimo i prestissimo”.

lukier. Co się tyczy „fałszywych i złośliwych tonów” przypominamy, że i dzisiaj podobnymi epitetami jesteśmy skłonni darzyć kompozycje Strawińskiego czy Hindemitha. A przecież nie ulega wątpliwości, że kiedyś te ultra-nowoczesne harmonie wydadzą się „zbyt romantyczne” lub co najmniej — „zrozumiałe”.

W pomysłach muzycznych Szopen wyprzedził swoich następców o lat kilkadziesiąt. Tonacja fantastycznie scharmonizowanego Preludium a-moll do dzisiaj pozostała tematem sporów. Trudno sobie w tamtej epoce wyobrazić utwór jakiegokolwiek kompozytora, nie mający określonej tonacji lub posiadający tonację inną, niż oznaczono. Tonację Preludium a-moll nie łatwo daje się ustalić, mimo że Szopen oznaczył ją zupełnie wyraźnie ! Dla wielu Preludium brzmi w e-moll, są tacy którzy upierają się przy G-Dur, zaś prawie nie ma takich, którzy słyszą je w a-moll... W czasach Szopena Kleczyński nazywał je „dziwacznym” i w ogóle odradzał grywać. Inny szopenista, Schultz, dopatrywał się w tym utworze zgrozy, „od której już tylko krok od obłąkania”. Wiele zwrotów literackich i słów zbytecznych (pięknych a nietrafnych) można by zużyć na krytykowanie tego maleńkiego arcydzieła, ale w celu trafnego scharakteryzowania można się posłużyć tylko jedną drogą : poddać utwór gruntownej analizie. Ta nam wykaże — poza pięknym naturalnym — że wszystko co w tym utworze „dziwi” lub oburza, jest z punktu widzenia wzajemnych proporcji harmonii pierwszorzędne, jeżeli nie więcej. Jednakże nie jest to utwór, po którym należy się spodziewać słodczy szopenowskiej harmonii i romantycznej nastrojowości. Znajdujemy tam tylko silne, miarowo po sobie następujące dysonanse. Nastroj znajdujemy także — ale jest to nastroj całkowitej depresji.

Wpływy ciekawej i odkrywczej harmonii Preludium a-moll wraz z jego ponurą atmosferą, dają się fragmentarycznie pochwycić w drugim „Tańcu Węgierskim” Bartoka, w którym występuje zbliżony chód akordów, ale w tempie nieco żywszym.



Z punktu widzenia „nowoczesności”, błędnie przy tym Preludium śmiała w swych harmoniach i modulacjach Etiuda es-moll, którą prawie że mógł napisać Scriabin.

Dziwne harmonie, modulacje oraz FAŁSZYWE TONY występują jaskrawie w Mazurkach szopenowskich. „Fałszywe dźwięki” pochodzą z ludowych melodii, grywanych „fałszywie” na wiejskich instrumentach bądź z powodu ich prymitywnej budowy i niedostatecznego opanowania ich przez „grajków”, bądź też z uwagi na samą naturę melodii ludowej, domagającej się takiego potraktowania.

Tak więc niektóre zarzuty ortodoksyjnych krytyków, stawiane pod adresem pewnych kompozycji Szopena, jednocześnie godzą w muzykę ludową. Wyżej wymienione aspekty w kompozycjach Szopena, już są dostatecznym materiałem, składającym się na nowy, wielki, nieznanym przedtem styl. Idąc jego śladem, liczni kompozytorzy odnaleźli własne, nowe drogi. Choć trudno przewidzieć, jakimi torami poszłaby dalsza twórczość Szopena, gdyby żył dłużej, jednak można wysunąć pewne wnioski już na podstawie tych kilku kompozycji, silnie natchnionych duchem dzisiejszej współczesności.

U Prokofiewa i Bartoka (w mniejszej mierze) słyszymy odbicia harmonii szopenowskich. Elementy i figury „Finału” Sonaty b-moll Szopena wyraźnie występują w Barcarolli Bartoka i w 7-mej Sonacie Prokofiewa. Łatwo się domyśleć, dlaczego właśnie „Finał” Sonaty b-moll cieszył się takim powodzeniem u modernistów. Pozbawiony wszelkiego tradycyjnego tła harmonicznego, cały jest napisany w unisono i przypomina raczej jakąś ekscentryczną etiudę lub preludium o nowoczesnym brzmieniu. Scriabin w żadnej ze swoich sonat nie posługiwał się tak śmiało harmoniami. „Finał” Sonaty b-moll to zbiór dysonansów bez określonej melodii, dysonansów zupełnie nieszopenowskich, które jeszcze dziś zastanawiają wielu doświadczonych muzyków. Utwór ten jest zjawiskiem jako FINAŁ sonaty, ze względu na swoją formę, następnie jako kompozycja SZOPENA, ze względu na swoją odrębną dziwaczność, wreszcie — jest on zjawiskiem W OGÓLE jako *kompozycja* sama w sobie, bez względu na to, kto i kiedy ją stworzył. Wszystkie te aspekty należałoby rozpatrzeć z osobna :

1. *Forma* Sonaty b-moll : już Schumann w swojej głośnej krytyce zauważył, że nic nie wiąże jej czterech poszczególnych części, z których jednakże każda z osobna stanowi arcydzieło.

Istnieją domysły, że w krytyce Sonaty b-moll Schumann powodował się osobistymi pobudkami. W tym okresie zadedykował on Szopenowi swoje „Kreisleriana”, które Szopenowi nie przypadły do gustu. Nawet jeżeli fakt ten pozostawał w jakimś związku z opinią Schumanna, niezbyt ostro skorzystał z możliwości rewanzu, gdyż w słowach w jakich poddał krytyce Sonatę szopenowską daje się wyczuć mimo wszystko prawdziwe, nadal trwające uwielbienie dla Szopena, którego zawsze gorąco popierał. Schumann skrytykował formę sonaty, natomiast jej *m a t e r i a ł* uznał za wspaniałą *).

*) Przytaczamy charakterystyczny ustęp z listu Szopena do Potockiej, świadczący o jego stosunku do schumannowskiej krytyki :

„Tych Schumanna krytyk, to jak Żyd krzyża się boje. Jak mię on zgłupia na śmiech poda, to potem tego nikt nie odrobi. Pomódl się szczerze. Życie moje najdroższe, żeby się on raz ode mnie odczepił”. Ale istniała krytyka, której Szopen dowierzał : „Czemu ja nie żyłem, kiedy żyli Bach i Mozart? Ich krytykę cenilibym nade wszystko. W piec rzuciłbym wszystkie moje bzdury, gdyby oni je za niegodne uznali”.

Zarzut Schumanna co do formy wydaje się dziś śmieszny, chociażby ze względu na ewolucję samej formy, ewolucję w której i Szopen odegrał pewną rolę. Tyle widzący Schumann nie potrafił tego dostrzec i „Finał”, napisany od początku do końca w dysharmonijnym unisono wydał mu się genialnym szyderstwem.

2. Jako kompozycja SZOPENA finał ten stanowi niewątpliwie drastyczny wyjątek najbardziej daleki od wszelkiej jego tradycji tak dobrze nam znanej z Ballad, Scherz i Koncertów. Poza kilkoma taktami, nie ma w tym finale nic „Szopena”.

3. Trzeci punkt — może najciekawszy — to sama budowa „Finału” niezależnie od epoki, w której powstał. Składa się z sekwencji, które momentami mogły być wyjść spod pióra wczesnego Schoenberga, jak np. atonalne sekwencje :



Gdyby utworu tego nie napisał Szopen, lecz Prokofiew, używając go jako finału do jednej ze swoich sonat, nikt by nie wyraził zdziwienia, naturalnie pod warunkiem, że wykonywano by go nieco wolniej i non-legato, czyli — perkusyjnie. Drugiego przykładu jak ów „Finał” nie znajdziemy w całej ówczesnej i dzisiejszej literaturze muzycznej. Istnieją dwie wersje co do treści, którą finał ten ma programowo wyrażać. Jak wiadomo, następuje on po marszu żałobnym i jest zakończeniem sonaty. Według jednych miał on oznaczać „powiew liści na cmentarzu”, według innych — „plotki kamratów po pogrzebie”. Zarówno jedna jak druga koncepcja odpowiadałyby znakomicie programowi tekstowemu, co może posłużyć za jeszcze jeden dowód, że programowość w muzyce jest zupełnie uzasadniona. Przecież nie ma bardziej różnych zjawisk w Przyrodzie jak muzyka powiewu liści i muzyka gderających kamratów. Finał ten może wyrażać wszystko — i nic. Wiele też zależy od sposobu, w jaki się go wykonuje, a także — i najwięcej — w jaki się go słucha. Szum liści można inspirować jedynie za pomocą dużej biegłości i lekkości palców przy umiarkowanej dynamice, natomiast szczebioczące głosy łatwiej oddać grając pasażem kańciasto, mniej legato i bardziej ekscentrycznie. Nawet w tym wypadku wizja plotkarzy nie dałaby się zrealizować i jest nieprawdopodobne, aby znalazła się osoba, która by w takiej interpretacji zdołała rozpoznać gwar głosów ludzkich — oczywiście gdyby jej przedtem nie uprzedzono.

Jeszcze słów kilka o formie tej sonaty. Liszt był zachwycony Sonatą b-moll i zastrzeżenia co do formy miał tylko wobec So-

naty h-moll. Schumann — odwrotnie. Zarówno Liszt jak i Schumann orientowali się w formach kompozycji i obaj byli doskonałymi, bezstronnymi krytykami. Fakt ten daje ciekawe pole do badań. Omówimy zarzut Schumanna, gdyż dotyczy on analizowanej tutaj Sonaty b-moll. Gdy się trochę zastanowimy, schumannowski zarzut wyda nam się pozbawiony wszelkiego praktycznego znaczenia. Chyba nikt by sobie dziś nie życzył, aby Sonata Szopena była lepiej skonstruowana, gdyż nikt nie życzyłby sobie, aby była skonstruowana INACZĘJ. To, że Schumann nie widział związku, pokrewieństwa pomiędzy jej poszczególnymi częściami jest po prostu naiwnym przesądem. Czy we „wzorowych”, klasycznych sonatach Beethovena istnieje zawsze pokrewieństwo pomiędzy poszczególnymi częściami? Najwyżej pokrewieństwo tonacji, które jest tylko fikcją, albowiem tonację można zmieniać na komendę, bez szkody dla dzieła a także bez żadnego wysiłku artystycznego. Każdy mierny muzyk mógłby pozamieniać tonacje w sonatach Beethovena i sam Beethoven nie uczyniłby tego lepiej. Posuniemy nasz pogląd dalej: można by bez uszczerbku muzycznego pozamieniać ze sobą niektóre części sonat beethovenowskich, naturalnie sprowadziwszy te części do odpowiednich tonacji pokrewnych lub „przepisowych”. Jest szereg takich sonat, gdzie można by tej wymiany dokonać bez szkody dla wzajemnych proporcji pomiędzy poszczególnymi częściami. Przeciwnie — swatanie różnych części sonat miałyby swoje plusy: istnieje niejedna sonata, która ma udaną część pierwszą a nieudaną następną (lub odwrotnie). Można by zmontować z najlepszych części rozmaitych „uszkodzonych” sonat (zwłaszcza beethovenowskich!) specjalne sonaty, w których odtąd każda część byłaby arcydziełem. Co za widoki! Czyż ktoś odważy się zaprotestować że podobne połączenie „nie będzie brzmiało”? Że nie będzie logiczne, lub — co gorsza — że nie będzie Beethovenem?!

Oczywiście ten prowokacyjny i swawolny pomysł nie mógłby dotyczyć sonat, których części wzajemnie się dopełniają (np. druga część „Waldsteinowskiej” wchodzi żywcem w trzecią), ale takich sonat nie ma wiele i nie są one przez to wcale piękniejsze od niektórych pozostałych. Forma, gdy tylko nie jest zniekształcona, nie wpływa decydująco na piękno kompozycji — chociaż piękno samej formy istnieje także i stanowi szczególną wartość dla teoretyków. W związku z kwestią pokrewieństwa rozmaitych części w sonacie, nasuwa się jeszcze jedna uwaga: pokrewieństwo takie dotyczy na ogół atmosfery, pewnego współgrania wszystkich części sonaty ze sobą dzięki wspólnym motywom melodycznym — rzadziej — tylko harmonicznym (te ostatnie bywają przeważnie udziałem przypadku). Zrozumiały wyjątek stanowią sonaty z wariacjami, które bez względu na jakość poszczególnych wariacji nie mogą być rozbite. Mozart nieraz sam „przesiedlał” OSOBNO skomponowane części sonaty i w rezultacie taka sonata była kombinacją dowolną, mimo że chmary krytyków i znawców długo wzdychały z zachwytu nad jednolitością

i konsekwentną formą takiego dzieła. W świetle powyższych rozważań schumannowski zarzut upada.



Poglądy na treść, formę i wartość dzieła są materiałem do wiecznych kłótni. Przypominamy, że Schumanna zdziwiła także forma Scherza h-moll. Nie liczył się z tą możliwością, że utwór który Szopen nazwał „Scherzem” mógł się przyczynić do reformy scherza w przyszłości (Przypadkowo forma ta niezbyt się przyjęła w TYM wypadku. Scherza Prokofiewa są bardziej zbliżone do scherz klasyków niż do scherz szopenowskich). Ostatecznie i Scarlatti nie pisał swoich sonat w formie sonat beethovenowskich, a zarówno sonaty Scarlattiego jak Beethovena mimo skrajnej formy są dziełami o trwałej wartości. W ogóle tytuły nadawane kompozycjom słyną z nieścisłości i można przypuszczać, że jest to jedynie udogodnieniem dla kompozytorów, którzy dzięki większej swobodzie mogą się mniej przymuszać do „przepisów”. Swoboda ułatwia pracę nie tylko w życiu powszednim — jest ona także warunkiem pracy twórczej.

Ale istnieją pewne formy, których ignorować nie można. Zalicza się do nich m. in. forma FUGI. Fuga polega właśnie na tym, że jest budowana według wszelkich zasad i nie istnieje taka fuga, w której głosy nie byłyby dobudowywane systematycznie i planowo. Natomiast trudno znaleźć „Fantazję”, która nie miałaby prawa do tego tytułu. Musiałaby to być już chyba — fuga. Wystarczają dwie zmiany tempa i nastroju i kompozycja może się nazywać „Fantazją”. Niemal to samo dotyczy „Ballady”, która tylko „nie ma prawa” być Etiudą lub inną jednostajną formą. Naturalnie marsz żałobny musi być powolny i nie może mieć rytmu walca, a walc rytmu marsza — albowiem są to kompozycje ściśle programowe. To jednak nie stało na przeszkodzie Schumannowi i Schubertowi, którzy napisali kilka marszów na trzy (Schumann: Marsz z „Davidbundler” w „Karnawale”; Schubert: Dwa charakterystyczne marsze na 4 ręce w rytmie na 6/8). Jest rzeczą wiadomą, że każdy nieparzysty rytm jest zarazem rytmem parzystym. Wystarczy skreślić co drugi takt kreską taktową. Albowiem dwa razy trzy jest sześć, a sześć jest liczbą parzystą. Dlatego marsz może być także na trzy. Gdyby każda z ballad szopenowskich została nazwana przez Szopena „Fantazją”, nie podniósłby się głos sprzeciwu, gdyż fakt ten po prostu zostałby niezauważony. Ballady Szopena noszą w sobie wszystkie elementy Fantazji (Ballada f-moll mimo licznych wariacji ma charakter improwizacji, Fantazji) i poza tym są pierwszymi balladami o takiej konstrukcji. Jego Nokturny mają już bliżej ustaloną formę choć i z uwagi na nią Szopen okazał się również nowatorem. (Przy rozwinięciu tego tematu należałoby wziąć pod uwagę Nokturny Fielda). Nokturn Nr 2 Es-Dur, Nokturn Fis-Dur oraz c-moll, stanowią pod względem formy trzy zupełnie różne konstrukcje. Z punktu widzenia formy sensacje stanowią także i głównie szopenowskie Etiudy.

Przykładem może być chociażby Etiuda cis-moll op. 25 o powolnej, nokturnowej melodii, która mogłaby nosić równie dobrze tytuł „Preludium”. Z drugiej strony, wśród preludiumów znajdujemy typową etiudę! Jest nią Preludium 16-ste b-moll, utrzymane w równomiernych szesnastkach granych w presto. Jak bardzo to preludium jest etiudowate wiedzą dobrze pianiści. Jeszcze inne preludia nasuwają myśl o miniaturowych etiudach. Są to preludia G-Dur, Es-moll i fis-moll. O tym ostatnim Szopen w liście do Delfiny Potockiej pisze:

„Jedno fis-moll kłopot mi sprawia, niby wykończone, ale ani pies, ani wydra, jak to u nas mówią. Głowię się, czy mu nogi obciąć i prelud zrobić, czy doczepić ogon i między Etiudy wpakować. Dwie wersje Ci tej nudy posyłam. Wybierz, która Ci się więcej podoba, tę w świat puszczyć”.

(Niestety druga wersja zaginęła!) W listach tych, nazywając swoje preludia „ogryzkami”, Szopen wyraża obawę, że nadto będą przypominały Etiudy. Forma jednak zawsze jest nie-wolą.

Połączenie innych dwóch preludiumów szopenowskich dałoby dla odmiany jeszcze jeden piękny Nokturn: wyobraźmy sobie że odegrano jako jedną kompozycję Preludium Fis-Dur, następnie Preludium fis-moll i jako nawrót do tematu pierwszego znów Preludium Fis-Dur. Przecież nie całkiem inaczej jest zbudowany Nokturn Fis-Dur, z jego drugą częścią, przyrodnią siostrą Preludium fis-moll i C-Dur.

Powyższe uwagi miały na celu wykazać pewną względność formy oraz przypomnieć, że także pod względem formy Szopen okazał się reformatorem. Za reformacją przemawia nie tyle sama „czysta” forma ile treść (czyli muzyka) w nią włożona. Ten ma prawo do zmian formalnych, kto w treści jest geniuszem. Szopen przekonał treścią i dlatego przekonał formą. Gdyby treść jego kompozycji była mniej ciekawa i z formą nikt by się nie zgodził. Sonata b-moll, od której tę dyskusję rozpoczęliśmy, jest fenomenalnym dziełem, które posłużyć może tylko za najlepszy przykład.

W przeciwieństwie niemal do wszystkich kompozycji Szopena, „Finał” Sonaty b-moll — jeżeli ma wywołać odpowiednie wrażenie — musi być zagrany po mistrzowsku. Tego rodzaju zjawiska zostają chciwie podchwytywane przez purystów, którzy posługują się nimi jako dowodem przeciwko Wartości Muzyki Współczesnej. Polega to na tym, iż głoszą, że „Szopen byle jak grany brzmi pięknie, a Schoenberga dopiero trzeba grać genialnie, aby móc go wysłuchać”.

Wszystko jest kwestią przyzwyczajenia i edukacji. Niemniej, trzeba grać genialnie nawet (a może zwłaszcza) mazurki Szopena, rzekomo tak pojętne, że i w złym wykonaniu się podobają. Finału Sonaty b-moll tradycjonalista nie zrozumie i wtedy, gdy będzie on wykonywany idealnie. Najwyżej pochwali grę samą.

To prawda, że w muzyce mniej dostępnej trzeba się uciekać do pomocy najlepszego tłumacza i najwyższej instancji — Interpretacji. Co się zaś tyczy dostępniejszych dla ucha utworów szopenowskich, inaczej ich słucha muzyk wszechstronnie wykształcony, a inaczej ograniczony tradycjonalista. Muzykowi wszechstronnemu nie wystarcza byle jak wygrany Mazurek i pod tym względem ma on nie mniejsze wymagania niż ów tradycjonalista wobec „muzyki niedostępnej”. Czym kompozycja jest łatwiejsza do zrozumienia, a także — dziwnym trafem — czym mniejszej jest wartości — tym TRUDNIEJ ją tak zaprodukować, aby *Muzykowi* się podobało. Co do audytorium niewykształconego (w którym tradycjonalista odgrywa rolę kaznodziei) sprawa przedstawia się niemal odwrotnie. Utwory Schoenberga jak również Finał Sonaty b-moll Szopena dochodzą do świadomości (czy „do serca”) przeciętnego audytorium w najlepszym razie tylko wtedy, gdy są grane wspaniale — zaś proste utwory Mozarta, lub większość utworów Szopena brzmią w ich mniemaniu zrozumiale i w wykonaniu miernym. Spór między audytorium a artystą to spór wieczny, podobnie jak wieczna jest i będzie rozbieżność poglądów między muzycznym Purystą a Indywidualistą. Co więcej, spory o treść i wartość w Sztuce twórczej i odtwórczej istnieją już pomiędzy SAMYMI MUZYKAMI, artystami, indywidualistami. Przychodzi mimowoli na myśl wybitny kompozytor, pianista i myśliciel Feruccio Busoni, który się nie poznał na Mazurkach Szopena („Nic w nich nie widząc”), zaś do którego przemówiły Etiudy, dwie ballady i Preludia w których odnalazł „Wizję Przyszłości”! Busoni — dla kontrastu z Schumannem — „źle skomponowanymi” nazwał drugą i trzecią Balladę. Szkoda, że na sąd nie można pozwać J.S. Bacha, który umarł jeszcze na tyle lat przed przyjściem na świat Szopena. Być może, że Mistrz Formy którego Szopen czcił najbardziej ze wszystkich kompozytorów odnalazłby w każdym jego dziele wady kompozycyjne. Ale Postęp pობłażliwie by się uśmiechnął.

Nieraz zadawano sobie pytanie jak tworzyłyby Szopen, gdyby żył dłużej. Jest to pytanie, na które nikt nie da dokładnej odpowiedzi, albowiem jedną odpowiedzią byłaby sama muzyka. Pozostają domysły. Jednakże wpływ Szopena na współczesnych kompozytorów, którzy odrzucili z niego to „co słodkie” a przyswoili sobie szereg jego śmielszych pomysłów, pozwala odgadnąć, jakimi torami podążałaby jego dalsza, hipotetyczna twórczość. Dysonanse Szopena, te same które przerażały Schumanna, zostały przejęte i rozwinięte przez nowoczesnych kompozytorów oraz stanowią jedną z charakterystycznych cech „Nowej Muzyki”. Moderniści, nawet gdy Szopena nie lubią, mają mu wiele do zawdzięczenia.

“LIBELLA”

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis-en-l'Île - Paris-4^e

Telephon DANton 51-09

poleca ostatnie nowości :

O.M.W. Bernadot, O.P.

MATKA BOSKA W NASZYM ŻYCIU

W oprawie

Cena fr. 750

M. Gawalewicz i P. Stachiewicz

KRÓLOWA NIEBIOS

W oprawie. Z ilustracjami

Cena fr. 750

Ferdynand Goetel

T A T R Y

W oprawie z pięknymi ilustracjami

Cena fr. 775

Wacław Grubiński

PANI SAPOWSKA

Powieść filmowa. W oprawie.

Cena fr. 750

Janusz Jasińczyk

BRUNATNE I CZERWONE

(MAREK KORDA)

Cena fr. 695

Z.L. Zaleski

BALZAK MIĘDZY POLSKĄ A ROSJĄ

Cena fr. 150

Katalogi KSIĄŻEK i PŁYT GRAMOFONOWYCH

wysyłamy na każde ządanie.

Dziecię Europy

I.

*My, którym słodycz dnia przenika do płuc
I widzimy gałęzie rozkwitające w maju
Jesteśmy lepsi od tych co zginęli.*

*My, którzy smakujemy długo żując jadlo
I oceniamy w pełni igraszki miłości
Jesteśmy lepsi od nich, pogrzebanych.*

*Z pieców ognistych, zsa drutów w których świszczę wiatr nie-
[skończonych jesieni,
Z bitw kiedy w szpazmie ryczy zranione powietrze
Uratowaliśmy się przebiegłością i wiedzą*

*Wysyłając innych na miejsca bardziej zagrożone,
Podniecając ich krzykami do boju,
Wycofując się w przewidywaniu straconej sprawy.*

*Do wyboru mając śmierć własną i śmierć przyjaciela
Wybieraliśmy jego śmierć, myśląc zimno : byle się spełniło.*

*Uszczelnialiśmy drzwi gazowych komór, kradliśmy chleb,
Wiedząc że dzień następny cięższy będzie od poprzedniego.*

*Jak należy się ludziom poznaliśmy dobro i zło.
Nasza złośliwa mądrość nie ma sobie równej na ziemi.*

*Należy uznać za dowiedzione, że jesteśmy lepsi od tamtych,
Łatwowiernych, zapalnych a słabych, mało sobie ceniących życie.*

2.

Szanuj nabyte umiejętności, o dziecię Europy.
 Dziedzicu gotyckich katedr, barokowych kościołów
 I synagog w których rozbrzmiewał płacz krzywdzonego ludu;
 Dziedzicu Kartezjusza i Spinozy, spadkobierco słowa „honor”,
 Pogrobowcze Leonidasów,
 Szanuj umiejętności nabyte w godzinie grozy.

Umysł masz wyćwiczony, umiemy rozpoznać natychmiast
 Złe i dobre strony każdej rzeczy.
 Umysł masz sceptyczny a wytworny, dający uciechy
 O jakich nic nie wiedzą prymitywne ludy.

Tym umysłem wiedziony, rozpoznasz natychmiast
 Słuszność rad których udzielamy.
 Niech dnia słodycz przenika do płuc.
 Po to mądre a ściśle przepisy.

3.

Nie może być mowy o triumfie siły
 Bowiem jest to epoka gdy zwycięża sprawiedliwość.

Nie wspominaj o sile, by cię nie posądzono
 Ze w ukryciu wyznajesz doktryny upadłe.

Kto ma władzę, zawdzięcza ją logice dziejów.
 Oddaj logice dziejów cześć jej należną.

Niech nie wiedzą usta wypowiadające hipotezę
 O rękach które właśnie fałszują eksperyment.

Niech nie wiedzą twoje ręce fałszujące eksperyment
 O ustach, które właśnie wypowiadają hipotezę.

Umiej przewidzieć pożar z dokładnością nieomylną.
 Po czym podpalisz dom i spełni się co być miało.

4.

Z małego nasienia prawdy wyprowadzaj roślinę kłamstwa,
 Nie naśladuj tych co kłamią, lekceważąc rzeczywistość.

Niech kłamstwo logiczniejsze będzie od wydarzeń,
 Aby znużeni wędrówką znaleźli w nim ukojenie.

Po dniu kłamstwa gromadźmy się w dobranym kole
 Bijąc się w uda ze śmiechu, gdy wspomni kto nasze czyny.

Rozdając pochwały pod nazwą bystrości rozumowania
 Albo pochwały pod nazwą wielkości talentu.

My ostatni, którzy z cynizmu umiemy czerpać wesele.
 Ostatni których przebiegłość niedaleka jest od rozpacz.

Już rodzi się pokolenie śmiertelnie poważne
 Biorące dosłownie co myśmy przyjmowali śmiechem.

5.

Niech słowa twoje znaczą nie przez to co znaczą
 Ale przez to wbrew komu zostały użyte.

Ze słów dwuznacznych uczyni swoją broń,
 Słowa jasne pograżaj w ciemność encyklopedii.

Żadnych słów nie oszczędzaj, zanim urzędnicy
 Nie sprawdzą w kartotece kto mówi te słowa.

Głos namiętności lepszy jest niż głos rozumu,
 Gdyż beznamiętni zmieniać nie potrafią dziejów.

6.

Nie kochaj żadnego kraju : kraje łatwo giną.
 Nie kochaj żadnego miasta : łatwo rozpada się w gruz.

Nie przechowuj pamiętek, bo z twojej szuflady
 Wzbije się dym trujący dla twego oddechu.

Nie miej czułości dla ludzi : ludzie łatwo giną
 Albo są pokrzywdzeni i wzywają twojej pomocy.

Nie patrz w jeziora przeszłości : tafla ich rdzą powleczone
 Inną ukaże twarz niż się spodziewałeś.

7.

Kto mówi o historii jest zawsze bezpieczny,
 Przeciwno niemu świadczyć nie wstaną umarli.

Jakie zapragniesz możesz przypisać im czyny,
 Ich odpowiedzią zawsze będzie milczenie.

Z głębi nocy wynurza się ich pusta twarz.
Nadasz jej takie rysy jakich ci potrzeba.

Dumny z władzy nad ludźmi dawno minionymi
Zmieniaj przeszłość na własne, lepsze podobieństwo.

8.

Śmiech powstający z szacunku dla prawdy
Jest śmiechem którym śmieją się wrogowie ludu.

Wiek satyry skończony. Odtąd nie będziemy
Podstępłą mową szydzić z nieudolnych monarchów.

Surowi jak przystało budowniczym sprawy
Pozwolimy sobie jedynie na pochlebczą żartobliwość.

Z ustami zaciśniętymi, posłuszni rozumowaniu
Wkraczajmy ostrożnie w erę wyzwolonego ognia.

1946.

Czesław MIŁOSZ



Powyższy wiersz jest wzięty z tomu poezji CZESŁAWA MIŁOSZA pt. : *Światło dzienne*. Tom ten ukaże się w bieżącym roku w ramach wydawnictw BIBLIOTEKI „KULTURY”.

Światło dzienne można już zamawiać w administracji „Kultury” lub u jej przedstawicieli.

Cena egzemplarza (ok. 160 str.) 350 fr. (7 sh., \$ 1,00).

Kociołek na Ziemowita

I.

Oficer służbowy napisał w Książce Raportów sakramentalne : *W czasie mojej służby nic ważnego nie zaszło. Jedynie przy KO4 ktoś przystawił w nocy drabinę do okna na pierwszym piętrze, po stwierdzeniu, że okno nie wykazywało śladów włamania i pozostawoło zamknięte, kazałem drabinę zdjąć. Cezary Gach, por. Of. Służb.*

Raport ten w Książce Raportów zajął kolejne miejsce na stronie numerowanej z datą październikową, przed nim były inne raporty, po nim dalsze dwa, albo trzy, ale nie więcej.

Albowiem Książkę Raportów zabrano, dano nową, a porucznika Gacha wkrótce potem zawezwał przed swe oblicze człowiek cywilny w randze majora, naczelnik Zenon Bijas.

Człowiek był średni wiekiem, wzrostem i zachowaniem, z lokiem na wklęsłym czole w formie sierpa.

Por. Gach z niemilym zdziwieniem skonstatował, że wzrok cywila Bijasa był rozstawiony pod szerokim kątem, co tylko wówczas miało miejsce, gdy cywil Bijas popadał w stan szalonego zdenerwowania.

— Tu mam — głos naczelnika Bijasa był szczypiący, jak ałun (a działo się to w Gdańsku, w lat kilka po wyzwoleniu, w dyżurce służbowej z piecykiem żelaznym z rurą wpuszczoną w dach) — wasz raport z tego miesiąca, w którym jest wzmianka o drabinie. Ja was proszę o bliższe, że tak powiem drobiazgowo, szczegóły. Mówcie !

— Drabina — szybko przelknął ślinę por. Gach w postawie na baczność — drabina obywatelu naczelnika była przy KO4 od strony magazynów, ale okno zostało nienaruszone, wobec czego kazałem drabinę zdjąć. I ja podałem w raporcie...

Major Bijas podbił lok, który mu zaraz opadł na dawne miejsce.

— Obywatelu poruczniku, czy wy przypadkiem sobie nie wyobrażacie, że ja was zaprosiłem, aby z waszych własnych ust jeszcze raz posłyszeć ten sławny raport ? Jest pan w błędzie ! — Podjął z biurka kartkę z notatką i czytał prędko. — Kto przy-

stawił drabinę? O jakiej porze? Czy drabinę stawiała jedna osoba, czy więcej? Jeżeli więcej, to ile? Mężczyźni, kobiety i w jakim wieku? Jak byli ubrani? Skąd jest drabina? Do kogo należy? Jakiego gatunku drabina? Tapicerska, ogrodnicza, stajenna, domowa, strażacka, pojedyncza, podwójna, składana, czy zwykła? Gdzie jest obecnie przechowywana? Meldować z nazwiskami i ze wszystkimi dodatkowymi szczegółami! Ze szczegółami!

Por. Cezary Gach po raz pierwszy w czasie nieskazitelnej służby zbuntował się:

— A skąd ja mam wiedzieć, kto tę cholerną drabinę przystawił, jeśli nie było żadnego włamania i jeśli w ogóle nic nie było?!

Zenon Bijas zrobił gest. Por. Gach obleciał wzrokiem dyżurkę w nagłym pomieszczeniu, wyprostował się i, jak w szkole oficerskiej, przyszczypnął szwy.

— Drabina, obywatelu naczelniku, była zwyczajna, owszem, trochę dłuższa niż zwyczajna, bo jak sobie w tej chwili uświadamiam, była sztukowana, znaczy zbita z dwóch sztang. Poza tym nic specjalnego, normalna drabina. W tej chwili jeszcze sobie uświadamiam, że była niemalowana i dość przybrudzona po wierzchu. Kazałem żołnierzom ją zdjąć i zaraz się mogę dowiedzieć, gdzie ją ponieśli. Kto ją przystawił, nie miałem sposobu widzieć, bo kancelaria nie daje wglądu na tył KO₄, zaś w czasie mojej inspekcji...

Z huczącego ogniem piecyka nagle zwałił się na podłogę rozżarzony koks. Por. Gach postąpił krok, jakby chciał się zabrać do ratowania dyżurnej podłogi, ale obywatel naczelnik znowu zrobił gest.

Gestem tym objął nie tylko nieszczęsnego Gacha, ale i siebie samego i ów rozżarzony piecyk, więcej, nieobecne nawet w dyżurce osoby i rzeczy. Rzekł:

— Słuchajcie, obywatelu! Ja nie lubię straszyć i choć w czasie waszej służby nic ważnego nie zaszło, bieda będzie...

Z gestu sądząc, bieda się zapowiada w szerokim wachlarzu... Ano!...

2.

Pamięta kto może październikowy deszcz w Gdańsku?

Który bije z ukosa i tak się przy tym nastawia, żeby z silnym wiatrem zawsze ciąć w twarz?

Pamięć ludzka jest po to, aby ciąć wspomnieniami, i jeśli kogo wiatr z deszczem w tej chwili nie tnie, tnie, go podobnie pamięć...

W czasie takiego właśnie październikowego deszczu, pluton gdańskiego WOPu, pod komendą por. Gacha, maszerował gęsiego po trapie „SS. Gotland” w Nowym Porcie.

Okręt był szwedzki, biały; na czarnej tablicy w Urzędzie

Morskim kredą było uwidocznione, że odjazd tego Szweda miał nastąpić punkt o godzinie 17-tej.

Pluton wmaszerował na pokład i por. Gach ustawił go według instrukcji na dziobie, w dwa szeregi od kabiny nawigacyjnej aż do kotwicznej burty.

Wichrem porwany deszcz ciął w twarz wszystkich na pokładzie Wopowców, obojętne, czy który stał frontem, czy tyłem do swego dowódcy. Pod okrągłymi czapami z kutym daszkiem wszyscy chłopcy jednakowo mieli twarze zalane deszczem.

Kapitan Gotlandu z punktu zdenerwował szefa inspekcji; nim się jeszcze przywitał (a był w czarnym, burżujskim gumowcu z kapiszonem i mógł gwizdać na deszcz!) pokazał ręką na cieknące niebo i wyraził się gestem, że jest niemożliwe!

— Niemożliwe? (warto było posłyszeć służbowy śmiech por. Gacha!). Niemożliwe? Dla Polaków możliwe, a dla was, Szwedów, ma się rozumieć nie?! Niemożliwe, on powiada! Otóż ja powiadam i powtarzam, że cała załoga ma stanąć na pokładzie i ma stać, deszcz nie deszcz, inaczej okręt centymetra od kei nie ruszy, zapowiadam i wyjaśniam! Zrozumiano, czy nie?!

Por. Gach mówił to wszystko po polsku i dobitnie, z intencją, że jeśli szwedzki syn nie rozumie, niech się nauczy po polsku. Tyle służbowej energii włożył w głos, że kapitan Gotlandu od razu skapitulował.

Niechętnie, ale dał znak. Zadzwoił dzwon okrętowy. Zaczęli wyłazić z ciepłych schowków niechętni marynarze w ceratych i brezentach, szli leniwie na przedni pokład, otrząsając się z deszczu psim dreszczem.

Miała być (według instrukcji) obecna na inspekcji cała załoga, z wyjątkiem kapitana, który mógł czekać w kabinie, i z wyjątkiem cieśli, który w swoim warsztacie miał prawo się spodziewać rewizji.

Por. Gach, chłop jak byk, stał na środku pokładu nie szukając żadnych przed deszczem osłon; deszcz jest deszcz, wiatr jest wiatr, Gotland jest Gotland, a służba jest służba!...

Wydobył z mundurowej kieszeni listę załogi i odczytywał; wcale się nie kępował, że przekręcał zagraniczne nazwiska i prawdopodobnie źle akcentował — i że deszcz bił w papier, jak CKM w tarczę. Przy nim stał przodownik wyszkolenia bojowego i politycznego, chluba WOPu, sierżant Władysław Rym.

Ten, o sympatycznych, w tej chwili mokrych rysach sierżant, spełniał odpowiedzialny obowiązek Polski Ludowej: kiedy porucznik wyczytał nazwisko, a wywołany marynarz powiedział „jä” — sierżant Rym maszerował krokiem sprężystym, zaglądał w twarz, sprawdzał i dostatecznie przekonany pozwalał mu odejść na bok.

Tak według instrukcji dokonywał się przegląd załogi, żeby jaki zdradziecki szpieg w szwedzki kapiszon się nie ubrał i sobie nie zdrwił...

Pośród załogi nic nie znaleziono godnego czujności, chociaż szukano dobrze; ale aż do końca inspekcji kazano Szwedom na

deszczu stać, skąd zrodziły się straszne szwedzkie przekleństwa, do dziś jeszcze w Szwecji powtarzane...

Po przeglądzie załogi por. Gach rozdzielił swoje siły na człony: kilku ludzi z plutonu wyznaczył do pilnowania przese-gregowanej załogi, a resztę rozbił na pary; każda para miała zadanie dokonania rewizji, ci w kabinach, ci w lukach, ci w bunkrach, ci w szalupach, a sierżant Rym, spec i pies jeśli chodzi o szpiegów, ten miał szukać gdzie go skieruje czujny instynkt.

Wkrótce nadeszły meldunki: kabiny puste; luki sprawdziły trzy dwójki i ręczą za luki; w węglu pracowały wyborowe dwie dwójki i węgiel kłudy stemplami i są odpowiedzialne za węgiel, czego dowodem są twarze, pomazane pyłem węglowym; za wszystkie pokłady górne i dolne gwarantuje trzecia i piąta dwójka; w kuchni, w warsztatach, tudzież w okrętowych ubikacjach wszystko się znajduje w należyтым porządku; w szalupach, w spiżarni, pod plandekami żadnego zbiega nie ma; kubryk zrewidowały dwie pary z wynikiem negatywnym; u burty, ani na linach nikt nie wisi; w aptece były szczury, ale ani jednego bryka nie dało się wykryć...

Odebrawszy te wszystkie negatywne meldunki, por. Gach przetarł mokre rzęsy i pytając spojrział w mokrą twarz Ryma, który uchylił za specja w wopowskim rzemiośle:

— I?

— Czepurkowski! — krzyknął sierżant, nie odpowiadając na i. — Drap się, ci radzę, na gniazdo, łap-cap!

Wyskoczył z plutonu zwinny jak wiewiórka Wopowiec, odłożył na bok karabin, rzucił szynel i chociaż od deszczu miał mokre ręce, splunął w garście i oblepił nimi maszt. Kabłąkowato wypiął nogi, objął drzewo, grzbiet też wypiął i zamiatając rękami zaczął się piąć, jak wiewiórka.

Obecni na pokładzie głowy zadarli i podnosili je coraz wyżej i wyżej — a deszcz ich za to wszystkich w kupie w twarz bił...

Czepurkowski zgrabnie dopiął celu i stamtąd głową przeczył i ręką negatywnie machał, że w bocianim gnieździe nie kryje się żaden wróg.

— I, Rym?

Szwedzi na pokładzie dawali coraz dobitniejsze znaki nieukontentowania, jako że deszcz istotnie siekł, i, co który Szwed obrócił się w prawo, siekł go z prawa, który w lewo, siekł go z lewa — ów październikowy gdański wiatr...

Sierżant Rym nie przestawał strzelać oczami na prawo i lewo i choć por. Gach zdradzał symptomy kapitulacji, nie dawał za wygraną.

— Kordus i Sachse do wietrzników! Jeżeli siatek nie ma, klucz bagnietami w dziuplę!... Ja zaś, obywatelu poruczniku, własnoręcznie sprawdzę komin!...

Komin? Z komina Gotlandu szedł czarny dym, marszczony na powietrzu deszczem i wichrem srogim — i por. Gach miał prawo pomyśleć, że sierżant Rym w kominie flądry wędzonej

pragnie szukać, a nie żywego bryka — co by mu chętnie powiedział, gdyby sierżant nie był znany i nie był specem.

Znowu zadarli głowy rozstawieni na pokładzie Wopowcy i Szwedzi, i uważali, jak Sierżant Rym mądrze po stopkach się piął, żeby mu dym z komina twarzy nie zamorusał. Piął się on po czarnym kominie, po rozstawionych w szachownicę sztyftach, i obejmował komin tak, że mu z pokładu zazdrościli, bo od kominowego ciepła niezawodnie suszył i grzał się.

W czasie tego wspinania, wylazł ponownie z kabiny kapitan Gotlandu i szefowi inspekcji niecierpliwie pokazał na zegarku, że zbliża się godzina odjazdu.

W sitwie z kapitanem, zawyła w tym momencie okrętowa syrena i biała para trysnęła obok sierżanta, kiedy ten docierał do szczytowej obręczy.

(Jeśli — tłumaczył później w świetlicy zasłuchanym podwładnym sierżant Rym — jeśli komu jest powierzona okrętowa czujność, komin powinien znać też! Komin dla waszych oczu jest gruby, rozdęty, zasmrodzony — a dla moich oczu on jest cienki i dęty. Przetłumaczcie sobie na rozum: choćby w najgrubszym kominie, pogrubionym umyślnie dla ludzkich oczu, znajduje się tylko cienka rura, którą dym idzie, natomiast reszta komina, jak wam wytłumaczyłem, jest próżna, czyli dęta. W próżnej części każdy z nas mógłby sobie zafundować małżeńską sypialnię i jeśli będzie respektował wiatr, nawet nie poczuje większego smrodu. Instrukcja nam powiada: szukać w kabinach, w węglu, w szalupach i w ogóle. W ogóle nie wspomina o kominach. Sekret kominów odkryłem wam poglądowo na Gotlandzie, gdy...)

Gdy sierżant Władysław Rym dotarł po stopkach do celu, przegiął się i zapuścił żórawia w czeluść. Ledwie spojrział, zamachał pozytywnie ku swoim. Przegiął się jeszcze bardziej i ryknął w komin — Wylaż!

Ludzie na dole mało oczy sobie nie poskręcali, tak się gapili na pasjonujące widowisko.

— Krrwaa! — wyraził nieukontentowanie por. Gach, że ten Rym zawsze musi być niezawodny i pierwszy!

Z komina, w kłębie płasko się rozłażącego dymu, centymetr po centymetrze, zaczęła wyrastać białoczarna twarz: biała od naturalnej bladeści, a czarna od popstrykania kopciem; poza tym chuda, z blond bródką.

Czerstwy sierżant Rym zawisł nad zdobyczą w wicherze, w deszczu i w dymie...

Z pokładu nie było widać, ani słychać, co między nimi się działo: jeden był wewnątrz komina, drugi z zewnątrz, wiatr obydwóch jednakowo zagłuszał, dym obydwóch jednakowo oczerniał. Czy coś do siebie gadali, czy może robili sobie gorzkie wymówki, kto ich wie, dość długo zabawiali się i marudzili.

Pierwszy zaczął zlizić po stopkach sierżant Rym, a za nim pasażer, i ten cichy pasażer ni z tego ni z owego, dał szczupaka i byłby się znalazł w Bałtyku, gdyby go sierżant Rym nie

przytrzymał za nogę. Czujny sierżant (krrwaa!) w samą porę nie dopuścił do samobójstwa i cichy pasażer, wywinąwszy koziołka, zdrowo wylądował na górnym deku, obok nawigacji.

Ziębnięte Szwedziska trzęsły się w swoich ceratkach pod nawalą mokrego ziąbu, a przed por. Gachem kapitan Gotlandu ręce rozłożył na znak, że o niczym nie wiedział i że nie jego jest wina, jeśli oprócz morskiego handlu zdarzają się na świecie polityczne nieprzyjemności.

Zebrany w garść pluton wmaszerował na górny pokład i skupił się pod kominem, aby przyjąć czujnego sierżanta i jego zdobywcę, trzymaną za nogę.

Por. Gach rozporządzał na oczekaniu parą służbowych kajdanków, błyskotliwych jak mgnienie oka, które natychmiast puścił w ruch. Błysnęło, jak mgnienie oka i trzymany za nogę bryk uwikłał się w stal, rezygnując w ten sposób raz na zawsze z nie-wczesnych pomysłów i mrzonek.

Na co Wopowcy z plutonu patrzyli z wytrzeszczonymi oczami, i na co Szwedzi patrzyli z wytrzeszczonymi oczami, ci ostatni z lubym przeświadczeniem, że temu, co się dzieje, oni nic nie winni...

Nad skutym i z wrażeń osłabłym brykiem rozbestwił się sierżant Rym:

— Oleś nie Oleś, ale ci powiem, że jak cię zaczną szczypać w pięty, wspomnij sobie: lepsze polskie gie w polu, niż fijołki w Neapolu!...

Po tym wybuchu poezji, pluton uformował się gęsiego do odmarszu ze skutym więźniem w środku, ale musiał się wstrzymać z odmarszem, ponieważ po trapie wchodził gęsiego pluton Inspekcji Celnej.

Dopiero gdy tamci weszli, ci zeszli i, po ubezpieczeniu czujkami Gotlandu, pomaszerowali przez Nowy Port.

Zadowolony z siebie sierżant Rym zrównał krok z por. Gachem, a nawet do niego zagadał:

— Prawdziwy jest traf, że ja tego złapanego przeze mnie bryka znam. On jest Oleś Fornalski i nic mu żadne wykręty nie pomogą, bo ja z nim przed wojną do trzeciego oddziału szkoły powszechnej w Wejherowie razem uczęszczałem. Bródkę sobie zapuścił, żeby mnie zmylić, ale ja go po kształcie mordy poznałem, jego brat pływa na Dzierżyńskim, i ot widzi obywatel porucznik, co się z koleżki zrobiło?! Gdzieby kto kiedy pomyślał, że ja tego Olesia będę zobowiązany własnoręcznie z kominą za łeb wyciągać? Ot widzi obywatel porucznik, jakie trafy chodzą po ludziach?! Ale nie może być innego trafu na swołocz...

Maszerujący na czele plutonu por. Gach machał rękami raz, dwa, raz, dwa i nic nie mówił.

— Powiedziałem swołocz i mam rację! My tu w deszczu, na masztach, w szalupach się męczymy, a taka swołocz chowa się przed nami, gdzieby nikt oprócz mnie nie pomyślał, w kominie! Cały nasz naród siedzi na kupie, a moim zdaniem naród w kupie jest absolutnie niezbędną rzeczą, co także było dowiedzio-

ne na politycznym udoskonaleniu, że jest po socjalistycznej linii. Wściekłość czuję niewypowiedzianą, gdy kto od kupy pragnie się oderwać i brykać. Moim zdaniem brykanie jest łamaniem narodowej karności i takiego drania co od narodu bryka, ja chętnie ścigam ze świecą w rękę, nawet w kominie. Kto bryka, nie Oleś jest dla mnie, tylko bryk. Tak ja rozumiem ludową czujność, obywatelu poruczniku! Czy dobrze mówię? Czy albo wiem komu jest dobrze, czy komu jest źle, ma być na kupie i kto samowolnie bryka jest dezterter i ja takiemu jednemu, jak się kiedy zdenerwuję, bebechy wyrwę, taka mnie na nich wściekłość ogarnia!... Ale — obywatelu poruczniku — też dzisiaj u nas plucha, ale plucha, niech jasna cholera ściśnie...

W czasie tej pluchy maszerujący w kierunku wopowych ciężarówek por. Gach — czuł się zmuszony znieść cierpliwie opromienionego świeżym triumfem sierżanta Ryma, który nie tylko zrównał się z nim krokiem, ale gadał, jak równy z równym.

— Słusznie twierdzenie, obywatelu sierżancie, że warto brykom bebechy z brzucha wykręcać; ale jak to, obywatelu, powiedzieliście na pokładzie temu swemu koleżce z Wejherowa? Polska gie, Neapol fijołki?

Sierżant Rym strzepnął z okrągłej czapy deszcz i energicznie wziął się w obronę:

— Przesłyszanie i niedosłyszanie, melduję obywatelu poruczniku! Ja tylko każdemu dezterterowi, którego w węglu albo w kominie schwytam, lubię przepowiadać staropolski i, moim zdaniem, słuszny wiersz, że lepsze polskie gie w polu, niż fijołki w Neapolu! To nie jest przeciwne partii! Jeśli co mówię, to wiem! Jestem przodownikiem wyszkoleniowym czy nie jestem, mam odznakę Wzorowego Żołnierza WOPu, czy nie mam, byłem w gazecie, czy nie byłem? Może nie?

— Aha, aha! — zgodził się łatwo maszerujący na czele por. Cezary Gach, notując w pamięci posłyszany wiersz staropolski.

Ryknięta syrena Gotlandu na pożegnanie Gdańska — a sierżant Władysław Rym, wsiadając do ciężarówki, ucieszył się:

— Słyszysz obywatel porucznik? Szwed się skadził ze złości!

3.

Naczelnik major Zenon Bijas nie tak sobie na wiatr straszyl biedą, bo bieda, po wypadku z drabiną, zaczęła przybierać rozmiary kłęski.

W pierwszym rządzie kłęska spadła na por. Gacha, którego wezwał pułkownik Sierpuchowski, po polsku poprawnie się wyrażający — i opieprzył go grubymi słowami po polsku. Opieprzył go grubymi słowami za brak socjalistycznej czujności, a gdy por. Gach zameldował, że drabina została odnaleziona, tow. pułk. Sierpuchowski naprzód zdumiał się, a potem go powtórnie opieprzył, że gada od rzeczy. Z czego wynikało, że pułkownik

nie wiedział o co chodzi, jednakowoż : zauważyłem u was — pieprzył — brak socjalistycznej czujności, na co po raz ostatni zwracam uwagę — pieprzył — i ja w stosunku do was wyciągnę konsekwencje — pieprzył, czerwony z gniewu, jak burak.

Ot, czego dochrapał w czujnej służbie przez tę przeklętą drabinę por. Cezary Gach !

Natomiast w samej dokumentacji wykryły się naprawdę interesujące szczegóły, o których nie mógł wiedzieć pułk. Sierpuchowski.

Ludzie nac. Bijasa, idąc po śladach WOPu, dotarli do sedna konspiracji, a mianowicie, że drabina pochodziła z ogródka dwóch sióstr.

Jedna siostra — dotarli — była wdową, zapisaną pod imieniem Anna Aninowska — i dotarli — że ta siostra zajmowała się uprawą kwiatów i łapaniem motyli dawniej w Orłowie, a po zmilitaryzowaniu terenu obecnie w Gdańsku; druga siostra — dotarli — nie rodzona, ale przyrodnia, panna, była przed wojną nauczycielką, obecnie jest krawcową, nie należącą do Związku, polującą na zagraniczne żurnale mód. Ta druga siostra nazywała się Łucja Duszna i Urząd dwa razy miał z nią do czynienia, raz z powodu amerykańskiego marynarza, który u niej za długo przesiedział, drugi raz z powodu fig, których 5 wianków wraz z tajemniczym i nie wiadomo od kogo pochodzącym klejnocikiem w postaci złotego pieska, dostarczył jej z Ameryki Południowej marynarz nazwiskiem Lubański.

Obie siostry — dotarli — były bezpartyjne, ciche, kwalifikowane w kartotece jako bierna opozycja, i w kartotece przy ich nazwiskach figurowały ptaszki, nakazujące czujność.

Otóż od tych dwóch sióstr, zamieszkałych w Gdańsku przy ulicy Ziemowita pod nr 13-tym, w budynku, skleconym z wypalonych wojennym pożarem cegieł, otoczonym nadzwyczaj bujnym ogródkiem, w którym nawet w październiku rumieniły się dziwne, chyba nie polskie, kwiaty — ślady doprowadziły, że właśnie od tych sióstr pochodziła drabina.

Gdy się to ustaliło i zaprotokółowało, wkroczył w sedno rzeczy (dla dalszej ludzkiej biedy) obywatel naczelnik od spraw morskich Zenon Bijas.

4.

Zanim jeszcze wkroczył, wiedział zawczasu, że bieda zaczyna się wtedy, gdy na przedmiot dochodzeń naciska góra ; której nacisku unika jak może każdy rozsądny człowiek, świadomy tego, że gdy góra naciska, obowiązkowo musi wycisnąć ofiary. W tym zaś wypadku ofiary wyciśnięte przez górę, mogły być różne : siostry, por. Gach, nieujawnione dotąd trzecie osoby, albo, na psa urok ! onże sam, Zenon Bijas !

Gdy o tym myślał u boku ukochanej żony, trudno mu było nie przyznać racji por. Gachowi, który słusznie zaobserwował,

że po jakiego smarka władza interesuje się drabiną, jeśli okno pozostało nienaruszone i do KO₄ nikt nie wlaży ?

Ale przyznać też trzeba (czego Gach nie wiedział), że akurat za tym oknem było archiwum z zalakowanymi paczkami, pochodzącymi nie stąd, lecz *stamtąd*, o których ważności, nic nie mówiąc, mówił mu w Warszawie, specjalnie go zawezwawszy, towarzysz Rolny.

W zrozumiałej rozterce o bieg dochodzeń, a czując w powietrzu nieuniknione ofiary, naczelnik Bijas, z instynktu samozachowawczego, urządził w swoim domu popijawę orientacyjną.

Kto na nią przyjdzie, a kto nie przyjdzie ? kto, wypiwszy, co powie ? kto farbę puści ? może kto co obieca i może kto ofiaruje plecy ?! ; po takiej popijawie może się w głowie rozjaśnić i pokażą się znaki orientacyjne, w jakim kierunku należy prowadzić śledztwo : na Gacha, na siostry, czy też na szpiegów amerykańskich ?

Śładka jego kobieta, Alicja, porównywana przez Urząd do kwiatu azalii, stanęła na wysokości zadania i choć w tych czasach niemałej pieczy wymagało zdobycie oliwy nicejskiej do majonezu, majonez był z oliwy nicejskiej, a nie z soji. Alicja na tę okazję zapięła się w suknię seledynową, skąpą gdzie trzeba, a kolosalną na dole, uszytą przez Łucję Duszną z francuskiej tafty krojem z francuskiego żurnalu mód.

Rozkosznie było na nią patrzeć, ale przykro było myśleć, że — psiamać ! — tego tylko brakuje, żeby śledztwo drabinowe wzięło kurs na Duszną, z Dusznej na suknię, a z sukni na Alicję Bijasową !

W trakcie tej wstrętnej myśli, Zenon Bijas podbił na czole lok, który mu zaraz opadł na dawne miejsce, i zazezował w zdenierwowaniu na żonę.

Ona zaś, pośród doborowych gości, nawet nie śniła o możliwym niebezpieczeństwie, biust jej pod seledynem chodził, jak zegarek i szedł od niej nie byle jaki, bo autentyczny zapach olejków, dowiezionych z ludowych Chin.

Towarzysz pułk. Sierpuchowski (dobry znak !) nie odmówił i przyszedł, optymistycznie czystą golił, zagryzał i znowu golił, podszczypując ogórek kiszony i rydzyki ; a już wypadało śmiać się do rozpuku, co wszyscy robili, gdy pułk. Sierpuchowski, podszczypując i goliąc, stroił niewinne żarty, iż — ano ! — nu ano i ciekawe, co też nasza Alicja na dziś do przekąszenia z dań serio, co, a, wykombinowała ?!

Ta popijawa orientacyjna miała miejsce w willi niespalonej, z boazeriami z czarnego dębu, w której niestety tylko część starych mebli po grafie Prussie dostała się Bijasom, resztę chuligany w czasie wyzwolenia rozkradły, i te skradzione, między innymi stół i krzesła w jadalni, musiały być zastąpione wyrobami z warsztatów ZMP z białej, niepoliturowanej sosny tucholskiej. W jadalni, na frontowej ścianie, był wyrzeźbiony bodaj że herb tych Prussów z tarczą i pióropuszem, w który Zenon Bijas zaraz pierwszego dnia po zainstalowaniu się wbił gwóźdź. Na gwóź-

dzi zawsze odtań wisiął okolicznościowy Portret przez duże P, który herb grafów Prussów skutecznie zastąpił...

Chcieli niektórzy z gości z pułk. Sierpuchowskim prowadzić dla wprawy dyskurs po rosyjsku, ale pułkownik się wzdrygał i, ruszając grdyką, za każdym razem odpowiadał po polsku. Gości był tuzin, wśród nich specjalnym uważaniem cieszył się cichy gość, nazwiskiem Hurewicz, należący do lotnej ekipy, co to dzisiaj w Gdańsku a jutro w Brańsku; z tym gościem sam Bijas nie wiedział jakim językiem się porozumiewać, ponieważ tamten się nie odzywał, nigdy o nic nie pytał, a jak się chciał wyrazić, syczał jak gąsior : sss ! Kręcił się on ostatnio po Urzędzie, do Warszawy wpadał jak po ogień i zaraz wracał, na popijawę u Bijasów przyjechał w aucie z pułk. Sierpuchowskim, więc podwójnie się liczył.

Ogólna, towarzyska rozmowa zaczęła się na temat słowa „morszczyzny”, którego w związku ze skarbami, jakie Polsce Ludowej daje Bałtyk, użył młody towarzysz z Urzędu Dzikowski. Słowo „morszczyzny” zaciekało obecnych i nawet Bijas objawił zainteresowanie w nadziei, że ten temat, łatwiej niż inny, da się naprostować w kierunku drabiny. Pułk. Sierpuchowski ostrożnie spytał sąsiada (Czesia Musia), jak się piszą owe morszczyzny i czy pochodzą od „szczy”, czy od „szczyzny” ? na co mu kilka głosów chórem odpowiedziało, że ani od tego ani od tamtego, tylko od morza; jednocześnie kilka zakamuflowanych uśmiechów przeleciało po twarzach, albowiem wszyscy wiedzieli, że ciekawość Sierpuchowskiego pochodzi z obawy, aby w ortografii nie strzelić byka; wszyscy też wiedzieli, że jak zebrało się tu osób dwanaście, tak w dwunastu meldunkach figurować będzie słowo „morszczyzny”.

Po wygaśnięciu ożywionej rozmowy na tematy morskie, zaczęło się manifestować normalne w tych czasach zjawisko, że choć wódki czystej z karafki z łezką dolewano do kieliszków i twarze zabarwiały się odpowiednio, i choć z dań serio gospoia Elżbietka postawiła na stole indyka en gros z borówkami, i choć picia ani potraw nikt sobie nie żałował — każdy z gości coraz mniej mówił, a coraz chętniejszy był słuchać. Coś jakby się działo wbrew naturze; coś jakby samogwałt każdy na sobie popełniał wódkę pijąc i samemu sobie : stul pysk, stul pysk ! życząc. Pań, z wyjątkiem Alicji-Azalii nie było, bo Bijas kobietom (z wyjątkiem tej) nie wierzył, bojąc się ich niezdiscyplinowanych języków, które nawet bez złej intencji potrafią człowieka zgubić. Że jednak pań nie było, więc też nikt, z wyjątkiem pułk. Sierpuchowskiego, nie mógł się zająć odmienną płcią i ożywić, które to ożywienie jest traktowane w Górze przez palce. Pułk. Sierpuchowski, z karkiem w fałdy nad mundurowym kołnierzem ze srebrnymi wężykami — pierś z Virtuti Militari wypinał do Alicji i jurzył się, a podsmalał, i o gramofon, czy jest, żeby potaćować, pytał — ona zaś, Alicja, kobieta tip-top, ma się wiedzieć nie rozumiała w czym rzecz i tylko śliczne oczęta mrużyła i przekomarzała się : „czy mu dać, czy nie dać, czy wesela poczekać ?!...

Gdyby nie to przekomarzanie się i jurzenie — chyba tylko zegar gdański na ścianie, obok herbu zakrytego Portretem byłoby słychać, tak się każdy wstrzymywał, żeby nie mówić, tylko słuchać.

Aż w tym jurzeniu się i w tym tykaniu zegara, Zenon Bijas zdecydował potrać o strunę dzisiejszej troski, związanej z drabiną.

Więc wniósł zawczasu obmyślony toast za pomyślność ludowego rozwoju, którego przykład i wzór idzie — z góry ! Mówiąc „z góry”, rozbrykane oczy zebrał do kupy i nakierował na Portret. — Przykład i wzór idzie stamtąd, a pomyślność socjalistycznego rozwoju wymaga od nas socjalistycznej czujności (lok mu opadł), ponieważ wróg nie śpi i czyha nawet tam, gdzie go się nikt nie spodziewa (podbił lok). Nie potrzeba daleko szukać, ot tu obecny towarzysz Sierpuchowski, bohater naszej Polski Ludowej, najlepiej wie, ile krzywdy mógł wyrządzić brak czujności ze strony takiego, który przez zaniedbanie, albo przez...

— Sss !...

Syknięcie wyszło wprost z nogi indyka, której połowa tkwiła w ustach, a druga połowa sterczała z ust Hurewicza.

Towarzyszowi Bijasowi lok opadł i oczy się otworzyły, jak cyrkiel.

Urwał, przywołał na twarz gotowy uśmiech, kropnął rezerwowo kieliszek i usiadł.

(Rzekł sobie do środka : Z powinszowaniem ! Kto co powie, kto farbę puści ? ano, puścił i popuścił on sam, zezowata dynia i tyle !).

Czego w desperacji Zenon Bijas nie wziął pod uwagę, to żony swojej Alicji-Azalii, która w niemilej pustce, jaka się po syknięciu zrobiła, podniosła się na całą smukłość sukni seledynowej i z pierśią godną uwagi — pośpieszyła mężowi na ratunek.

Zaklaskała w paluszki : — A ja mam niespodziankę, a ja mam niespodziankę, kto zgadnie, aha ?!...

(Fajna była ta Bijasowa, ani słowa, kobieta szyk, z domu Sienkiewicz, w okresie okupacji ciężkie miała przejścia, że żyje, to cud ! zanim zapach chińskich perfum poznała, gniła w zapachach przykrych, do których nie miała ochoty wrócić, więc też bardzo się troszczyła o aktualność, zmiany ją przerażały, podżegaczy do zmian nienawidziła i zenonowe utrzymywanie się na powierzchni oceniała, jak nikt chyba...).

— A ja mam niespodziankę dla was, kto zgadnie, aha ?

Pułk. Sierpuchowski wyciągnął łapę, żeby się dotknąć niespodzianki, ale Alicję wdzięcznie się umknęła i zaklaskała jeszcze raz.

Na to klaskanie wbiegł do jadalni, wychowany przez matkę, synek Jędrus.

Chłopaczek miał latek mało i był jak aniołek, po Alicji wziął nosek prosty i cerę azaliową, po Zenonie odziedziczył bodaj tylko loczek. Śmiało wstąpił między gości, szasnął nóżką, loczek

podbił, a że na szczęście zezą nie odziedziczył, prostymi oczkami patrzył w twarz mamy.

Mama dała znak, więc synek zaczął :

*Posłuchaj, synku, opowieści
O wielkim kraju, o narodzie,
Co temu z górą lat trzydzieści...*

Zbiegiem okoliczności, z gdańskiego zegara wyskoczyła kukiłka i zaczęła kukać późną godzinę; Zenon i Alicja jednocześnie zachnęli się, ale synek nie sobie z kukiłki nie robił :

*...z górą lat trzydzieści (kuku)
Bunt podniósł w Moskwie, w Piotrogradzie (kuku)
O tych, co wówczas szli do boju (kuku, kuku)*

*Aby wywalczyć wolność siłą (kuku)
I poświęcili młodość swoją... (kuku, kuku)*

Tu synek wspiął się na paluszki, podniósł piąstkę i zakończył w tej samej chwili, kiedy punktualna kukiłka z powrotem wskakiwała do gniazda :

...Aby ci się, synku, dobrze żyło ! (Kuku, kuku, kuku !)

Zapomniawszy o kukiłce, wruszona mama, otworzyła Jędrusiowi ramiona, ale nie tylko ze strony mamy posypały się na synka pochwały, wszyscy się prześcigali, a już pułk. Sierpuchowski po prostu słów nie miał, wziął synka pod bródkę i rozrzewnił się basem : Ot i pociecha rośnie naszej kochanej matce-Polce Alicji na stare lata, ot i powinszować się chce, że sama synka wychowała i sama w piękności się uchowała... Wasze zdrowie, Alicja !...

Wobec tego Zenon Bijas też się rozchmurzył i całując Jędrusia w czołko rzekł : Aby ci się, synku, dobrze żyło ! — Młody towarzysz z Urzędu Dzikowski wziął Jędrusia pod paszki i zaczął go łaskotać, a gdy Jędrus się rozchichotał, podnosił go i opuszczał : hopsasa, hopsasa !

W czasie tego huśtania, Bijas miał na uwadze, że mimo syknięcia Hurewicza, w dwunastu raportach na plus muszą być zaliczone owe hopsasa, hopsasa !

Wracając do Hurewicza, ten, ku zdumieniu obecnych, po majonezie, po indyku i pięciowarstwowym torcie orzechowym — nawrócił z powrotem do przystawki, wysysając ogonki i główki śledzi.

— Coś podobnego ! — każdy pomyślał, ale nikt się nie zdradził, bo lepiej jak najdalej od Hurewicza.

Hopsasowanie z Jędrusiem najwidoczniej rozzuchwalało tow. Dzikowskiego, albo też wódka przemogła w nim wychowanie i uspiła instynkt samozachowawczy — ponieważ nie wytrzymał i puścił farbę :

— Proszę towarzyszków... Ja przepraszam za podniesienie głosu, jako kapitan tutaj najmłodszy... Ale ja muszę wyrazić

u-czucie mnie przepełniające, ponieważ czuję się zmuszony nazwać to uczucie wdzięcznością ! A nawet chcę powiedzieć cześć !... Tak właśnie, proszę towarzyszków, głęboka cześć mnie zmusza... i ma się rozumieć wdzięczność dla tych... może nie dla tych, a dla tego... mam bowiem na myśli rewo-lucję, która mnie wszystko dała i posadziła między wami ! Jedną chwileczkę ! Jako kapi-tan, źle się wyraziłem, która mnie postawiła razem z wami ! Proszę towarzyszków, moim psim obowiązkiem jest wdzięczność, że mnie, że ja, bez rewolucji, że ja bym bez mark-sistowskiego aktywu drapałbym, proszę towarzyszków gnój w stajni, do tej pory pory drapał i nawet abecadła bym nie znał, a dziś ja, dzięki rewo-lucji, ja dzięki rewolucji z wami tutaj siedzę...

Bijas po owym hopsasa, hopsasa, czuł słabość do Dzikowskiego, więc chciał go wyrwać z niebezpieczeństwa jąkania się w stanie pijanym :

— Zatem, towarzyszu Dzikowski, wypijcie za zdrowie naszego ukochanego Prezydenta i spoczniście sobie.

Dzikowski wypił z zapalem, ale czując, że się nie dość potoczył wyraził, koniecznie chciał się poprawić :

— Zdrowie naszego ukochanego Prezydenta ! Który mnie wziął od gnoju, posłał do szkoły, zachęcił i zaopatrzył w pazury i kły !... I który mnie tego... (poprawił się) — który mnie tu oto postawił (rozrzewnił się) który mnie tu oto przy tym stole postawił razem z naszym bohaterem pułkownikiem Sierpuchowskim, razem z towarzyszem Hure-wiczem i z naszym ukochanym naczelnikiem Bijasem, tu oto, chciałem powiedzieć, posadził...

Bijas nie lubił pijaków z własnej parafii, więc poprosił wrokiem żonę o interwencję, ale za późno, ponieważ ktoś inny, a mianowicie poeta Ziem Zachodnich Czesław Muś, podniecony orędziem Dzikowskiego, z kolei puścił farbę.

Lecz w innej formie. Ten kędzierzawy Muś, z noskiem karpia, z muszką bordo, zaproszony do Zenonostwa dla dobrej opinii, którą się cieszył i dla sławy bufora nowej kultury i przydomka „Poety Wybrzeża” — choć nie starszy był od Dzikowskiego, przecież więcej posiadał dyscypliny i nie improwizował, lecz mówił to, co było już przed tym drukowane w „Dzienniku Bałtyckim”.

Podjął ze stołu pusty kieliszek i dyrygując nim, deklamował z olbrzymią siłą :

*My mamy plan ! Już nie żyjemy głupio i bezdurnie
z dnia na dzień ! Nie w słowach się urzeczywistniamy, lecz*

[w czynie !

Nie na trzęsawiskach zwątpień, lecz na betonie społecznych

[wytwórni !

Na torze ! Na traktorze ! W kopalni ! We współdzielni !

Wisząc na szprychach kół, z kielnią na murarskiej

[drabinie —

wbijamy oczy, jak gwoździe, w nasz plan ! W nasz plan

[sześćdziesiąt !

Zenon Bijas podbił lok, posłyszawszy o drabinie. Alicja zainterweniowała w stosunku do pułk. Sierpuchowskiego, który nażarty i napity, objawił przy poezji objawy senności; pofiglowała przy nim tuż-tuż, aż się rozczmuchał i powąchał jej rączkę; wówczas wydała opinię o wierszu :

— Jeśli nikt nie mówi, ja powiem... W tym wierszu słycać siłę zwycięskiego proletariatu i głęboki oddech terażniejszości ! Było bardzo mocne ! Czesio zaimponował mnie ! — A do pułk. Sierpuchowskiego — Pułkowniczek pozwoli teraz inny wierszyk ? Pozwoli Alisi powiedzieć wierszyczek ?

Pułkownik niuchnął i pozwolił.

*Idzie kotek po drabince... po drabince... po drabince...
Już tylko jeden ma szczebelek...
A wtem — fruuu !...
Poleciał wróbelek !*

Razem z „fru !”, przekorna Alicja odrzuciła od pułk. Sierpuchowskiego, nim schrupał jej rączkę.

Bijasowi lok opadł; miał gotowe na języku uszczypliwe słowo o drabinie, ale nie zdążył, bo z kąta, gdzie siedział cichy gość, odezwało się sss ! — co mogło być celowym syknięciem, lub przypadkowym syknięciem, jako że Hurewicz w tym czasie główkę śledzia wysysał. Tak czy siak, gdy na Hurewiczu skoncentrowały się badawcze spojrzenia, sam Hurewicz nie wytrzymał i puścił farbę.

Odezwał się bodaj po raz pierwszy, odkąd go Bijas znał :
— Sukinsyna solitera śledziem truję — a !

Lżej się zrobiło w towarzystwie, a już Bijasowi po prostu kamień z serca spadł, tak się ucieszył z solitera. Natomiast złośliwe fatum drabiny, powtarzanej w rymach i rytmach, ze wszelkimi pozorami konspiracji, stawiało włosy dęba. Gdyby nie chodziło o Alicję i Musia, włożyłby palec do środka i wymacał, kto ich do aluzji nakłonił i daczego im naraz obojgu drabina w formie wierszowanej z ust się wypnęła *). Mamusia Alicja objęła synka Jędrusia za szyjkę i przedelfowała z nim przed pułk. Sierpuchowskim, i ten urwis Jędrus szasał nóżką i grzecznie pozwolił się mamusi zaprowadzić spać. Zenon wypił po cichu za ich zdrowie i kopnął w myśli drabinę w drobny mak. Urznięty, jak świntuch, tow. Dzikowski, już nie farbę puścił, ale po prostu świństwo : nachylił się do naczelnika Bijasa, z intencją konfidencyjnego szeptania na ucho !

Bijas odskoczył od Dzikowskiego, jak od odbezpieczonego granatu, podbił lok i rzekł cierpko :

— Nasz Dzikowski zdaje się zapomniał, że nie ma zwyczaju szeptania w kulturalnym towarzystwie ! Posądzam, że ululał się

*) „W socjalistycznym układzie społecznym nie ma przypadków (niełuczajow), ani zbiegów okoliczności, każdy zbieg okoliczności winien być ścigany, jak dokonany fakt karygodny...” (z PPP).

nico pan Dzikowski !... — odepchnął od siebie pijaka, żeby każdy widział, że nie było czasu na szeptanie na ucho.

Gruby śmiech pułk. Sierpuchowskiego wcale nie znaczył, że się zgadza z przedmówcą, lub ma zasadnicze obiekcje, wynikną z szelmowskiego zachowania się Bijasowej, która z progą jędrusiowej sypialni kiwała rączką, że zaraz przyjdzie...

Przydomek „pan” przestrzelił Dzikowskiego na wylot, usiadł, wstał, usiadł — wstał, język mu nie dopisał, no i palnął głupstwo, że tylko bić i kija nie zdejmować !

Dzikowski : — Ja chcę powiedzieć... nic takiego... ja tylko chciałem zameldować nie żaden sekret... publiczną tajemnicę... ja... (zameldował) ...melduję, że przysłała depesza z Feliksa Dzierżyńskiego od opola Pieniążka z Punta Chata, że tam powstał bur... czyli, chciałem powiedzieć, burda...

Bijas wywalił takiego zeza, że Dzikowskiemu nareszcie dech zaparło. Ale osadził go i ostudził dopiero tow. Hurewicz, który ani syknął, ani sysnął tylko wstał.

Hurewicz zachował się rychtyg, jak ksiądz, kiedy się skończyło nabożeństwo i pora na gaszenie świec : otrząpał ręce, wsunął je pod podszewkę i skierował się świętobliwym krokiem ku wyjściu.

Pogotowie ratunkowe w postaci Alicji nadbiegło z dymiącym barszczem, ale już było za późno, bo nawet rozrajcowany pułk. Sierpuchowski nie chciał siorbać, tylko pytał, gdzie jego szynel ? Widać było, że ma szaloną ochotę dłużej się zabawić, ale co miał robić, barszcz nie barszcz, Alicja nie Alicja, kiedy wszyscy razem przyjechali, wszystkim wypadło razem wyjść !...

Zenon Bijas czytał w gościach jak w gazecie i nie miał do nikogo pretensji, tylko zezując na bladego Dzikowskiego, przyciskał w myśli ołówkę, stawiając przy jego nazwisku grube ptaszki...

Przed willą Bijasów oczekiwały trzy urzędówki z trzema towarzyszami, cierpliwymi w czekaniu, jak baranki. Jedna urzędówka, w kolorze ochronnym, przynależna była pułk. Sierpuchowskiemu, druga, łup wojenny, pochodziła z Urzędu, a mała pchełka, z ceratową budką, podana miała być Czesiowi Musiowi, buforowi kultury. Na owalnym, zwirowanym podjeździe, w samym centrum, rosła kępa świerków karej maści, wprost nad nimi księżyc ganiał chmury, rozpychał i rozdzierał i co którą rozdarł — na same czubki świerków po niej spływał. Pięknie było przed willą Bijasów na podjeździe, choć chłodnawo i wietrzno.

Zapaliły się reflektory trzech aut — też i pożegnania się zaczęły i ceregiele, związane z wygodnym ułożeniem tyłu osób. Lekkomysłna Alicja, w przewiewnych seledynach, narażała się na ganeczku na grypę, wdzięcznie żegnając gości. Traf zdarzył, że księżyc akurat przebił chmurę i ześlizgnął się na korony świerków, a ze świerków na Alicję Bijasową — wiatr jej podbił bębenka — i na ganeczku żegnało gości cudne zjawisko, mieniające się seledynowymi fałdami, uszytymi nie przez Łucję Dusznią, lecz przez księżyc i wiatr...

Trzy auta zaambalowały, żwir na podjeździe skrzypnął — trzy pary latarni zatoczyły trzy półkola i nastąpił gładki odjazd; najdłużej było widać rubinowe sygnałki i rękę pułk. Sierpuchowskiego, kiwającą seledynowemu zjawisku aż do zakrętu...

Bijas : — Wynocha do domu, bo się przeziębisz !...

Bijas : — Momenck ! Nie zauważyłaś, Ali, do którego samochodu wsiadł Hurewicz ?

Alicja : — Nie zauważyłam.

Bijas : — Do którego samochodu wsiadł Hurewicz ? Czy wsiadł ? Widziałaś, wsiadł, czy nie wsiadł ? Musiał wsiąść, bo go nie ma ! Jeśli nie wsiadł, gdzie jest ? Nie zauważyłaś nigdzie czwartego auta ? Ja też nie zauważyłem... Ciekawa rzecz : wsiadł, czy nie wsiadł ?! Jeśli nie wsiadł, gdzie jest ?

Ciekawe, jak cholera : na ganku Hurewicza nie ma ! pod gankiem (Bijas wychylił się) nie ma ! rozstąp się ziemio, gdzie wsiadł Hurewicz ?!...

— Alusiu, jazda do domu, bo znowu cię chwyci cug !...

Świętej cierpliwości Alusia znikła w drzwiach, jak tyran kazał...

Bijas zszedł z ganeczka i obszedł podjazd. Zaobserwował żwir, nagnane przez wiatr żółte liście, igliwie świerków, słomkowe badyłki, i zaobserwował — śmiesznie wyrazić : — ślimaczka, który ze skorupką na grzbiecie czort wie po co w spóźnionej porze zapychał ?! Ale Hurewicza nie dojrzał. Może Hurewicz przyczał się w kępie świerków na klombie ? Albo może Hurewicz przyczał się w suchych krzakach bzu ? Czy ostatecznie Hurewicz odjechał, czy się przyczał !... Jeśli nie odjechał, gdzie jest ?!...

Zenon Bijas na próżno oczy rozstawiał, i raz za razem podbijał lok — zmarzł, zniechęcił się i niczego na podjeździe się nie dochrapał. Pies z Hurewiczem tańczył !...

Skierował się za smugą chińskich perfum do nagrzanego, ale zdeorganizowanej jadalni. Bałagan tam był : niedopałki, niedopitki, niedojadki, a co gorsza, Portret zawieszony na gwoździu na herbie von Preussów, jeśli oko nie myli, wisiał krzywo !...

Masz ci los ! Kiedy się skrzywił ? Jak dawno jest krzywy ? Czy sam się skrzywił ? Jeśli nie sam, kto go skrzywił ? Czy w czasie popijawy zauważył ktoś, że jest krzywy ? — Alicja ślepa jesteś, że nie widzisz, patrz, popatrz, otrząśnij się, gdzie jest drabina, Ali ?

Jejejejeje, o rany, drabina, drabina i drabina !...

Zanim jeszcze Alicja zdążyła zabrać głos na temat drabiny — wypadł z sypialni synek Jędrus w piżamce z rozsypanymi loczkami i jak był prosto z łóżeczka, pognął do mamy. Płakał w złości okropnej :

— Ty wstrętna!... Ty kłamczucha!... Ty wyrodna matka!... Ty zdrajca !... Obiecałaś, że zagrzasz i nic nie zagrałaś !...

Wszystko inne poszło na bok ; do rozdrażnionego Jędrusia przypadli oboje Bijasowie i nuż synka utulać, żeby się nie darł, bo by mu się rzuciło na żołądeczek ; prosili go na wyścigi, aby

mamusi nie groził, bo mamusia Jędrusia kocha i jeśli raz obiecała, na pewno synusia nie oszuka...

— A zagraj, jeśli obiecałaś, niech się wreszcie odczepi...

Idąc za dobrą radą, mamusia przysięgła synkowi, że mu zagra, odprowadziła do łóżeczka, otuliła kołderką i jeszcze raz obiecała, że nie oszuka i zagra : — Leż cichutko, Jędrusiu, ja drzwi otworzę, tatuś będzie pisał, a mamusia synkowi ślicznie zagra...

I zagrała. Naprzód wprawki ciche z góry na dół i do góry, następnie melode usypiające wlaź kotek na płotek i mruga, a gdy się nieco rozegrała, wzięła się za wariacje na temat : śpij kochanie !...

Ze „Śpij, kochanie !” przerzuciła się na sztuczki bardziej sercowe, bliższe kobietom, niż dzieciom, o zdradzonej i podeptanej miłości przez niewiernego kochanka...

No to świetnie !; uspokojony rodzinnym ładem Zenon Bijas zasiadł obok pianina przy stoliczku, zrobił światło, oporządził się z papierami i w świętym przekonaniu, że Hurewicza nie ma, zaczął stukać na maszynie :

Dzień... miejsce... etc.... Obecni : tow. tow. Z. Bijas, A. Bijasowa, pułk. A.L. Sierpuchowski, B. Hurewicz, Cz. Muś, kapt. S. Dzikowski, oraz...

Alicja załatwiła się z kochankami i ostro wzięła się do melodii, która miała niejake podobieństwo do rozkwitających pęków białych róż...

Cel zebrania : Samokontrola i socjalistyczna wymiana myśli. Przebieg zebrania : Goście przyjechali razem w trzech samochodach (w pierwszym aucie pułk. Sierpuchowski, B. Hurewicz i... w drugim aucie S. Dzikowski, T. Zajac i... w trzecim aucie Cz. Muś i...) Wszyscy razem odjechali (w pierwszym aucie pułk. Sierpuchowski... w drugim aucie Dzikowski... w trzecim aucie Muś...) Treść rozmów :

Skończywszy z pękami róż, umęczona Alicja chciała przestać, zaledwie jednak pochyliła się bezczynnie nad klawiaturą, z drugiego pokoju rozległ się grymaśny głosik synka :

— Mama, graj !

Więc mama zaczęła znowu grać, tym razem szybkie, bodajże kawalerskie melodie. A tata stukał :

Rozmowy toczyły się na tematy następujące : Skarby Polskiej Ludowej ; wdzięczność dla Rewolucji ; zdrowie ukochanego Prezydenta... Brali w nich udział : Pułk. Sierpuchowski, Cz. Muś, S. Dzikowski... Mój ośmioletni syn Andrzej deklamował wierszyk o Rewolucji Październikowej z lipcowego numeru Płomyczka. Kpt. Dzikowski Stanisław, po wymianie zdań na temat morskich, zadokumentował brak wewnętrznej dyscypliny i podatność na wpływ alkoholu, ze skłonnością do wyjawiania służ-

bowych tajemnic pod wpływem takowego. Wyżej wymieniony kapt. Dzikowski Stanisław zaczął publicznie ogłaszać treść...

Alicja żywiej grała, Bijas żywiej stukał :

...depeszy, która w dniu dzisiejszym nadeszła do Urzędu od of. pol. Pieniżka Kazimierza z „Feliksa Dzierżyńskiego” z meldunkiem o masowej dezercji marynarzy w Punta Chata (Ameryka Południowa). Dzięki mojej czujności i stanowczej interwencji tow. B. Hurewicza, depesza nie została ujawniona do końca i zaraz potem goście wszyscy razem odjechali w porządku podanym powyżej.

Wystukawszy kropkę, miał zamiar kontynuować od nowego wiersza — przesuując wałek, nastawił ucho, co też Alicja wyprawia na fortepianie ?

Co jest u króla-starca ?! Alicja wyprawiała na fortepianie harce jakieś fatalne, akowskie, czy andersowskie !...

Zenon Bijas podbił lok (opadł lok), podbił lok, wstał, wziął się w cugle i z punktu rozpoczął śledztwo :

Hurewicz jest ? Nie ma ! W tym pokoju, w jadalnym, u Jędrusia, w korytarzu, pod stołem, pod pianinem, za firanką, pod łóżkiem, o głowę się można założyć, Hurewicza nie ma ! Okna zašrubowane, podobnie drzwi od frontu, od kuchni, od schowku, od kredensu i od szaf ! Nie ma ! Portret, jak krzywo wisiał, tak wisi krzywo ! Pod schodami na pięterko do gosposi Elźbietki, drabina stoi, jak stała. Ta wariatka coraz bezczelniej młóci w klawisze i agituje niestworzone rzeczy, jakieś *Szturmówki* i *Maki*, bez uwagi na to, że ściany mają uszy i że Jędrus już śpi !...

— Ty ! — wrzasnął na nią — ty wariatka ! Przestań !... Zamknij !... Wstań !... Ściany mają uszy ! Pomóż !... Przystaw ! Wleź !... Jeszcze krzywo !... Więcej w prawo ! Dobrze ! Marsz do łóżka !... Kładź się !... Posuń się !... Ty — panna Sienkiewicz ! Ty, ty, moja Akaczko !

(Fragment powieści pt. : *Turyści z Bocianich Gniazd*)

Czesław STRASZEWICZ

Najnowsza historia Polski

Wywiad z gen. Weygand

Przed paroma tygodniami ukazał się pierwszy tom pamiętników generała Weygand, pt. *Idéal Vécu*. Dzieciństwo Weyganda, lata spędzone w St. Cyr, służba garnizonowa młodego kawalerzysty, sprawa Dreyfusa widziana od strony wojska i środowiska konserwatywnego, udział w misji wojskowej gen. Joffre'a w cesarskiej Rosji (w przededniu konfliktu) — oto wstęp do zasadniczej części książki — czterech lat Wielkiej Wojny. „Idéal Wcielony w Życie” : tytuł książki Weyganda dobrze oddaje jej ducha. Weygand należy do ostatniego bodaj pokolenia które odczuwało jeszcze naturalnie chrześcijański ideał rycerza. Zbrojna służba ojczyźnie nabiera w tym ujęciu pewnych cech zakonu, opartego na stałej czujności, męstwie, dumie, pewnej formie ascezy. Świat „Grandeur et Servitude Militaire”. Ale na to, żeby pokazać czytelnikowi podobną wizję wojska i walki nie wystarczy wcielić ideał w życie. Generał Weygand jest jednym z tych francuskich dowódców, którzy są jednocześnie „hommes de lettres” — ludźmi literatury. Jego obecność pod kopułą Akademii Francuskiej nie jest tylko zaszczytem udzielonym przez pisarzy zasłużonemu wodzowi. Jasność myśli, umiejętność sformułowania, czystość stylu, odnajdujemy w „Idéal Vécu” wszystkie te cechy właściwe klasycznej szkole francuskiej pisarzy. Każdy historyk Wielkiej Wojny znajduje w pamiętnikach Weyganda cenne źródło i nowe światło rzucone na alianckich wodzów (uderza tu prawdziwy kult Weyganda dla Focha) i polityków (żywe portrety Clemenceau i Lloyd George'a).

Książka Weyganda kończy się na zawieszeniu broni. Następny jej tom będzie zapewne specjalnie interesujący dla polskiego czytelnika. Wydało mi się jednak ciekawe skorzystać

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

ze sposobności odwiedzenia gen. Weyganda, aby zadać mu kilka pytań dotyczących spraw polskich, które będą zapewne rozrzucone po różnych ustępach następnych tomów jego pamiętników.

Generał Weygand mieszka na Avenue de Friedland, o sto metrów od Łuku Zwycięstwa, w sercu napoleońskiego Paryża. Wielki staroświecki przedpokój, mahoniowe meble, skórzane fotele, masa książek na półkach bibliotecznych i stołach (przeważnie pamiętniki i dzieła historyczne), „Revue des Deux Mondes” na biurku: atmosfera dziwnie mi przypomniła pewne znane mi od dziecka mieszkania warszawskie na Wiejskiej, Matejki, Górnośląskiej. W gabinecie przyjmuje mnie niewielki starszy pan o miłym uśmiechu i bystrym spojrzeniu. Nad biurkiem, za oszklonymi ramami, wisi cały zbiór pamiątek polskich: wspinały złożony ryngraf siedemnastowieczny z Matką Boską Jasnogórką; szczypta krzyż Virtuti Militari (pierwszy jaki został nadany cudzoziemcowi); piękny pas słucki. Najbardziej może wzruszający jest krzyż metalowy z datą 1863 roku, pamiątka wręczana rodzinom patriotów rozstrzelanych przez Rosjan na stopniach kościoła Św. Krzyża w Warszawie. „Czy wie Pan, że ten krzyż jest dla mnie pamiątką rodzinną?”, pyta Weygand. Mówię, że znalazłem w *Idéal Vécu*¹⁾ wzmiankę, o „belle-mère polonaise” Generała. W tej chwili wchodzi do pokoju pani Weygand i dowiaduję się, że jej ojciec, gen. de Forsanz, przydzielony do Ambasady francuskiej w Petersburgu ożenił się ze spotkaną tam panną Jadwigą Ciechanowiecką. Okazuje się, że matka generałowej była bratową p. Mary Ciechanowieckiej, babki mego kolegi Andrzeja.

Pani Weygand zostawia nas samych. Siedzę naprzeciw generała, patrzę na ryngrafy ofiarowane mu przez społeczeństwo polskie po „Cudzie nad Wisłą”.

— Sprawa Bitwy Warszawskiej jest wciąż jeszcze żywo omawiana przez polskich historyków. Jak pan generał, który sam ją przeżył, na nią się zapatruje?

— Jest to zagadnienie drażliwe, które będę się starał gruntownie wyjaśnić w następnym tomie moich pamiętników. Myślę, że mogę twierdzić, iż gdyby nie nasza interwencja, nie doszłoby do Bitwy Warszawskiej. Jak pan wie, przyjechałem do Polski z Misją Ambasadorów i rząd polski powierzył mi zadanie zorganizowania oporu wojska polskiego, we współpracy z szefem sztabu, gen. Rozwadowskim. Marszałek Piłsudski udawał zawsze nieświadomość tej decyzji jego rządu i moje stosunki z nim były utrudnione od samego początku. Trzeba przyznać, że plan strategiczny, który został zastosowany — obrony nad Wisłą — był opracowany przez polski sztab główny i że plan ten był lepszy od mojego. Proponowałem, stosując zresztą te same zasady stra-

tegiczne — ustalenie linii oporu nad jednym z dopływów Narwi, którego nazwa mi się w tej chwili wymyka z pamięci.

— Jakie wrażenie pozostawił panu generałowi Piłsudski?

— Wrażenie bardzo silne. Był to z pewnością człowiek nieprzeciętny, o wybitnej osobowości. W dziedzinie wojskowej posiadał rzadko spotykaną intuicję, dużą instynktowną inteligencję i niewiele metody: sam zresztą podkreślał swoją pogardę dla metody. Jest to bezsprzecznie postać wielkiego patrioty, który był przede wszystkim mężem politycznym. Jego przeszłość rewolucyjna i socjalistyczna, jego pochodzenie z kresów wschodnich sprawiło, że był on przede wszystkim nieprzyjacielem Rosji. Wydaje mi się, że należy tutaj szukać przyczyn jego prób zbliżenia z Niemcami. W polityce wewnętrznej działał jak człowiek bardzo ambitny, bardzo zazdrosny o swą władzę i dyktaturę: był twardy i trudny w obęsieniu dla swoich rodaków. Czy pozwolę sobie na próbę osądu jego rządów? Rażem zwiążesz ich skutki nie wydają mi się szczęśliwe dla Polski. Po zwycięstwie z 1920 r. Piłsudski powinien był moim zdaniem dążyć do urzeczywistnienia zjednoczenia narodowego. Nie zrobił tego i wolał później narzucić krajowi dyktaturę grupy.

— A inni polscy dowódcy których pan poznał w tych czasach?

— Józef Haller był moim serdecznym przyjacielem. Był to stary patriota, którego cenilem dla zalet serca i charakteru. Wie pan że po zawieszeniu broni przewieźliśmy z Francji do Polski przez Niemcy sześć dywizji polskich Hallera (aż dziw pomyśleć jak Niemcy były wówczas całkowicie pokonane). Piłsudski zniszczył to małe wojsko, zapewne zazdrosny o rolę, którą mogło odegrać. Kiedy przyjechałem do Polski, Haller dowodził ochotnikami i przez jego ręce przeszła wówczas cała młodzież polska. Wydało mi się, że należy wykorzystać popularność tego żołnierza powierzając mu dowództwo frontowe i prosiłem Piłsudskiego o mianowanie go na czoło frontu północnego. Ta grupa armii była wówczas pod dowództwem gen. Szeptyckiego, starego, schorowanego, niezdolnego do wydania rozkazu. Zachowałem żywe wspomnienie z tej interwencji. Haller przyszedł do mnie wzburzony po swoim widzeniu z Piłsudskim, mówiąc: „Proponuję mi dowództwo nad cofającą się armią, aby spowodować moją śmierć polityczną. Nie dam się nabrać na ten podstęp”. Odparłem mu: „Ależ, mój drogi generale, to ja prosiłem Piłsudskiego o powierzenie panu tego dowództwa, i myślę, że przyjęcie go jest pana patriotycznym obowiązkiem”. Z właściwą sobie szlachetnością i ofiarnością Haller przyjął natychmiast. Przy tej samej okazji mam mniej przyjemne wspomnienie o gen. Dowbór-Muśnickim. I on także cieszył się wówczas w społeczeństwie dużym szacunkiem po swojej kampanii w Rosji, będąc jednocześnie odsunięty przez Piłsudskiego. Prosiłem Piłsudskiego o powierzenie mu dowództwa szóstej armii. Dowbór przyszedł do mnie tak jak Haller i oświadczył mi, że odmówił przyjęcia ofer-

1) WEYGAND de l'Académie française. *Mémoires. Idéal vécu*. Str. 650. Flammarion, Paryż, 1953, cena 975 fr).

ty Piłsudskiego : „Nie chcę słuchać Piłsudskiego i jego głupich rozkazów. Co to za pomysł z tą bitwą?” Pomimo wysiłków, nie udało mi się skłonić Dowbora do zmiany zdania. Obaj generałowie mieli ten sam odruch zniecierpliwienia, spowodowany słusznym może żalem. Ale podczas gdy dla Hallera ojczyzna miała pierwszeństwo, Dowbór dał się ponieść motywom osobistym.

W tym samym okresie poznałem generała Sikorskiego, dla którego zawsze zachowałem najwyższy podziw. Byłem z nim związany trwałą przyjaźnią i widywałem go często podczas jego wizyt we Francji przed wojną. Posiadał on wielką, ogólną inteligencję i uderzające talenty wojskowe. Obserwowałem z podziwem zrzeczność z jaką prowadził wyjątkowo trudną kampanię w poleskich błotach i prosiłem Piłsudskiego o powierzenie mu dowództwa nad armią na północ od Narwi, której wspaniała robota pod rozkazami Sikorskiego umożliwiła zwycięstwo.

Zachowałem dobre wspomnienie również o innych polskich dowódcach. Generał Rozwadowski, z którym miałem najlepsze stosunki i który towarzyszył mi codziennie w czasie kampanii, generale Zagórskim, szefie sztabu Hallera, którego zniknięcie w tak tajemniczych okolicznościach głęboko mnie później poruszyło. I generale Sosnkowskim, którego inteligencję, uczciwą politykę, prawość charakteru, zawsze wysoko szanowałem.

Przerywam generałowi, aby mu opowiedzieć o próbach zjednoczenia politycznego uchodźstwa, dokonywanych przez gen. Sosnkowskiego.

— Poznaję tu Sosnkowskiego. Trzeba jego szlachetności charakteru, aby móc się porwać na dzieło zjednoczenia narodowego.

Spśród waszych młodszych dowódców, poznałem gen. Bora-Komorowskiego w Niemczech, po zakończeniu naszej wspólnej niewoli. Widziałem go ponownie w Paryżu, podczas śniadania któremu przewodniczyłem z okazji wydania jego książki. Jestem szczęśliwy, że mogłem poznać człowieka, który odegrał tak piękną rolę.

— A polscy mężowie polityczni, których pan generał spotkał?

— Przede wszystkim Paderewski. Co za szlachetność, co za siła ideału. Nie wiem jak by mu się udało na dalszą metę działalność polityczna, przy jego artystycznym usposobieniu, ale jako źródło natchnienia, nie miał on sobie równego. Witosa widziałem kilka razy, wiem że miał on wielki mir wśród mas chłopskich, ale nie mówił po francusku i był niemym świadkiem naszych zebrań. Grabski sprawił na mnie wrażenie bardzo porządnego człowieka, solidnego, z umiarem. Mam najlepsze wspomnienie o księciu Sapieże, ówczesnym ministrze spraw zagranicznych, który przyjął Misję Ambasadorów przemówieniem, którego siła i wiara wywarła na nas wszystkich wielkie wrażenie.

Bardzo lubię profesora Strońskiego, który często mnie odwiedza w Paryżu. Cenię jego inteligencję i dowcip.

— Historycy najnowszych czasów często wspominają o inicjatywie Marszałka Piłsudskiego z 1933 r. Miał on zaproponować Francji rozpoczęcie wojny prewencyjnej przeciw Niemcom. Źródła oficjalne milczą na ten temat, ale istnieje przypuszczenie, że swoim zwyczajem Marszałek działał wojskowymi drogami. Czy pan generał wie coś o tym?

— W 1933 roku stałem na czele wojska francuskiego. Nigdy nie słyszałem o podobnej inicjatywie Piłsudskiego.

— Polscy dowódcy z Kampanii Wrześniowej twierdzą, że Francja we wrześniu 1939 r. nie wywiązała się ze swoich zobowiązań, zawartych w konwencji wojskowej, która między innymi przewidywała ofensywę na zachodnim froncie. Co pan generał o tym sądzi?

— We wrześniu 1939 Francja wykonała zaledwie parę symbolicznych gestów, aby pomóc Polsce wojskowo. Dowództwo francuskie sądziło, że nie posiada dostatecznych sił na przeprowadzenie wielkiej ofensywy — na przykład przeciw linii Zygryda. Przewidziane jednak było, że dwie armie — Trzecia i Czwarta — dokonają ograniczonych operacji ofensywnych. Czwarta armia wykonała zaledwie parę małych ataków w rejonie Saary, a Trzecia Armia nie wstąpiła w ogóle do działań, gdyż po 17 września oceniono, że za późno już na jakąkolwiek pomoc.

— Jak pan generał tłumaczy fakt, że nie wykorzystano we Francji doświadczeń z kampanii wrześniowej?

— Działo tu nieinteligentne uprzedzenie. Twierdzono, że Niemcy nie mogą zastosować we Francji tej samej strategii co w Polsce. Uprzedzenie to było tym bardziej błędne, że Niemcy, zresztą bardzo dobrzy wojskowi, niechętnie zmieniają metody.

Generał Weygand nie zna szczegółów dotyczących sukcesji Prezydenta Mościckiego i internowania rządu polskiego w Rumunii, ponieważ nie był wówczas we Francji.

— Czy może mi pan generał coś powiedzieć o nastawieniu marszałka Pétain do spraw polskich?

— Nie wątpię że marszałek Pétain miał do Polski sympatię, ale więcej nie mogę powiedzieć. Jak pan wie, byłem zaledwie jedenaście tygodni w Vichy : mój charakter nie nadaje się do działalności politycznej, zwłaszcza w takich okolicznościach.

— Jakie jest zdanie pana generała o przyszłości Europy środkowo-wschodniej?

— Myślę, że w razie zbrojnego konfliktu wojska satelitów szybko by się obróciły przeciw Rosji. Ale skutki nowej wojny

byłyby tak przeraźliwe dla całego świata, że moim zdaniem trzeba dołożyć wszelkich starań, aby jej uniknąć: to znaczy być silnymi dopóki ten konflikt grozi.

— Z różnych stron wysunięto projekty stworzenia ochotniczych oddziałów uchodźców z Europy środkowo-wschodniej u boku N.A.T.O., Armii Europejskiej, czy pod dowództwem amerykańskim. Co pan myśli o tych projektach?

— Stworzenie takich oddziałów u boku NATO, czy Armii Europejskiej byłoby, obawiam się, w naszych krajach europejskich źródłem niekończących się protestów. Prawdopodobnie byłoby to możliwe w Ameryce. W ogóle, podczas gdy moim zdaniem uchodźcy polscy, a zwłaszcza wasz rząd w Londynie powinien być zachęcany i wspomagany w pracy nad utrzymaniem wszelkimi środkami uczuć narodowych uchodźców, podczas gdy kultura waszych krajów powinna być przechowywana na Zachodzie, stwarzanie zbrojnych oddziałów wydaje mi się w obecnej chwili niepożądane.

Naturalnie, nie myślę, aby jakieś nowe Locarno leżało w interesie Polski, wręcz przeciwnie.

Dziękuję generałowi i opuszczam dom starego przyjaciela Polski: gościnnie, niemal polski dom.

K. A. JELEŃSKI

PREUVES

REVUE MENSUELLE LITTERAIRE ET POLITIQUE

JUIN — N° 28

SIMONE WEIL : *Luttons-nous pour la justice ?*

HERBERT LUTHY : *L'An I de l'Europe*;

NICOLAS NABOKOV : *Serge Prokofiev*;

ANDRE DHOTEL : *L'homme traqué*

ROBERT DESNOS : *Calisto* (fragments);

JOSEPH CZAPSKI : *Malraux* et „*Les Voix du Silence*”;

ARNOLD J. TOYNBEE : *La rencontre des civilisations*;

JACQUES BARON : *Notes marocaines*;

Chroniques de :

JULES ROY, DAVID ROUSSET, MICHEL SEUPHOR etc.

PREUVES : 41, avenue Montaigne, Paris 8

Téléphone : ELY 56-61 et 63 — C.C.P. : 17.800 Paris.

Le N° de 112 p. ill. : 120 Frs — Spécimen gratuit sur demande

Sprawy i Troski

Polacy w St. Zjednoczonych

1

I znowu fala polska uderzyła o brzegi Stanów Zjednoczonych. Fala mająca tradycję najstarszej emigracji politycznej.

Lopocze nad nią sztandar żaloby rozwijany po kłęskach. Kajetan Węgierski, zrozpaczony rozbiorem Polski, nikłymi szansami walk wyzwoleniczych, stanąwszy w 1783 na ziemi amerykańskiej, pisał: „Jeśli bogowie nie okażą litości nad losem Polski, powiem moim współrodakom: „Przejdźcie morze i zapewnicie waszym dzieciom swobodę i własność”.

W naszych kłęskach majaczyły zawsze St. Zjednoczone, jako Ziemia Obiecana. „Porzućmy Europę, bezlitosnego widza naszych walk i naszej rozpacz” — mówiła odezwa emigrantów 1831 w Londynie — „Ameryka jest jedynym krajem godnym zostania schroniskiem ludzi, którzy poświęcili wszystko dla wolności”.

Podążyliśmy więc przetartymi już przez poprzedników szlakami wzniosłości i goryczy. Kiedy w 1834 dwie fregaty austriackie zwalają na ziemię amerykańską 235 deportowanych STATELESS dipisów — weteranów powstania, okazało się, że „natchnienia narodów” stali się oni uciążliwymi cudzoziemcami. Takie jest prawo życia, a kto traci czas na rekryminacje, ten się osłabia.

Emigracja zarobkowa, która potem nastąpiła, lądowała też w depresji i stawiała przed ścianą głuchej rozpacz.

I emigracja polityczna jednak i zarobkowa zakiełkowały. W obecnej emigracji, która ma przed sobą zarówno zadania polityczne, jak i zarobkowe, również kiełkują wartości stanowiące wkład w życie kraju, który nas przyjął i kapitał dla polskiej przyszłości. To kiełkowanie będzie szybsze jeśli wzrastać będzie

świadomie na poglebiu polskiej tradycji w Stanach Zjednoczonych.

Po kampanii wrześniowej przełamaliśmy depresję, by walczyć. Cios Jatty wymagał więcej czasu. Chciałbym, żeby to studium znalazło się w szeregu czynników regenerujących polskie myślenie polityczne.

DAWNIEJSZE EMIGRACJE POLITYCZNE

To nie dolar nas wabił w zaraniu tego kraju 1). I dosyć ujęcia dla instynktów pionierskich. Franciszek Warnadziejewicz, członek wyprawy Kolumba, ginący od strzały indyjskiej, to był wyjątek zbłąkany na Bahama zamiast na Dzikie Pola. Różnowiercy nie potrzebowali też uciekać za morza dla swych przekonań religijnych. Polska była europejską Ameryką, do której chronili się prześladowani.

Pierwsi emigranci, to drobinki dysydentów, emigrujących jednak nie z powodów religijnych, a politycznych, ludzie, którzy się opowiedzieli za szwedzkim najeźdźcą. To Olbracht Zaborowski, lądujący w 1662, dający początek podotąd istniejącej rodzinie Zabriskie, to Sadowski lądujący w epoce królowej Anny, którego synowie — pionierzy docierający niespenetrowanymi szlakami wodnymi aż do Nowego Orleanu, zakładający Cincinnati i teraz kwitną rozrośniętym rodem Sandusky.

Słowiański *Mayflower* — polscy Arianie, poplecznicy szwedzkiej inwazji, uchodzący po wyparciu Szwedów do Czech, zakładający Braci Morawskich, lądują w liczbie 4.000 w początku XVIII w.

Stąd Polak-dyssydent dr Kurcusz jest założycielem pierwszej szkoły wyższej w N. Jorku (1659), w której czesne jeszcze pobierano skórami.

Stąd Polak, Kowalski — Fabricius jest pierwszym w ogóle w Stanach pastorem luterańskim, obejdzającym zbory do śmierci mimo spadłej nań w ostatnich dziesięciu latach życia ślepoty.

To Karol Błaszkiwicz, sporządzający pierwsze mapy półbrzeża Atlantyku.

To W. Adamkiewicz, budowniczy gubernatora Stuywesanta, wznoszący pierwsze większe budynki N. Jorku (wówczas: N. Amsterdamu).

Nazwiska ich migają nieznanymi światłkami w tamtoczesnych registrach, są snąc walorem kraju, skoro w broszurze wydanej w 1649 Polak, Konrad Popolski wdaje się w dyskurs „de publicis”.

1) W tym ustępie poza pamiętnikami Niemcewicza i innych i monografii o Kościuszcze itp. opieram się na materiałach zawartych w ośmiu książkach przyczynków nieodżałowanego M. Haimana, kustosa Muzeum Polskiego w Chicago. Niektóre wiadomości z jego książek zasilają i inne ustępy.

I jakby, świadomo, że rozpoczynają trzy wieki polskiej tradycji, polscy smolarze, szklarze, majstrowie klepki, wańczosu, ługów i potaszów — specjaliści sprowadzeni przed *Pilgrims*, bo w 1609 do ubogiego w technikę kraju, robią w 1620 pierwszy strajk polityczny w Stanach nie stawiając się do roboty, zanim nie uzyskają prawa głosowania.

Potomek emigranta-dyssydenta, bankier holenderski Stadnicki, własnymi funduszami gwarantujący pożyczkę nieuznanego rządu amerykańskiego, chcąc zwalczać niewolnictwo, uzasadniane potrzebą rąk roboczych na plantacjach trzciny cukrowej, zawiązuje Towarzystwo dla warzenia cukru z soku klonowego, zakupuje w US obszar równy niemal Wyspom Brytyjskim, na którym Towarzystwo w ciągu półstuletnich swych rządów znakomicie pchnęło rozwój gospodarczy kraju.

Ogień ideowy, mniejsza o to, że z różnowierczych źródeł, jest polski. Siostry Morawskie w Savannah dzierżone silną ręką przełożonego Leszczyńskiego, szyją sztandar dla Pułaskiego, którego wręczenie opiewa w pół wieku później H.W. Longfellow.

Pokolenie Epoki Oświecenia w Polsce zwraca oczy na kraj, w którym już realizują się hasła mętnie dopiero wieszczone przez prekursorów zbliżającej się Rewolucji Francuskiej.

Realizuje się wolność, o którą drży zagrożona Polska. „Przejechałem kilka tysięcy mil” — pisze do Waszyngtona lądujący w 1783 roku pionier tej epoki, poeta Kajetan Węgierski — „aby nauczyć się zachowania dla narodu jego najdroższych praw”.

Realizuje się demokracja, którą próżno usiłują intronizować spletanymi rękoma twórcy konstytucji 3 maja. „Patrzyłem na niego z większym szacunkiem, jak na uszamerowanego marszałka w gromadzie lokajów” — pisze Niemcewicz, jeden z twórców tej konstytucji o generale Gates, zwycięzcy spod Saratogi, dzwigającym pękaty kosz z zakupioną żywnością.

Tej popularności Ameryki towarzyszą czasem aż zabawne objawy polskiej sympatii, jak to wysłanie dla żołnierzy amerykańskich 50.000 funtów balsamu leczącego rany przez wojewodę Mostowskiego, albo zwrócenie się Polskiego Zakonu Rycerzy Boskiej Opatrzności o listę kandydatów do odznaczeń, z którym to fantem demokratyczny Kongres nie wie co począć.

Na wstające za morzami światło ciągną urzeczeni nim robotkowie Konfederacji Barskiej. Okres ten początkuje polską tradycję walki na wszystkich barykadach świata. Tradycję niepoliczonych ofiar, rozproszkowanych wysiłków. Siostra Weronika na pobojowisku pod Gettysburgiem odkrywająca pod zmytą krwią rysy brata, którego losów nie znała — jest tragicznym tego symbolem.

— Historia — przypadkowo tylko zetrze krew, by tu i tam wynurzyła się sylweta :

Mikłaszewicza — który na okręcie nazwanym „Prince Radziwiłł” na cześć mecenasa Konfederacji Barskiej, mając jeszcze inny okręt, razem 10 dział i moździerz, uwija się szarpiać „tyranów”.

Albo innego konfederaty, Elholma, który na czele siedmiu strażników bierze do niewoli wyprawę rzeczną pięciu okrętów z 14 działami i półtora setką żołnierzy, którego imieniem stan Tennessee nazwał jeden z dwu składających go dystryktów (drugi nazwano imieniem Waszyngtona).

To nie tylko poległy Pułaski, „ojciec kawalerii amerykańskiej”, ratujący armię Waszyngtona szarżą pod Bradywine, to nie tylko Kościuszko, „ojciec amerykańskiej artylerii”, założyciel Akademii Wojskowej West Point, który sztuką fortyfikacji przeważał bitwę pod Saratoga, stanowiącą o losach Ameryki. To wszyscy Polacy, niepoliczeni, ciałami swymi podmurawiający fundament, nad którym teraz łopocze 48 gwiazd.

Kiedy tłum amerykański po drugim powrocie Kościuszki wyprzega jego powóz, to nie tylko dlatego, że insurekcja zwróciła na siebie dwudziestotysięczny korpus rosyjski przygotowany dla „uśmierzenia buntu amerykańskiego”. Kiedy każdy Amerykanin po dziś nas wita wierszem, którego uczył się w szkole „*And freedom shrieked when Kosciuszko fell*” („I wolność zakrzyknęła, kiedy padł Kościuszko...”) — to i ten tłum sprzed półtora lat i te dzieci po drugiej wojnie światowej czczą nie Kościuszkę, a swoje dziedzictwo, które budowały ręce tych niepoliczonych i nieznanych.



To dziedzictwo zasnuwa dosytny dzień, którego Polacy nie mają. Na parę miesięcy przed śmiercią Waszyngton, siedząc przy kominku z Niemcewiczem, który go żegna po dwutygodniowej gościnie, mówi z zamyśleniem :

— Najszczęśliwszy naród? Byleby szczęścia tego nie posuł.

Któż wie, jakie drogi okólne wiodą do szczęścia narodów. Kiedy kwiata inteligencji lojalistycznej wywoziła jednorazowo flota stu okrętów półksiężycowo wypływająca z Halifaxu, na miejscu zostali prostacy, *bipeds of the forest* (dwunożni z lasu), upadły uniwersytety (Harvard, mający w chwili wybuchu walki o niepodległość 150-letnią tradycję, jeszcze w 1800 liczy zaledwo trzech profesorów). W dziennikach znikły na całe lata księgarskie ogłoszenia²⁾. Zainteresowania skupiają się na budowie codziennego dnia i na krótki tylko czas błyskawica 1831 i jego emigracja rozdziera szarość, która zaczyna zaciągać Amerykanom ich własną spuściznę.

W okresie od powstania do Wojny Domowej polska emigracja polityczna bije się jak w sieci, psując spokój gospodarzom.

2) Nevins & Commager. *The History of the USA.*

I tu znajdują się Kołyszczowie i Zaliwscy. Tak w 1838 r. 31-letni por. Szulc, ongiś bohater spod Wawra, dorobiony już, zareczony z Amerykanką, na wieść, że Kanada powstaje przeciw „tyranom”, rzuca wszystko w diabły, wdzierając się do Kanady ze 170 ochotnikami, broni się pięć dni w murowanym młynie. Poddaje się dopiero po wystrzeleniu całej amunicji i utracie 60 ludzi i zostaje powieszony mimo obrony adwokata Mac Donalda, późniejszego prezydenta Kanady.

Katyniów w owych czasach nie ma, ale wybuchają polskie awantury mącące dobre stosunki z Rosją ku nieklamanej irytacji rządu amerykańskiego.

W 1845 wybucho sprawa testamentu Kościuszki na rzecz Murzynów, którego egzekutorem był przyjaciel Kościuszki, Jefferson, trzeci prezydent Stanów Zjednoczonych. Testament, który unieważnił sądy US przyjeżdża egzekwować współspadkobierca kpt. Władysław Wańkowicz, dziad w linii bocznej podpisanego. Ponieważ wbrew nakazom poselstwa rosyjskiego upiera się go egzekwować przez „buntownika”, bo powstańca 1831 roku b. majora, a wtedy adwokata amerykańskiego Tochmana, dobra jego pod Wilnem zostają skonfiskowane. Aż do Wojny Domowej kongres grzmi mowami na rzecz Wańkowicza, powołuje komisje, ale rząd nie chce się wadzić z Rosją, tuszuje sprawę z norymberską bezwzględnością.

Kiedy wybucho Wojna Domowa, Tochman i Wańkowicz biorą w niej udział „wołąc raczej zostać wygnańcami po raz trzeci, niż sprzeniewierzyć się zasadzie wolności”.

Sprawa niewolnictwa buzuje się w Tow. Demokratycznym Polskim w N. Jorku, emigrant Gurowski pisze dwie książki przeciw niewolnictwu, zwalczający je publicystycznie inny emigrant, Lawiński, uzbraja redakcję w dwie armaty. Weterani z 1831, mieroślawczycy z powstania Wielkopolskiego, uczestnicy powstania galicyjskiego w 1846, żołnierze Bema z kampanii węgierskiej, żołnierze Garibaldięgo, Kozacy otomańscy Sadyka Paszy sypnęli się na jeszcze jedno pobjowisko świata. Pcha się, widać, kto w Boga wierzy, skoro na 30.000 zamieszkałych wówczas w Stanach Polaków (zapewne łącznie z kobietami i dziećmi) — miga w przechowanych rejestrach Wojny Domowej 5.000 polskich nazwisk.

Mieroślawczyk Krzyżanowski, prowadząc swą brygadę do ataku, ranny, pada z konia. Wylizawszy się, pod Chancellorsville, gdy wszystko pierzcho, ostaje się jedyny ze swą trzypułkową brygadą. Pod Gettysburgiem odbija baterię, poprowadziwszy osobiście atak na bagnety, przy czym zostaje zabity jego adiutant. Kończy wojnę jako generał wkraczający na czele pięciu pułków do spiącego kwiatami N. Jorku.

Karge, słuchacz Mickiewicza, mieroślawczyk, który przez podkop uciekł z więzienia pruskiego rozbijając słynnego partyzanta Jacksona pada z zabitego konia, ale prowadzi atak dalej i zwycięża. Pod Barnett's Ford ratuje armię od rozbicia. Pod Brandy Station, nie mogą wstrzymać ucieczki, samowtór z adiu-

tantem rzuca się do ataku, pada ranny, po trzech miesiącach w szpitalu zdobywa Warrenton z zapasami, 1.600 jeńców. Dowodząc dywizją, bierze do niewoli gen. Cholsona.

Weteran 1831, płk. Sulatowski dowodzi brygadą, wysyła okręt z bawelną wartości 78.000 dolarów na rzecz werbowania emigrantów 1863 r. Drugi weteran 1831 r., płk. Szymański, dowodzi pułkiem, pdp. Oladowski jest zbromistrzem armii, wielu oficerów jest na kompaniach jak choćby ów Wankowicz, który otrzymuje patent na porucznika.



I znowu taster przekręca historia — wody potoku splywają. General Krzyżanowski zostaje pierwszym gubernatorem Alaski i pokolenia Amerykanów długo jeszcze widzą postać sędziwego generała Karge, który obejmuje katedrę na uniwersytecie w Princeton.

Masa — trzepocze się na wylonionej mieliznie. Amerykańskim Michcikom którzy świat przemierzali nie widzi się emigrancka wegetacja. A światła — pogasły. Nowojorska kompania C-31, złożona z Amerykanów zdejmuję uniformy powstania 1831. Okręty *Warsaw, Poland, Pulaski* zmieniają nazwy. Kroniki pełne są wiadomości o polskich awanturach pijackich, o polskich skandalach. Naprawdę ten *noisy people* jest zbyt dokuczliwy.

A serca tego noisy people żre rozpacz. Stara to rozpacz od Mantui i San Domingo po Teheran i Jaltę :

...Stany Zjednoczone wydają Rosji żołnierzy, którzy zbiegli z jej wojska, aby walczyć w szeregach amerykańskich.

EMIGRACJA ZAROBKOWA

Problem.

Rozrost cywilizacji materialnej US po Wojnie Domowej stał się kluczem do wolności specyficznego rodzaju — wolności od sięgających głęboko konfliktów pomiędzy walorami starożytności, średniowiecza i współczesności, które targają Europą.

Istotnie — bez balastu tradycji było lżej się poruszać i ta „krzepa” miała licznych apologetów.

Północ — walczyła o wyzwolenie Murzynów przede wszystkim dla swoich celów gospodarczych, a zwyciężywszy, zmonopolizowała stronę ideową Wojny Domowej. Sens sprawiedliwości dziejowej stanął istotnie po stronie Północy, podczas gdy Południe walczyło o przeżyty arystokratyczny kształt życia. Ale był to ostatni protest masowy przeciw epoce technokracji.

Dzieje narodu, jak dzieje rodziny, rosną nie na formułkach świata nieorganicznego, a na nieznanym prawach organicznych.

Gdy wyprodukujemy nieudany preparat, jakże chętnie cofnęlibyśmy proces, wiemy jakich błędów należałoby uniknąć. Gdy narzekamy na nieudane małżeństwo, przypisujemy mu wady w naszych dzieciach, nie zgodzimy się jednak cofnąć życia wstecz, aby wzamian za te żywe dzieci, które mamy i kochamy, otrzymać dzieci z innej wymarzonej kobiety; nie możemy mieć bowiem żadnej pewności, czy nie porodziłyby się z jeszcze większymi brakami.

Narzekania na symplifikację duchową było w Ameryce dużo. Ale wątpić należy, czy obecnie któryś z tęskniących do Europy Ruskinów czy Browninów zgodziłby się cofnąć przeszłość za ogromną cenę : bo przecie symplifikacja dała Ameryce potęgę materialną, bez której obecnie czynnik mogący kształtować nową epokę byłby pozbawiony egzekutywy.

Zrozpaczeni indywidualiści amerykańscy dowodzili wprawdzie, że symplifikacja „stanowi zarazem słabość Amerykanów, bo im utrudnia w większym stopniu niż Europejczykom zrozumienie różnic między ideałami politycznymi, socjalnymi, moralnymi, estetycznymi i religijnymi, co stanowi istotę cywilizacji zachodniej”³⁾.

Ale jeśli następuje zmierzch cywilizacji zachodniej i ma ją zamienić synteza nowej cywilizacji świata, to wówczas to oderwanie Ameryki może jej dać większą łatwość asymilowania nowych wartości.

Wielką grę gra Ameryka. Jeśli zdąży sformować się duchowo zanim przyjdą rozstrzygnięcia, to ryzyko ofiar poniesionych na rzecz cywilizacji materialnej zostanie usprawiedliwione.

Jakie jest miejsce polskiej emigracji wszystkich epok w tym procesie ?

Odczłowieczanie

Zachodzi pytanie, jakie elementy wnieśli Polacy do wykluwającej się kultury amerykańskiej, do powstającej cywilizacji świata — już nie politycy i żołnierze, tylko najciemniejsi z ciemnych, najbiedniejsi z biednych — emigracja zarobkowa.



Emigracja religijna rozpoczęła się fanfara : 4.000 Braci Morawskich.

Emigracja polityczna rozpoczęła się fanfara : wlanie się między prostactwo pionierskie buńczucznej barwnej kawalkady szlacheckiej z Konfederacji Barskiej.

Emigrację zarobkową również otwiera fanfara — chłopska ; dźwiga ziarno siewne, kosy i grabie, części wozów, kubły drewniane, święte obrazy przywiezione z Polski. To emigracja całej parafii. Człoł pochodu otwiera ich proboszcz, ksiądz Moczy-

3) Northrop F. S. *The meeting of East & West.*

gamba. Zabrali nawet dzwon z wieży kościelnej. Wykopali i przez oceany przywlekli krzyż, który stał w ich wsi.

Stłumiona w Europie wiosna ludów hojnie zsypuje chlorofil na ziemię amerykańską. Powstaje osada za osadą. Wybuch Wojny Domowej ujawnia już 816 polskich osad.

Ale nie dało się wkopywać krzyży, zawieszając dzwonów i wy ciągać długich błotnistych uliczek wsiowych przy których ciasno zasiały chałupki. Szatan depresji przemysłowej, to nie jest biedny diabeł polski od niewinnych plag posuchy czy deszczu, nie odegna się go zakupem mszy. Pękają osiedla, zespoły rozpryskują się na drobiny po indywidualnych farmach. Niezwyczajnych tej formy życia zła siła przygniata samotnością, nienauczonych formy indywidualnego gospodarzenia szatan wygniata *mortgage'ami* (hipotekami), znów pędzi, ale tym razem do miast, znów zgarnia w kupę, ale już bez krzyża i dzwonu. Niezdolni do domokrajstwa, nie znający języka, bezbronni, płyną bezwonną masą w młyny fabryk, które miały ich kości na pognój. Z tego pognaju nie drzewa wyrosną, ale drapacze chmur.

Poczyna się odludzanie tych mas ściśniętych w ghettach.

Nie ogarniają źródeł zakupów. Ten towar, którego pochodzenia byli w Polsce bliscy, leży zstandaryzowany, bezduszny, obcy, pomarkowany cenami.

Odjęte im zostaje pierwsze prawo każdego w Polsce nędzara — świadomości i radości tworzenia. Produkują obiekt, którego kształtu nie ogarniają.

Cnoty, które w imigrantach wychowała rodzima forma gospodarza — nie są nikomu potrzebne, nie odpłacają się. Ich kultura — odpaźdierza się. Zdumienie ich nie opuszcza, że wszystko wokół niszczeje, gdy oni tyle potrzebują. Tyle pustej ziemi... A przecie przywykli do solidarności natury, do znaków dawanych przez przyrodę, gdzie ziemia, roślina, zwierzę i człowiek są zespolone solidarnością tworzenia i wzrostu.

Diabelskie młyny wreszcie otrzymają swój produkt : szarą masę zmieloną i zlaną do rezerwuarów ghetta miejskiego.

Proces techniczny, któremu poddano tę masę wytrawił z niej wszystkie cechy niepotrzebne dla produkcji. Zostawił tylko pracowitość i wytrzymałość. „*Their virtues as labourers were known*” („Ich wartość jako robotników była znana”) — pisze E.F. Steiner⁴). Taką już mają tradycję od 1608, kiedy kpt. Smith, kolonizator Wirginii pisze, że jedynie Polacy i Holendrzy przedstawiają cenny element imigracyjny. „*The Polish workmen seem to be the cleverest of all the foreigners in making the useful suggestions*” („robotnicy polscy przodują w wynalazczości wszystkim innym”) stwierdza Ford⁵). Śnać jeszcze tlił w tych Polakach zmysł samorodny wsiowych majsterków.

Zawziętość dźwigania się nawet z tej wąskiej ograniczonej bazy, nawet cząstką nie najistotniejszych wartości, ma w tych

4) E.F. Steiner *On the Trail of Immigrant*.

5) Henry Ford *My life and Work*.

ludziach straszliwą siłą. Mieszkają po kilku i kilkunastu, pokodem śpiąc na podłodze, żyją z jednego kotła, najtańsze mięso otrzymuje nazwę *Polack Steack*. Są łapczywi na nadgodzinówki, na akordy, zaczynają coraz śmielej sięgać po dobrodziejstwa cywilizacji materialnej. W popularnej piosence polskiej z tych czasów powszechnie śpiewanej, przewija się stale refren :

*Ta Ameryka, to śliczny wolny kraj
Wszystkiego dosyć ma — to istny raj*

Tu emigracja polska staje przed progami nowego niebezpieczeństwa. „Metoda ciągłego drażnienia potrzeb mas, pchając je do większego udziału w bogactwie, zamiast współpracownictwa w twórczości kulturalnej” — mówi Bowers — „jest dla postępu cywilizacji nader niebezpieczna”⁶).

Następuje ciekawy proces : zwykle naprzód jest kultura (wiedzenia, śpiewy, obyczaje), na podkładzie której tworzy się cywilizacja. Tym ludziom zabito ich kulturę, dano im cywilizację obcą, nie wyrastającą z nich organicznie.

Uzasadnieniem cywilizacji jest obrona kultury, na której spoczywa. Tego uzasadnienia szuka cywilizacja amerykańska, tworząc *American Creed* rodzaj dekalogu amerykańskiego.

Prasa, szkoły, przemówienia sądowe huczą sloganami : *The land of the free* (Ameryka — ziemią wolności), *The land of opportunity* (...wszelkich możliwości), *The cradle of liberty* (...kolebka wolności), *The home of democracy* (...siedlisko demokracji), *Freedom of speech* (swoboda słowa), *Freedom of Religion* (...wyznania), *Freedom of racial tolerance* (równouprawnienie rasowe). Niewątpliwie w tej *American Creed* jest załączek wielkiej uniwersalnej cywilizacji przyszłości.

Ale jeśli tysiąca lat trzeba, aby od wiary w bożka piorunu dojść do elektryczności, to ileż czasu potrzeba, by odwrotnie, od zakupionej wreszcie elektrycznej lodówki dojść do tak pięknej rzeczy jaką chce reprezentować amerykański bożek — *American Creed*?

Nie da się żadnym chwytem technicznym stworzyć przyspieszonej produkcji dusz.

Odczłowieczona masa bierze odwet na cywilizacji, która ją odczłowieczyła. 38 milionów surowizny ludzkiej, które wlały się w ciągu stu lat przed pierwszą wojną do Stanów Zj. przyczyniły się do przygaszenia kultury amerykańskiej.

Amerykańska cywilizacja rabunkowa w psychice ludzkiej zniszczyła jej organiczne powiązania. Ukazały się spod jej zmytej nawierzchni etyczne powszechnie przyjęte pojęcia *honest graft* (tolerowane łapówkarstwo), *sucker* („osesek” — pogardliwe określenie okpionego), *smart* („spryciarz” — z odcieniem zachwyty dla oszustów).

Ta erozja duchowa powoduje poważne klęski. Korupcja w cywilizacji amerykańskiej ma miejsce raczej przyznawane

6) Bowers D.F. *Foreign Influences in American Life*.

jej w cywilizacjach azjatyckiej i eurazjatyckiej, ale nie w europejskiej. Presja życia w którym zdenaturowały się dzikie instynkty pionierskie jest tak duża, że żaden kraj na świecie nie ma tak dużego procentu umysłowo chorych. W ciągu ostatniej wojny zdyskwalifikowano do służby wojskowej dwa miliony powołanych z powodów zaburzeń psychicznych, co rocznie staje przed sądami dla nieletnich niemal pół miliona młodzieży do 18 lat 7).

Samoobrona

Wówczas, w pół wieku po rozpoczęciu się emigracji zarobkowej, kiedy masa emigracji polskiej zyskała pewne podstawy materialne, następuje proces samoobrony, walki o utracone pozycje kulturalne; odpłaty ziemi, która ich przyjęła, nie tylko pracą zwierzęcia pociągowego; odkupienia krzywd moralnych, które się Ameryce zadało.

Z jakież podstwy wyjściowej wkracza masa polska w ten nowy okres?

Następuje on po ostatecznym rozpadzie życia sąsiedzkiego, którego mimo wysiłków, nie udało się zachować.

Kiedy chodzili w dół, życie rozwalało ich wsie na rzecz farm, farmy na rzecz miast.

Kiedy poczęli wznosić się w górę, wychodzili z poszczególnych legowisk do slumsów, potem do *apartment-house'ów* (wielkich kamienic), gdzie już lokatorów nic nie wiąże, gdzie już sąsiedztwa nie ma. Rozpadają się sąsiedzkie formy życia społecznego organicznego: sklepik, który był ciepłym klubikiem towarzyskim przeistacza się w *Department Store* (sklep uniwersalny), którego *saleslady* (sprzedawczynie) jest zaprzeczeniem pionierskiej sąsiedzkości. Dobroduszny woźnica, znający wszystkich, rozwozący ploteczki, zamienia się w *driver'a* szczekającego licznikiem autobusu. Imprezy kulturalne, jakie mieli w starym kraju zwykle związane z kościołem — od przyozdabiania grobów poczynając na szopkach kończąc — w Ameryce zanikają wobec tego, że kościół jest obcojęzyczny. Ich miejsce zajmuje uniwersalne kino, z którym emigranta nie łączy żadne duchowe współtwórstwo. Skazany on jest na pasywną konsumpcję. *All his values are of the fashions of consumption instead of the arts of production* — zwraca uwagę C.W. Mills 8) na zanik zainteresowań twórczych na rzecz konsumpcyjnych.

Emigracja polska, złożona z drobin świata organicznego, staje wobec społeczeństwa zbudowanego na związkach społecznych nieorganicznym. „Organiczne są te grupy społeczne, gdzie więź społeczna ma charakter spontaniczny, nie racjonalizowany *ex post* (m.p. — np. przez *American Creed*), gdzie więc jest ona nakazem tradycji, lub też jakichś impulsów irracjonalnych. Na-

tomiast społeczność nieorganiczna takiej więzi społecznej nie posiada i jedynym łącznikiem tam jest interes” 9). Społeczeństwo organiczne nazywa Tommis „wspólnotą”, zaś nieorganiczne — „społecznością”.

Otóż w walce o swoją organiczną kulturę Polonia spełnia silnie zakorzenioną w swej podświadomości misję opóźniania erozji duchowej Stanów Zjednoczonych.

Z tej żarliwej potrzeby — wbrew oporom kleru irlandzkiego (jakże dobitne historie przytacza dzieło ks. Kruszki 10) musiały trysnąć polskie parafie. Pierwsza polska trwała parafia (Osiedle „Panna Maria”, powstaje w Chicago w 1869. W 1870 mamy już 10 polskich parafii; w 1875 — 50, w 1889 — 132, obecnie — ponad tysiąc.



Chlorofil, który wniosła w duchowe życie polskiej emigracji pierwsza fala organiczna — budowniczych kościołów, sprawił, że zaraz po niej poszła następna — budowniczych życia społecznego.

Wolno te przemiany organiczne idą w otoczeniu świata związków nieorganicznym. Ten świat jest w stanie stawiać rekordy *efficiency* (sprawnej wydajności) jakie chce. Ozimina jednak tak jak i cięża zawsze będą wymagały swoich dziewięciu miesięcy i organicznych procesów społecznych nie daje się na wiele przyspieszyć.

Inicjatywę pierwszych stowarzyszeń częściowo zawdzięczać należy emigrantom 1863 r., w sumie jednak należy ona do chłopskiej zarobkowej emigracji. Rozwijając się w atmosferze amerykańskiej, praca społeczna polska pozostaje w swym rdzeniu chłopska z przybudówkami po-szlacheckich form towarzyskich (tytułomania itd.) i amerykańskich form organizacyjnych. Konwencja Zw. Narodowego Polskiego, na której byłem w Buffalo w 1951, której organizacja kosztowała kilkaset tysięcy dolarów, na której panoszyli się różni prezi i marszałkowie i która hojnie szafowała kielbasą wyborczą — przypominała równocześnie konwencję amerykańskich polityków, szlachecki sejmik i chłopską karczmę.

Formując się po amerykańsku na gruncie biznesowym, nieorganicznym, polscy emigranci wychodzą z form najbardziej organicznym, narodzonych we wsiowej pomocy sąsiedzkiej, kasach brackich, towarzystwach ostatniej posługi. Wkraczając przez tę bramę w wielki *insurance* amerykański, instytucję tylko i wyłącznie oszczędnościową, nagle, ni z tego ni z owego łączą to — z jakże polską, jakże „nieoszczędnościową” przysięgą każdego członka, skoro zobowiązuje członków „nie szczerzyć w potrzebie życia ni mienia”.

7) Raport O. E. Ervinga (Federal Security Administration) za 1951 r.

8) Wright Mills *White Collar*.

9) Tommis *Gemeinschaft und Gesellschaft*.

10) Ks. Kruszka *Historia Polska w Ameryce*. 13 tomów.

Z tego pnia wyrastają potem niezliczone ilości stowarzyszeń. Aktywa tego najstarszego — Polskiego Związku Narodowego w 1951 wyniosły 60 milionów dolarów. Aktywa szesnastu największych stowarzyszeń wynoszą w 1952 roku 137 milionów dolarów i wciąż rosną (w 1951 wzrosły o 7.800.000 dol.).



Po parafiach, po organizacjach przychodzi czas na prasę. „Echo z Polski” założone w 1863, „Orzeł Polski” w 1870, „Pielgrzym” w 1872 są może produktem emigracji politycznej, ale już założona w Chicago „Gazeta Polska” staje się organem emigracji zarobkowej.

Prasa ta przed pierwszą wojną światową przeżywa wielki rozkwit. Jest ona już produktem rdzennym, czerpie soki z obu kontynentów, staje się wyrazicielem nowych potrzeb i kulturalnych już nie tylko polskich, ale i amerykańskich. Najlepszym tego dowodem, że nawet dobre pióra polskie nie odpowiadają jej potrzebom — nie koniecznie wskutek wyższego poziomu, ale dzięki już odmiennej strukturze duchowej. Wacław Gąsiorowski, pisarz utalentowany na pełną miarę wymagań starokrajskich, pisarz popularny, dobrze znający Polonię¹¹⁾ — „kładzie” każde pismo, którego redakcję obejmie.

W 1952 ukazuje się osiem dzienników z ćwierćmilionem prenumeratorów. Poza tym tygodniki, z których dwa mają duży zasięg na całe St. Zjednoczone i Kanadę.

Podnoszące się potrzeby kulturalne wywołały wydawanie książek. Dzielny wydawca Paryski w Toledo wyprodukował około 2.000 książek w pięciu milionach egzemplarzy. Szkoły polskie rozpoczynają XX stulecie blisko stu tysiącami młodzieży.

(D. c. n.)

Melchior WANKOWICZ

Powstaniec w polatanej sutannie

Szperają nasi historycy polonijni, aby ustalić nazwiska i ilość przybyłych na Nowy Łąd.

Pierwsi imigranci do Stanów Zjednoczonych to przeważnie „Dipisi” 18 i 19 wieku.

Opierając się na „Szkicu historycznym okresów polonijnych” — ks. dr W. Jasińskiego, czas od 1850 do 1873 można nazwać

11) W. Gąsiorowski *Ach te „chamy” w Ameryce.*

„pionierskim”. Trudny to okres, charakteryzuje go troska o chleb i dach nad głową. Łącznikiem i spoidłem Polaków, mimo różnic (pochodzili z trzech zaborów) był katolicyzm, przywiązanie do tradycji religijnych i ciężka dola osamotnienia wśród obcych.

Po roku 1870 przybywają nowe fale emigrantów. W życiu Polaków w Ameryce ten okres można nazwać „organizacyjnym”. Polacy zaczynają się scalać, powstają polskie parafie, szkoły, klasztory, organizacje i gazety, polskie seminarium. Ażby jednak zrozumieć doniosłość tego dzieła w życiu Polonii i Kościoła katolickiego w Ameryce trzeba choć trochę naszkicować tło. Ameryka w swym trzonie to kraj protestancki. Protestantyzm często był wrogi wobec obcokrajowców, zwłaszcza katolików. Przybywający Polacy i inni Słowianie odczuwali niejednokrotnie dokuczliwe tendencje antykatolickie.

Wśród hierarchii kościelnej zdania są podzielone, co do tak zwanego problemu „amerykanizmu” — czy „drogi” jaką wino pójść życie katolików w tym nie-katolickim kraju. Lecz największą trudność stanowił brak kapłanów i nauczycieli wychowanych w Ameryce. Dość powiedzieć, że w roku 1880 było przeszło 6 milionów 250 tysięcy katolików, a tylko 6.000 księży. Zakony tak męskie jak i żeńskie były nieliczne. Trzeba zaznaczyć, że wśród księży przybyłych do Ameryki w pierwszym okresie spotykamy Polaków. O. Dzierzoyński, jezuita, był wybitnym profesorem, który przyczynił się w wielkim stopniu do rozbudowy zakonu w USA i wychował całe pokolenia jezuitów. Piastował różne funkcje, był superiorem i prowincjałem, położył fundamenty pod dzisiejszy słynny uniwersytet St. Louis.

O. Moczygamba — franciszkanin — sprowadził ze Śląska pierwszą zorganizowaną grupę imigrantów obejmującą 100 rodzin, zbudował pierwszy kościół N.M.P. w Texas i zorganizował pierwszą parafię w 1860 roku. Dla swych zasług zwany jest „patriarchą Polonii”. On też w pierwszej fazie swego pobytu w Ameryce zorganizował i założył seminarium i nowicjat i był komisarzem generalnym OO. Franciszkanów konwentalnych. On również podjął pierwsze kroki w celu zorganizowania Seminarium Duchownego — które to dzieło całkowicie urzeczywistnił ks. J. Dąbrowski. Zasługi wyżej wymienionych kapłanów dla całego kościoła w Stanach były ogromne.

W tym czasie przybył do Stanów Zjednoczonych kapłan — „szalenie Boży”, mąż opatrnościowy, tak dla Polonii jak i dla kościoła katolickiego w Ameryce — ks. Józef Dąbrowski.

Urodził się w Lubelszczyźnie w roku 1842 w majątku Żółtance. Do szkół uczęszczał w Lublinie, a po ich ukończeniu wstąpił do Szkoły Głównej w Warszawie. Był to rok 1862. Z chwilą wybuchu Powstania Styczniowego jeden z pierwszych wstąpił w szeregi. Bił się pod Mierostawskim — cudem tylko uniknął śmierci. Po klęsce uszedł do Drezna. Później studiował w Bernie i w Lucernie nauki matematyczne i techniczne, a na życie i opłacenie studiów zarabiał w drukarniach a czasami i w tamtejszych

kuźniach. Coraz jednak jaśniej czuł swoje powołanie. Gdy w roku 1866 otwarto Polskie Seminarium w Rzymie Józef Dąbrowski — emigrant polityczny wstępuje jako jeden z pierwszych. Przy końcu swych studiów, spotkał się w Wiecznym Mieście z biskupem Józefem Melcherem z Green Bay, który zaofiarował mu parafię polską w swej diecezji. Dn. 31 grudnia 1869 roku ks. Dąbrowski przybył do Nowego Jorku. Pierwszy jego list do generała Zmartwychwstańców, O. Semenki, daje obraz sytuacji, jaką zastał :

„Polacy gdzie tylko liczniej się zbrali, już mają swe kościoły, ale ani księży, ani szkółek i nawet nie ma nadziei, aby kiedyś mieć mogli, chyba dopiero wtedy kiedy się wynarodowią... Szkółek zakładać nie można, bo nie ma kto uczyć — księży nie można wykształcić — gdyż nie ma gdzie i przez kogo... W Milwaukee jest wprawdzie seminarium, ale cóż — angielsko-niemieckie. Chociażby posłało się jakiegoś z Polaków, to gdy z 8 lub 10 lat posiedzi w seminarium, to zapomni co umiał po polsku i gdy się wyświęci, będzie księdzem dla Anglików lub dla Niemców, cóż będzie z tego za korzyść dla Polaków ?”...

Na wiosnę 1870 roku ks. Dąbrowski pojechał do bardzo zaniedbanej parafii w miejscowości „Poland Corner” niedaleko Stevens Point. Ciężkie miał tam chwile — pokonał jednak trudności i od jego czasów miejscowość ta zwie się „Polonia”. Stamtąd napisał list do Matki Generalnej SS. Felicjanek w Krakowie z prośbą o przysłanie sióstr nauczycielek i ufundowanie pierwszego ich klasztoru w Polonii w Wisconsin. Dziś Felicjanki — to najliczniejszy zakon polskich sióstr w USA. Dnia 13 listopada 1874 roku wyładowało w Nowym Jorku 5 sióstr — były to pierwsze polskie siostry z Kraju. W pięć lat później miały już 4 domy, 28 sióstr i 45 sierot pod opieką. Dziś liczą 6 prowincji z 3.485 siostrami.

Po przelamaniu tysiąca trudności, w roku 1884, rozpoczął ks. Józef Dąbrowski budowę uczelni, której otwarcie nastąpiło dopiero w trzy lata później. Zaś po 14 latach pisał do autora „Historii Polskiej w Ameryce” — ks. W. Kruszkki :

„Tak więc odtąd będziemy mieli 32 kapłanów czynnych, którzy tu ukończyli całkowity kurs i otrzymali święcenia. Oprócz tego około 50 naszych studentów zostało przeniesionych do innych zakładów i otrzymało tam święcenia. W ten sposób 80 księży polskich wyszło z Seminarium Polskiego. Oprócz tego mamy licznych świeckich, jak adwokatów, doktorów, po różnych biurach, którzy nie czując powołania do stanu duchownego obrali sobie inny zawód i z chlubą pracują, jak i duchowieństwo, wśród naszych rodaków”...

Seminarium założono pod wezwaniem Matki Boskiej i Apostołów Słowian SS. Cyryla i Metodego. Przygarniało ono również młodzież sąsiadów Polski. Warto zacytować, że na zakończenie roku szkolnego 1894, ks. biskup Foley po kazaniu w języku łacińskim wysłuchał przemówień uczniów w dziewięciu językach : łacińskim, greckim, polskim, litewskim, ukraińskim, rosyjskim, francuskim, niemieckim, angielskim. Seminarium mia-

ło odegrać rolę łącznika pomiędzy emigrantami z środkowej Europy, by scalić wszystkich w jedną wielką rodzinę katolicką.

W suterynie klasztoru wspólnie z siostrami ks. J. Dąbrowski pracował niezamordowanie w drukarni przewiezionej z Polonii do Wisconsin. Redagował założony przez siebie tygodnik „Niedziela” i opracowywał podręczniki szkolne. Uczył katechizmu, historii kościoła, nauki o Polsce, matematyki i innych przedmiotów. A poza tym budował i budował... do klasztoru Felicjanek przybyły dwa nowe skrzydła. Na rok przed śmiercią ks. Dąbrowskiego „Detroit Journal” pisał :

„In the Polish Seminary on St. Aubin Avenue is an austere and venerable priest who lives like a recluse and who is honored by all who know him, almost as a saint... The old priest is Rev. Father Joseph Dombrowski, the founder of the Polish seminary, His name is uttered reverently in every Polish family, not only of this city but throughout the country”. (Detroit Journal, 12 lutego 1902).

Świetny polski pisarz T.T. Jeż (Miłkowski) w swej książce „Wędrówki po Stanach Zjednoczonych” pisze :

„Detroit ciągnął mnie z powodu osobistości ks. Dąbrowskiego, którego znałem już z posłuchów. Ks. Dąbrowski należy do tego rodzaju ojców duchownych, którego okaz historia polska podaje w osobie księdza Piotra Gabriela Bandouina... Nie dziw przeto, że mnie głęboka do księdza takiego przejmowała cześć i czułem nieprzepartą potrzebę moralną pokłonić się cudotwórcy takiemu. Była to postać robotnika, szorstka, opalona, zdradzająca hart i siłę, lecz niezdradzająca rozmiłowania w sobie, czemu świadectwo dawały i polatana i pocerowana sutanna, zachodzone obuwie... z oczów jego i oblicza bił wyraz mówiący, że człowiekowi temu bezwarunkowo ufać można i należy, on bowiem i zrobić dobrze i drogę wskazać potrafi”.

Następca ks. J. Dąbrowskiego, ks. Buhaczkowski, przeniósł uczelnię do Orchard Lake (26 mil od Detroit), gdzie się do tej chwili znajduje. Nie wiem czy jest w Ameryce drugie seminarium położone w tak pięknej okolicy. Tereny seminarium (107 akrów) dotyczą brzegów jeziora Orchard, jednego z najpiękniejszych z grupy 350 jezior w Oakland. Budynki i farma, dziedzińce i boiska w pięknej oprawie wód jezior i zieleni nadają miejscowości wygląd miasteczka. Biblioteka posiada 30.000 tomów w językach polskim, angielskim, łacińskim, niemieckim, i francuskim. Archiwum seminarium posiada wiele „białych kruków” np. listy i dokumenty królów polskich, Biblie z roku 1573 i inne.

Seminarium składa się z dwu wydziałów : świeckiego i duchownego. Wydział świecki kształci inteligencję zawodową, wydział teologiczny — kapłanów. Wydział świecki jest akredytowany przez uniwersytet stanowy i szereg innych uniwersytetów, tak że nie tylko udziela stopni naukowych ale otwiera szeroko drzwi do wszystkich najwyższych szkół specjalnych amerykańskich.

Jak Seminarium spełnia swe zadanie? Do tej pory 12.027 wychowanków narodowości polskiej, ukraińskiej, litewskiej i innych przesunęło się przez mury Seminarium. Wyższą Szkołę N.M.P. ukończyło przeszło 1.200 studentów, Kolegium N.M.P. przeszło 1.100 akademików, a Seminarium SS. Cyryla i Metodego — 565 księży. Wykłady odbywają się po angielsku i po polsku, w seminarium zaś — po łacińsku. Modlitwy tylko w języku polskim. Dzień 3-go Maja, oprócz świąt kościelnych i narodowych amerykańskich, jest dniem wolnym. Pismem zakładu i fakultetu jest miesięcznik „Sodalis”, jedyne pismo tego typu dla inteligencji w USA.

Orchard Lake jest tą „arką przymierza między dawnymi i młodszymi laty”. Jest pomostem między Starym Krajem, jego kulturą i życiem a Nową Ojczyzną. Każdy pracowity tutaj dzień — to cegiełka w gmachu Ameryki, i jej, daj Boże, kiedyś bardziej katolickiej przyszłości.

Orchard Lake — to chluba katolickiej Polonii! Jego życie jest ściśle związane z życiem Polonii, z życiem Ameryki, z życiem Kościoła. Przyczynił się do tego polski powstaniec styczniowy w polatanej sutannie...

Zdzisław J. PESZKOWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Kanadzie, St. Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.).

Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schoenau
US Zone, Germany.

JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ

Przedstawicielstwo „Kultury”, „Orla Białego”,
„Wiadomości”.

1165 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.

Archiwum polityczne

List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta „KULTURY”)

NEUTRALIŚCI I NEUROTYCZY

Istnieje kilka odmian polskiego neutralizmu. Zaczniemy od neutralistów geopolitycznych. Zwolennicy tego poglądu wychodzą z założenia, że wojna nie leży w naszym interesie, bo konflikt zbrojny oznaczałby dla nas armie niemieckie maszerujące ku Wiśle i w rezultacie utratę ziem nad Odrą i Nisą. To ze strony tej szkoły neutralistów padają gromy na każdego, który ośmieli się, w związku z problemem niemieckim, użyć terminu „negocjacje”.

Dla większości Polaków terminy: negocjacje i kapitulacja to są synonimy. Niewiara w negocjacje i formułę kompromisową jest powszechna i wypływa z dwóch przyczyn. Po pierwsze nigdy niczego nie zdołaliśmy wynegocjować, a po drugie, ogół Polaków słusznie mniema, że negocjować można z „pozycji siły”. Obie powyższe przesłanki są w budującej zgodzie z logiką. Natomiast z logiką nie ma już nic wspólnego równie powszechnie ugruntowana wiara w protest. Nie jest rzeczą korzystną podjąć negocjacje nie dysponując siłą. Mimo to jednak twierdzę, że słaby ma daleko większe szanse uzyskania jakichś korzyści na drodze negocjacji niż w drodze protestu.

Wiara w protest i w gest jest jednym z objawów politycznej neurozy. Nasze dzieje na przestrzeni ostatnich 150 lat są, w sumie, rejestrem klęsk i niepowodzeń. Głód sukcesu, głód zwycięstwa wysublimował się w zbiorowej psychice polskiej w koncepcje „zwycięstwa moralnego”. Powstanie warszawskie dla cudzoziemca jest fenomenem niezrozumiałym dlatego właśnie, że

rozpatrywane w oparciu o założenia pragmatyczne sprowadza się do nonsensu.

Wprawdzie gen. McArthur słusznie stwierdził, że „there is no substitute for Victory” — to jednak teza ta obowiązuje tylko w społeczeństwach myślących praktycznymi kategoriami. Synowie klęski muszą wytworzyć wartość, która spełniałaby rolę „substitute for Victory”. To jest proces przystosowania się do klęski i formuła „zwycięstwa moralnego” uchroniła nas niejednokrotnie od załamania. Niestety sublimacja jest posunięta u nas tak daleko, iż w gruncie rzeczy owo „zwycięstwo moralne” bardziej nas interesuje niż wszystko inne.

Wyobraźmy sobie następującą sytuację. W Paryżu obraduje międzynarodowa konferencja na której ma zapasć ostateczna decyzja w sprawie granicy na Odrze i Nisie. Posiadamy rząd jedności narodowej i delegacja polska otrzymała zaproszenie. Po wielu tygodniach żmudnych debat wielkie mocarstwa przedkładają plan kompromisowy, który odbiera nam 10 powiatów ale wzamian daje nam gwarancję amerykańską nowej granicy polsko-niemieckiej. Co robi w takiej sytuacji delegacja polska? Jej szef wypowiada ciężką mowę, gęsto przetykaną „przedmurem”, sypie datami historycznymi od XIII wieku wywyż i na koniec zakłada uroczysty protest. Delegacja wraca do Londynu, gdzie na lotnisku zarząd Związku Ziemi Zachodnich wita ją kwiatami.

Być może, że ten obrazek jest przesadzony. Ale chodzi mi o wykazanie, że ilekroć Polacy mają do wyboru „zwycięstwo moralne” lub kompromisowy sukces — istnieje ogromne niebezpieczeństwo, że nie dostrzegą częściowej korzyści i wybiorą pełne „zwycięstwo moralne”. Bo kompromis jest kombinacją sukcesu i przegranej i wskutek tego nie zaspakaja poczucia dumy. Mało tego — kompromis przekreśla z góry możliwość moralnego odwetu, gdyż zawiera w sobie akt świadomej kapitulacji na pewnym odcinku. Filozofia, która uczy, że należy czasem umieć skapitulować z cząstki, by uratować 80 % pozostałej reszty — jest wśród nas bardzo niepopularna.

Ten klimat powoduje, że neutraliści odrzucając z góry jakiegokolwiek kompromisowe rozwiązanie trwają w potencjalnym proteście i czerpią siły z przyszłego „moralnego zwycięstwa”. To oni przewidują nową „Jaltę” i już dziś wietrzą przyszłych zachodnich „jałtańczyków”, którzy gotowi popsuć czystość „moralnej wiktorii” deklarując, że wolą ustąpić z cząstki niż utracić całość.

Neutraliści tej szkoły wychodzą z całkowicie fałszywych założeń. Tym panom wydaje się, że Rosja gwarantuje nam granice na Odrze i Nisie. I nie tylko Rosja. Neutraliści zachowują się w ten sposób jakby granica na Odrze i Nisie uznana była przez cały świat z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych, które wraz z Niemcami spiskują przeciw tej granicy.

W rzeczywistości kampania o Ziemi Odzyskane musi być rozegrana po tej stronie „żelaznej kurtyny” i o losie tych

ziem nie będzie decydowała niemiecka Kwaterna Główna, lecz Waszyngton. I choćby dziesięć Rosji gwarantowało nam granice na Odrze i Nisie nie będziemy mogli uważać tej granicy za definitywnie ustaloną i zabezpieczoną, dopóki nie uzyskamy uznania tej granicy za ostateczną przez Stany Zjednoczone. Dlatego jedyną realną polityką w tej sprawie jest akcja zmierzająca do pozyskania Amerykanów — tak jak to ze swej strony robią Niemcy. Nasza pozycja jest gorsza niż Niemców, gdyż ci posiadają państwo po tej stronie „żelaznej kurtyny” oraz dysponują zręcznymi politykami i dużymi wpływami. My niestety nie mamy ani zręcznych polityków ani wpływów, niemniej jednak nasze argumenty w tej sprawie są bardzo istotne i w pełni nadające się do obrony. Jeżeli jednak do Waszyngtonu pielgrzymować będą tylko Niemcy politycy a my latami będziemy debatować nad „jednością” w Londynie — rozwiązanie tego problemu, który przesądzi o losach Europy środkowo-wschodniej — może wypaść nie zupełnie po linii naszych życzeń.

Traktowanie polityki sub specie „zwycięstw moralnych” sprawia, że choć w praktyce nie wiele możemy działać to na dobitkę nasza polityka składa się z samych „spraw zasadniczych” i imponderabilii. Polityka amerykańska ukształtowana jest odwrotnie. Ma olbrzymie możliwości działania i mało „spraw zasadniczych” i imponderabilii.

Tak zwane „sprawy zasadnicze” traktujemy nie jako zagadnienia polityczne tylko jako normy moralne co do których nie może być kompromisu. Jak się raz wyświęci dany problem polityczny do rangi „normy moralnej” to później nie można go ściągnąć z tego piedestału bez „utrąty twarzy”. Normy moralne nie podlegają dyskusji i operować nimi można jedynie w zgodzie z obowiązującym rytuałem. Nie możemy — powiedzmy dla przykładu — dyskutować kondominium polsko-ukraińskiego na Ziemi Czerwieńskiej, gdyż polskość tych ziem jest zagadnieniem w równej mierze nie podlegającym dyskusji jak norma, która postanawia, że w Wielki Piątek nie wolno jeść kiełbasy. Nie może być kompromisu w sprawie jedzenia kiełbasy w Wielki Piątek i nie może być kompromisu w sprawie Lwowa, gdyż w tych sprawach nie może być dwóch „racji”. Tylko jedna strona reprezentuje prawdę i słusność. Druga strona reprezentuje fałsz i zło. Ponieważ Ukraińcy są również politycznymi neurotykami i cierpią na kompleksy bardzo podobne do naszych, ich podejście do zagadnienia Ziemi Czerwieńskiej jest także „zasadnicze”. Istotą zagadnienia polsko-ukraińskiego nie jest problem graniczny lecz zagadnienie znacznie wyższego rzędu a mianowicie kapitulacja moralna. Wszelkie rozmowy trzeba by bowiem zacząć od stwierdzenia, że być może — strona przeciwna ma jednak kilka procent słusności. Jeżeli stanie się na stanowisku, że Ukraińcy mają 2 % racji — to trzeba w konsekwencji przyznać, że nasza prawda nie jest 100 % tylko 98 %, nie jest więc absolutna. Z tego płynie dalszy wniosek, iż musi upaść moralny dogmat, iż my reprezentujemy prawdę i słusność a Ukraińcy zło

i fałsz. To jest oczywiście dla Polaków nie do przyjęcia, gdyż nam chodzi przede wszystkim o „rzeczy wielkie” i co z tym idzie w parze o „zwycięstwa moralne”. Formą „zwycięstwa moralnego” jest protest i potępienie tych, którzy odważają się powątpiewać w 100 %, absolutną słuszność ustalonej „normy moralnej” w tym szczególnym wypadku dotyczącej polskości Ziemi Czerwieńskiej.

Istnieją neutraliści innej kategorii, którzy sądzą, że polityka St. Zjednoczonych zmierza tylko do jednego celu tj. do porozumienia z Sowietami. Są nawet tacy, którzy twierdzą, że między tymi dwoma potęgami nie ma istotnych różnic i że w końcu te dwa rywalizujące koncerny stworzą wspólny kartel amerykańsko-sowiecki, który będzie prowadził interesy firmy p.n. glob ziemski.

W londyńskich „Wiadomościach” (Nr 369) czytamy m. in. takie stwierdzenie: „Celem zarówno jednego jak i drugiego planu (tj. „containment” i „liberation” — przyp. mój) — nie jest wcale wyparcie Rosji z Europy środkowo-wschodniej lecz przyczynienie jej jak największej kłopotów, by umożliwić tą drogą dojście do porozumienia. Milcząco przyjmuje się z góry, że założeniem takiego porozumienia byłoby zachowanie przez Rosję jej zdobyczy, w zamian za wyrzeczenie się dalszego naporu na świat zachodni. Między „powstrzymaniem” a „wyzwoleniem” istnieje przeto tylko różnica słowna — czyli rzecz można semantyczna”.

Wprawdzie sekretarz stanu Dulles, główny budowniczy polityki „wyzwolenia” bezpośrednio po znanym przemówieniu prez. Eisenhowera na swej tygodniowej konferencji prasowej z naciskiem stwierdził, że nie może być żadnego układu z Sowietami na podstawie obecnego stanu rzeczy, który pozostawia setki milionów ludzi pod panowaniem Moskwy — ale cóż w końcu jest p. Dulles w porównaniu z Pandorą ze szpałt „Wiadomości”?

Co się kryje na dnie takiej postawy? Dlaczego w oczach pewnych polskich neutralistów Amerykanie nie są w stanie ani niczego rozsądnego zrobić ani nawet uczciwie proklamować słusznej zasady?

W tym wypadku — jak i w poprzednich — chodzi o problem moralny. Mimo, że nasi znakomici „specje” od spraw sowieckich zapewniali przed wojną, że nigdy nie dojdzie do paktu Moskwa-Berlin, mimo, że ci sami „specje” w czasie wojny zapewniali, że opór Rosji nie potrwa dłużej niż 6 tygodni, mimo, że po śmierci Stalina jeden z tychże „speców” zapewnił świat z łamów polskiej prasy londyńskiej, iż następcą zmarłego dyktatora będzie Mołotow — mimo to Polacy uważają się za jedyny naród świata, który posiadał pełnię absolutnej prawdy o Sowietach. Nasz pogląd na Sowiety jest normą moralną i być naszym sojusznikiem,

względnie zdobyć sobie nasze uznanie, można tylko za cenę przyjęcia bez zastrzeżeń naszego poglądu na Sowiety.

Sowiety są wielkim problemem moralnym ale nie tylko moralnym. Niewątpliwie jednak — jak może w żadnym innym zagadnieniu międzynarodowym — aspekt moralny w tej sprawie wysuwa się na czoło.

Jednak jak dotąd tylko pewni Amerykanie a nie Polacy starali się nadać zagadnieniu sowieckiemu charakter uniwersalnego problemu moralnego. Nasza wzniosła moralistyka w stosunku do Sowietów kończy się gładko na granicy polsko-sowieckiej z 1939 r.

Przed dwoma laty, Burnham w jednym ze swych artykułów wyraził zdziwienie, że Polacy nie zgłaszają się jako ochotnicy by walczyć przeciw komunizmowi na Korei. Wnioskował bowiem mylnie, że Polacy w wolnym świecie zagadnienie komunizmu uważają za moralny problem uniwersalny w imię którego gotowi będą walczyć bez względu na szerokość geograficzną. Nasza filozofia nie jest tak prosta — jak się wydawało Burnhamowi. Niemniej, jeżeli kiedykolwiek nadany zostanie problemowi sowieckiemu uniwersalny aspekt moralny — to stanie się to za sprawą Amerykanów wbrew opozycji ich zachodnio-europejskich sojuszników z Polakami włącznie.

Lecz powyższa kwestia moralna nie wyczerpuje sprawy. Na samym dnie istnieje głęboki konflikt pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a neutralistami zachodnio-europejskimi a wśród nich i polskimi. Neutraliści zainteresowani są przeszłością a nie przyszłością, nie mają żadnej wizji czy koncepcji i cała ich polityka sprowadza się albo do utrzymania „status quo”, albo — jak w wypadku polskim — do powrotu do „status quo”. Neutraliści słusznie oceniają, że między ich pragnieniami a tendencjami polityki amerykańskiej nie ma żadnych punktów stykowych. Stąd ich krytyczny, niechętny, pogardliwy stosunek do polityki amerykańskiej.

Inną grupę neutralistów stanowią intelektualiści, którzy uważają, że... „w nadchodzącym konflikcie zwycięży albo kultura jaskiniowa, kultura grobów nie skrzynkowych lecz katyńskich — albo kultura amerykańska. W tym i w tamtym wypadku będzie to kultura standardowa, obca nam, zmechanizowana, odpychająco trywialna”.

Przebywając od wielu lat w Anglii z zainteresowaniem śledzę wpływy kultury amerykańskiej na społeczeństwo angielskie. Wydaje mi się na podstawie moich obserwacji, że teza T.R. Fyvel'a („Commentary”, Vol. 14, Nr 6) iż wpływ kultury amerykańskiej jest najpotężniejszy w stosunku do mas robotniczych — jest słuszna. Słuszną jest również jego druga teza, że kultura amerykańska a w szczególności film i muzyka wypełniły pewną kulturalną próżnię.

Historia filmu angielskiego jest pasjonującym studium dla socjologa i marksologa. Trzeba podkreślić, że filmy angielskie są na ogół na wysokim poziomie. Lecz wytwórcy brytyjscy mają wielkie trudności z umieszczaniem filmów w kinach angielskich, których program roczny winien obejmować 25 % filmów brytyjskich. Właściciele kin angielskich nie chcą poświęcić nawet 25 % ogólnej liczby przedstawień produkcji brytyjskiej. Dlaczego? Okazuje się, że robotnicy brytyjscy, którzy stanowią przytłaczającą większość publiczności kinowej wolą filmy amerykańskie. Na wszystkim można oszczędzać dolary tylko nie na amerykańskich filmach.

Dlaczego filmy angielskie, które są niewątpliwie na nieporównanie wyższym poziomie niż przeciętne filmy Hollywood — nie wytrzymują konkurencji z produkcją amerykańską? Odpowiedź jest prosta i oczywista. Filmy angielskie są wytworem kultury „middle-class” i wskutek tego budzą oddźwięk w kołach kulturalnych „middle-class”. Filmy amerykańskie są wytworem kultury mas i budzą oddźwięk w masach.

Wystarczy otworzyć aparat radiowy by się przekonać o wymiarach inwazji muzyki amerykańskiej. Młodzi robotnicy pracujący w zakładach samochodowych, które niestety stanowią moje najbliższe sąsiedztwo — śpiewają z charakterystyczną amerykańską intonacją ostatnie filmowe przeboje. W sobotni wieczór nakładają na siebie kraciaste amerykańskie koszule i ubrania, które w sklepach na Elephant and Castle reklamują się jako „styl amerykański”. I tak oto wystrojeni na nowojorskich czy detroickich „flash-boys” idą do kina na amerykański film w towarzystwie dziewcząt, których jaskrawy „make-up” zdradza również wpływ zamorskich upodobań.

Intelektualiści drą szaty i pomstują na Coca-Cola, na amerykańską „mas-kulturę” i dopatrują się w tym wszystkim upadku... prastarej kultury europejskiej przez wielkie „K”.

Osobiście nie mogę się w tym procesie dopatrzeć żadnego upadku. Czy młodzi robotnicy z Elephant and Castle porzucili Szekspira dla „hollywoodzkich” dramatów z pogodnym i wzniosłym zakończeniem? Nie porzucili i nie zdradzili nikogo i niczego — są niewinni i zadowoleni.

Kultury europejskie a z nimi i kultura angielska są burzliwe w sensie „middle-class”. Komunizm starał się zawsze wykorzystywać dla swoich celów owo kulturalne „wyobcowanie” robotnika w jego własnym społeczeństwie. Wydaje mi się, że największą przeszkodą dla postępów komunizmu w świecie, a na Zachodzie w szczególności, stanowi fakt, że na peryferiach zachodniego świata na kontynencie amerykańskim powstała druga (poza sowiecką) kultura masowa. Wśród robotników angielskich kultura amerykańska budzi wielki oddźwięk. Antyamerykanizm w Anglii jest najsilniejszy na szczycie drabiny społecznej i topnieje z każdym szczeblem a w dołach w ogóle nie istnieje. Na to by komunizm mógł zmobilizować Anglię przeciw „im-

perialistycznej” Ameryce, wykres nastrojów antyamerykańskich w Anglii musiałby wyglądać odwrotnie.

W okresie imperialistycznym można było rządzić światem mając kulturę „middle-class” — kulturę ekskluzywnych szkół i zamkniętych klubów. Lecz dziś, by rządzić światem, trzeba dysponować kulturą masową bo tylko kultura masowa i bezklasowa ma szansę stania się kulturą światową.

Byłoby rzeczą interesującą znać marksistowską egzegezę powyższych faktów. Jak dialektyka tłumaczy zjawisko, że robotnicy angielscy tak uświadomieni politycznie i społecznie, którzy powinni wiedzieć co jest dla nich dobre — okazuje się, że nie wiedzą. Czy więc i brytyjska klasa robotnicza jest jeszcze wciąż małoletnia i nie wie co to jest „kultura mas”? Gdybym był marksistą ów brak „instynktu proletariackiego” u czołowej klasy robotniczej Zachodu uważałbym za objaw alarmujący. Robotnicy „amerykanizują się” niepomernie szybciej i chętniej niż się komunizują.

Panowie neutraliści, którzy wydymają pogardliwie wargi na masowe kultury — sowiecką i amerykańską — są dziś poza konkursem. Nie mają bowiem nic do zaoferowania prócz kultur „middle-class”, które choć poszczycić się mogą wspaniałymi osiągnięciami — nie umiały stać się powszechnymi. I choć intelektualnych bonzów mogą drażnić objawy amerykanizacji to niemniej fakt, że robotnicy brytyjscy lgną do masowej kultury amerykańskiej jest dowodem, że w tym referendum kultura mas : sowiecka czy amerykańska — kultura amerykańska jest górą. I to nie jest objaw upadku lecz nadziei trwania.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kreml na nowym etapie

Tuż po śmierci Stalina Malenkow piastował wszystkie urzędy zmarłego dyktatora i odnosiło się wrażenie, iż wraz z władzą przejmie w krótkim czasie i autorytet Stalina. Lecz już od połowy marca br. a raczej od 1 kwietnia nazwisko Malenkowa prawie przestało się pojawiać zarówno w prasie jak i w radio sowieckim. Fakt ten budził wiele komentarzy w publicystyce zachodniej i przypuszczeń, iż pozycja Malenkowa jest podminowana, co zresztą łączono z jego rezygnacją ze stanowiska pierwszego sekretarza C. K. Również obserwacje korespondentów i dyplomatów zachodnich w czasie uroczystości 1-go maja nasuwały wiele wątpliwości : wszystkie portrety członków Prezydium C.K. były *jednakowej* wielkości na tle wielkich podwójnych medalionów Lenina i Stalina.

W prasie sowieckiej obecnie częściej występuje nazwisko Woroszyłowa w związku z rozdziałem nagród w imieniu Rady Najwyższej. Często przypomina się Mołotow z okazji dyplomatycznych wizyt. Odnosi się wrażenie, że

miejsce jednolądzstwa Malenkowa zastąpił „zbiorowy Stalin” w postaci bądź triumwiratu pierwszych trzech członków Prezydium i rządu (Malenkow-Beria-Molotow), bądź trójki — trzech wyżej wymienionych plus Bułganin i Kaganowicz, lub dziesiątki — czyli całe Prezydium (do którego wchodzi również pierwszy sekretarz C. K. Partii — Chruszczew jako piąty członek tego najwyższego organu władzy politycznej).

Zanik propagandy na rzecz Malenkowa trudno tłumaczyć jedynie zagrozeniem jego pozycji, jako następcy Stalina, gdyż jednocześnie i o Stalinie mówi się w mniej podniosłych tonach a wypukła się konieczność kolegiąlnego decydowania o sprawach i prowadzi się walkę przeciw indywidualistycznym jednostkom, nieznoszącym krytyki ich pracy. „Prawda” z 15 kwietnia br. poświęciła temu zagadnieniu specjalny artykuł. Zresztą już na 19-tym Zjeździe Partii domagano się wzmoczenia krytyki niezależnie od zajmowanych stanowisk, potępiano ślepe posłuszeństwo i akcentowano jednóść dyscypliny dla szeregowców i kierowniczych sfer partii. Niektórzy z obserwatorów dopatrywali się już w uchwałach tego Zjazdu i w zmienionym statucie partii zapowiedzi wprowadzenia zasady kolegiąlności w pracy kierownictwa partii.

Jeszcze mniejszą wymowę posiada ustąpienie Malenkowa ze stanowiska pierwszego sekretarza partii, gdyż stanowisko sekretarza generalnego partii zostało skasowane a sam sekretariat utracił dawne znaczenie, jakie w swoim czasie nadał mu Stalin. Reasumując — ośrodkiem najwyższej władzy jest obecnie Prezydium, podobnie jak dawniej było Politbiuro. Jego ciałem wykonawczym w państwie jest rząd, zaś w partii sekretariat C.K.; jego posłusznym narzędziem „ustawodawczym” — Prezydium Rady Najwyższej, które kontroluje Worożyłow.

W całości obrazu uderza złączenie w jedno ciało Prezydium C. K. i rządu: wszyscy członkowie Prezydium zarazem są członkami rządu. Partia — Rząd, rząd — partia, oto co rządzi Sowieci i partią jako taką. W hierarchii tych dwóch braci syjamskich przeważa jednak tendencja wysycania na czoło partii i na drugie miejsce rządu.

Kolegiąlny charakter Prezydium, jako najwyższego organu władzy — z chwilą zniknięcia Stalina — jest ograniczony przez wewnętrzny, hierarchiczny układ wszystkich jego członków. Działa tu prawdopodobnie chęć niedopuszczenia do jałowych sporów i niekończących się, zasadniczych, typowo rosyjskich dyskusji, jak i podświadoma zapewne tradycja staro-moskiewskiego *miejscowości*. Ta dawna zasada ściśle przestrzeganej w życiu państwowym hierarchii rodów bojarskich tylko w chwilach wielkiej potrzeby bywała zawieszana bez ujmy dla tych, których ambicja chwilowo ucierpiała. Coś podobnego miało miejsce obecnie na Kremlu. Najwybitniejszy po Stalinie bolszewik Molotow — skutek „zużycia” czy też innych powodów zostaje przesunięty na trzecie miejsce i zastąpiony Malenkowem, którego „partia” albo raczej „zbiorowy Stalin” wysunął na „kandydata na dyktatora”. Na pewno jednak posunięciami „zbiorowego Stalina” kieruje jakaś głowa. Czy jest tą głową właśnie primus inter pares Malenkow, czy kto inny? Odpowiedź na to pytanie przyniesie przyszłość. Nie jest to jednak kwestia zbyt istotna.



Przystępując do drugiego zagadnienia — polityki zagranicznej — musimy na chwilę wrócić do podstawowych zagadnień atmosfery totalizmu i ekspansjonizmu, jaka panuje w Sowieciach w oparciu o prymitywizm cywilizacyjny elity komunistycznej i despotyczną tradycję moskiewską. Stopień tego napięcia ulegał zmianom w historii i często zanikał zupełnie na rzecz leniwego, obojętnego na wszystko odrętwienia a wówczas dorobek okresów zrywu rozkładał się i kurczył. Tak było po Iwanie Groźnym, który za swego jeszcze życia zniszczył „opryczninę”, po Piotrze i po Mikołaju Pierwszym. Przy wpływ i odpyły napięcia obserwujemy i w historii państwa sowieckiego. W tym świetle istotą problemu polityki zagranicznej Sowieciów streszcza się do pytania :

czy państwo sowieckie — baza rewolucji światowej — wpadnie w stan wielkiej „chandry” (spleen'u) zanim zdecyduje się na zalanie Europy, czy też po jej zniszczeniu? Czy chwila „ostatniego zdecydowanego boju” z „kapitałem” stanie się rzeczywistością, czy też dźwięczne to hasło przejdzie do la-musa historii, podobnie jak wiele innych niezrealizowanych wizji?

Nie ulega wątpliwości, że sowieckie niebezpieczeństwo, jakie zagraża światu, przerasta miarą wszystko znane w historii. Pochód nowego Napoleona przyniosłby tylko chwilową utratę niepodległości, zaś nowy Tamerlan wraz ze swymi hordami roztopiłby się kulturalnie w podbitym środowisku. Natomiast najazd komunistyczno-sowiecki bezlitośnie dąży do obalenia zachodniej cywilizacji i nie ma wiele nadziei, by komunizm został skutecznie zarażony ideologią zachodnią wobec duchowego kryzysu, w jakim jeszcze obecnie znajduje się Zachód.

Dopóki wulkan moskiewski jest czynny i grozi nieprzewidywanym wybuchem — niebezpieczeństwo komunistyczne wisi nad nami. *Regularne likwidacje i wewnętrzne przesilenia na Kremlu są właśnie świadectwem, iż daleko tam jeszcze do zapanowania stanu błogiej „chandry”*. Okres przypływu energii i ekspansywnego napięcia jeszcze trwa i nierealna jest wiara w szczeróść sowieckich gestów pokojowych. Ostatnia odpowiedź „Prawdy” (z 26 kwietnia br.) na mowę prezydenta Eisenhower'a (z 16 kwietnia br.) w istocie swej i intencjach była dobrą okazją, by pod osłoną kilku tylko frazesów o pokój dołać oliwy do ognia nieporozumień między członkami Paktu Atlantycznego i zahamować tempo zbrojeń na Zachodzie. Oba te cele Moskwa osiągnęła z tym większą łatwością, iż stosunki między członkami Paktu pogarszają się ostatnio, zaś wykonanie uchwał dozbrojeniowych napotyka na wielkie trudności. Rada Paktu Atlantycznego przyjęła zasadę tak zwanego „rozciągania” planów dozbrojenia. Według przyjętych w Lizbonie przed 14 miesiącami postanowień Europa zachodnia miała posiadać na 1 stycznia 1954 — 75 dywizji i 7.600 samolotów, natomiast według obecnych „rozciągniętych planów” będzie miała tylko 58 dywizji i 3.000 samolotów. Bomba atomowa w ten sposób stała się ultima ratio obrony Zachodu, podobnie jak była nią w okresie pełnego rozbrojenia w poprzednich latach.

Zachód za wszelką cenę stara się rozwikłać sporne kwestie z Moskwą w sposób pokojowy. Te ugodowe tendencje objawiają się w stałych wypowiedziach zachodnio-europejskich mężów stanu, jak i w nacisku Europy na Stany Zjednoczone, by poważnie brały pod rozwagę w swych planach ostatnie pokojowe gesty Sowieciów. Niezależnie od niechęci wplatania się w trzecią wojnę — ugodowość zachodniej Europy dyktowana jest względami ekonomicznymi: nadzieją na rozszerzenie handlu z blokiem sowieckim.

Tendencje Europy zachodniej do ograniczenia planów obronnych dyktowane są również dotychczasowym doświadczeniem i liczeniem się z faktem, że zimna wojna trwać może jeszcze przez 5, 10, a może i 20 lat. W tych warunkach wyrównanie potencjału obronnego do poziomu sowieckiego zagraża ekonomicznym podstawom Europy. Ustala się tam pogląd, iż należy osiągnąć pewien tylko plafon dozbrojeniowy i doskonalić potem posiadane elementy obrony.

Przyjęcie tej zasady nie byłoby pozbawione zdrowego sensu, gdyby nie poprzedziła je opinia Rady Paktu Atlantycznego, która na naradach zakończonych 25 kwietnia br. stwierdziła, iż w sytuacji światowej nie zaszyły żadne zasadnicze zmiany, świadczące o zaniku niebezpieczeństwa ze strony Sowieciów. Komunikat Rady Atlantycznej, ogłoszony 26 kwietnia br. wyraźnie podkreślał, iż uderzającym argumentem wiszącą nadal groźby jest rozwój sił wojennych bloku sowieckiego na obrzymią skalę, oraz popieranie przez Moskwę wojen agresywnych w kilku punktach świata. W międzyczasie prasa notowała powiększenie budżetów wojennych Polski (60%), Czech i Węgier.

W tej sytuacji taktyczny odwrót Sowieców staje się dla komunistów mniej ważny i ofensywa komunistycznych Chin i czerwonego Viet-Minhu przeciwko Laos, która rozpoczęła się 12 kwietnia br., wypłynęły jako logiczna konieczność. Podbój państewka Laos miał przed sobą duże perspektywy polityczne. Komuniści dążyli do wspólnej granicy Viet-Minhu i Chin komunistycznych z Syjammem, Burmą i Kambodżą i stworzenia nowego, dużego państwa, jednoczącego ludy mówiące językiem Tai. Państwo to obejmowałoby Laos, Syjam, północno-wschodnią Burmę oraz część chińskiej prowincji Junnan (z mniejszością ludów Tai), gdzie już powstał embrión przyszłego państwa w postaci autonomicznego obszaru Tai. Jak na razie ofensywa ta spotkała się z niepowodzeniem.

Z sowieckiego punktu widzenia, przemiany na Zachodzie po śmierci Stalina są bardzo korzystne. Silne zaakcentowanie rozbieżności między członkami Paktu Atlantyckiego oraz przyjęcie zasady zredukowania zbrojeń i utrzymywania ich w przyszłości na stosunkowo niskim, defensywnym poziomie przekonywują Sowiety, iż Zachód nie myśli o ofensywie ani w czasie najbliższym ani dalszym. Tego rodzaju zapewnienie pozwala Sowiecom przejść od nerwowej polityki szukania wyjścia z trudności okresu postalinowskiego do bardziej spokojnych i obliczonych na dłuższą metę przygotowań i akcji.

Włodzimierz BĄCZKOWSKI

14 maja 1953.

Kronika angielska

POLSKA „KOREA” W LONDYNIE

Obóz rządowy sformułował swoją opinię w sprawie zjednoczenia w dokumencie p.n. „Stanowisko w sprawie zjednoczenia obozu niepodległościowego”. Dokument podpisali przedstawiciele Ligi Niepodległości Polski, Niezależnej Grupy Społecznej, Stronnictwo Ludowe „Wolność”, Stronnictwo Pracy, Klub Ziemi Wschodnich i Związek Socjalistów Polskich.

W punkcie III powyższego dokumentu czytamy co następuje: „Prerogatywy Prezydenta R.P. będą wykonywane przy zastosowaniu praktyki konsultacji, w myśl oświadczenia Prezydenta R.P. Władysława Raczkiewicza z dn. 30 listopada 1939 r., i przyjętej przez niego uzupełniającej wykładni tego oświadczenia z 22 października 1940 r.”.

Jak wiemy, „wiekowy” spór pomiędzy obozem rządowym a Radą Polityczną dotyczył właśnie tej sprawy. Wydawać by się więc mogło, że wszystko co pozostało jeszcze do uzgodnienia to drobne zagadnienia natury proceduralnej i organizacyjnej.

Niestety tak nie jest. Emigrant widzi w zjednoczeniu same sprawy „zasadnicze” — zainteresowani politycy widzą w tym zagadnieniu przede wszystkim momenty praktyczne. Jest rzeczą charakterystyczną dla tej operacji, że bardzo znaczny procent polityków po obu stronach barykady — widzi w ewentualnym zjednoczeniu ryzyko pogorszenia sytuacji osobistej i sytuacji danego stronnictwa. I w wielu wypadkach tego rodzaju przewidywania są w pełni usprawiedliwione.

Gdyby gen. Sosnkowski mógł powiedzieć obu stronom, że przyszły rząd Jedności Narodowej otrzyma natychmiast pożyczkę w wysokości 30 milionów dolarów — co umożliwi wypłacanie stałych pensji nie tylko urzędnikom ale i członkom Rady Jedności Narodowej (czy Rady Rzpłitej) — perspektywy

zjednoczenia byłyby niepomierne jaśniejsze. Wówczas można by domagać się, by polityk X, który korzysta z zasiłku czy stypendium takiej czy innej instytucji amerykańskiej — zrzekł się owego stypendium w zamian za pensję, którą otrzymywałby jako członek Rady Jedności Narodowej czy Rady Rzpłitej — jak proponuje nazwać nową reprezentację obóz rządowy.

Lecz nie jest rzeczą pewną czy rząd Jedności Narodowej otrzyma w ogóle jakąkolwiek pożyczkę, natomiast jest całkowicie pewne, że nie otrzyma 30 czy 40 milionów.

Według opinii pewnych polityków obozu rządowego tylko wielka pożyczka mogłaby rozwiązać sprawę. W naszych warunkach mała pożyczka — według tych opinii — jest wprost niebezpieczna. Bo o co nam chodzi? Pragniemy by przyszły rząd i Rada Rzpłitej były niezależne. Pragniemy, by żaden z polityków nie korzystał z obcej pomocy pieniężnej. Pożyczkę zaciągnąłby rząd na podstawie specjalnych umów a Rada R.P. uchwalaby budżet pokrywany ze Skarbu Narodowego zasilonego pożyczką amerykańską. W ten sposób zapewnilibyśmy rządowi pełnię niezależności jaka jest do osiągnięcia w warunkach emigracyjnych.

A teraz wyobraźmy sobie (argumentują przeciwnicy „małej” pożyczki) — że powstał rząd Jedności Narodowej i otrzymał 400 tysięcy dolarów pożyczki od Amerykanów. Po kilkunastu miesiącach „zjednoczonej” aktywności pieniądze rozeszłyby się i wówczas trzeba by apelować o nową pożyczkę. Tym razem Waszyngton — być może wysunąłby pewne warunki i w rezultacie cała nasza polityka bardzo szybko przeszłaby w całości „na garnuszek” amerykański. Natomiast dziś — argumentują przeciwnicy „małej” pożyczki rząd jest wprawdzie niereprezentatywny i ubogi ale finansowo niezależny. Dziś gramy na dwa fortepiany. Jeżeli Rada Polityczna rozegra coś mylnie — jest niezależny rząd, który może uratować sytuację.

Jest jeszcze inny aspekt tego zagadnienia a mianowicie Skarb Narodowy. Zdaniem przeciwników „małej” pożyczki, gdy rząd raz wkroczy na drogę pobierania pożyczek od Amerykanów obywatel-emigrant przestanie płacić na Skarb N. w przeświadczeniu, że to nie jest już konieczne. Płaćnik pomyśli sobie wówczas, że tych kilka szylingów które płaci na Skarb Narodowy mają duże znaczenie w jego prywatnym budżecie a są bez znaczenia w budżecie rządu, który operuje łatwo zdobytymi setkami tysięcy dolarów.

Kwestia pieniężna wytworzyła bardzo poważny kryzys zaufania. Ci co nie korzystają z żadnej pomocy amerykańskiej skłonni są uważać, że każdy Polak, który dostaje z Free Europe 50 czy 100 £ miesięcznie współpracuje z wywiadem amerykańskim i „macza palce” w takiej czy innej robocie szpiegowskiej na Kraj. Ten kompleks wśród polityków obozu rządowego ma dziś charakter epidemiczny co nie ułatwia porozumienia. Z drugiej strony trzeba obiektywnie stwierdzić, że pewne „akcje na Kraj” przedsiębrane poza ramami polityki rządowej obfitują w szczególności, które budzić muszą jak najdalej idące i kategoryczne zastrzeżenia.

Dalszym elementem praktycznej natury są stronnictwa rozłamowe. Przywódcy tych stronnictw czy ugrupowań są najtrudniejsi do pogodzenia. Rozmawiając z przywódcami tych „bliźniaczych” stronnictw odnosi się wrażenie, że niektórzy z nich wycofają się w razie zjednoczenia i nie wezmą udziału ani w rządzie ani w Radzie R.P. W chwili gdy piszę te słowa rokowania pomiędzy rozłamowymi stronnictwami — w wielu wypadkach — utknęły na marwym punkcie. Doświadczenie uczy, że najtrudniej jest pogodzić przywódców dwóch sekt tego samego wyznania. Jeżeli jeszcze tak się złoży, że „biskup” jednej sekty pobiera stypendium z Free Europe a „biskup” drugiej sekty żyje skromnie na zasiłku „Assistance Board” — to wówczas szanse porozumienia są równe zeru. Ludzie biedni pocieszają się zawsze, że moralność i słuszność jest po ich stronie i wskutek tego są niechętni do kompromisowych rozwiązań. To jest czysto polska filozofia nie-

zrozumiała dla Anglosasów, którzy skłonni są mniemać, że człowiek wpada w biedę wyłącznie na skutek braku purytańskich cnót.

Separacja odłamowych stronnictw trwa tak długo i zaszła tak daleko, iż w wielu wypadkach na pojednanie jest już za późno. Spory „odłamowców” nie mają charakteru programowego. Nie chodzi o tezy ideologiczne lecz zawsze o osoby. W oskarżeniach podnoszonych przez jednych odłamowych przywódców przeciwko drugim powtarzają się zawsze zarzuty natury „zasadniczej” — jak współpraca z obcymi instytucjami politycznymi (z instytucją wywiadu łącznie), sprawy pieniężne itp. Trudno oczekiwać kompromisu w tego rodzaju sprawach.

Znakomita większość Polaków na emigracji nie należy do żadnej partii politycznej i wskutek tego nie rozumie trudności związanych ze zjednoczeniem. Nacisk opinii publicznej — patriotycznej i bezpartyjnej — jest dziś tak wielki, iż obawiać się należy, że nikt nie zechce wziąć na siebie odpowiedzialności za zerwanie rozmów zjednoczeniowych. W tych warunkach owe rozmowy toczyć się mogą miesiącami podobnie jak rokowania rozejmowe na Korei.

Dążymy do zjednoczenia totalnego ale być może w obecnych warunkach to jest program zbyt wygórowany. Czasem nie istnieje możliwość pogodzenia małżonków lecz jeżeli mediatorowi powiedzie się doprowadzić do tego, że obie strony godzą się skoordynować swe wysiłki w celu najlepszego zabezpieczenia interesu dzieci — jest to dużym praktycznym osiągnięciem. Polskiemu sentymentalizmowi lepiej odpowiada scena małżonków padających sobie w objęcia ze łzami w oczach — ale takie efekty nie zawsze są do osiągnięcia. Jeżeli do końca stać będziemy na stanowisku programu maksymalnego to istnieje niebezpieczeństwo, że realne tendencje ku zjednoczeniu i wzajemne ustępstwa zostaną zmarnowane ponieważ mediatorowi może się nie udać pogodzić pana X z panem Y z dwóch rozłamowych stronnictw. Inną przyczyną załamania się programu maksymalnego może być — jak poprzednio — osoba Prezydenta R.P.

Przeciętny Polak na emigracji wyobraża sobie „zjednoczenie” jako dziejowy akt, który nasi mężowie stanu podpisują wśród gromkich wiwatów zebranej publiczności. Nie wiem czy nasza matejkowska wyobraźnia jest atutem w takiej czysto kompromisowej robocie. Może byłoby mądrzej podejść do tej sprawy mniej po matejkowsku a bardziej po anglosasku.

Zjednoczenie jest próbą zmontowania nowego i pełniejszego zespołu politycznego. Zespół i „duch współpracy” nie rodzą się z uchwał tylko z praktyki. Dlatego sądząc, że jeżeli nie byłoby rzeczą możliwą osiągnięcie pełnego porozumienia należy dążyć do porozumienia częściowego. W gruncie rzeczy istnieje tylko jedno istotnie ważne zagadnienie to jest polityka zagraniczna. Gdyby powiodło się skoordynować wysiłki nasze w tej dziedzinie byłby to wielki krok naprzód. Wydaje mi się, że gen. Sosnkowski, który cieszy się zaufaniem obu stron — mógłby zaproponować jako krok wstępny utworzenie Komisji Koordynacyjnej Polityki Zagranicznej, której podlegałyby również sprawy krajowe. Komisja w której zasiadałoby przedstawiciele obu rad pod przewodnictwem gen. Sosnkowskiego jest projektem łatwiejszym do realizacji nie wymaga bowiem przebudowy instytucji politycznych ani scalania stronnictw rozłamowych. Ci sami przywódcy rozłamowych stronnictw, którzy częstokroć z wyraźną niechęcią mówią o zjednoczeniu przyklasnęliby temu projektowi, który nie naruszałby nieczyjzego „status quo”.

Komisja koordynacyjna byłaby próbą przetłumaczenia frazeologii zjednoczeniowej na język praktycznej polityki. Przekonalibyśmy się jak taki zespół pracuje i w jakim stopniu obie strony nadają się na partnerów rządu koalicyjnego. Być może po pewnym czasie Komisja stałaby się platformą realnego zjednoczenia o szerszym zakresie. Wówczas zjednoczenie byłoby

wynikiem współpracy i narastałoby powoli czeiściąc sens i żywotność z praktyki a nie z uchwał i deklaracji.

Publicysta może miotać gromy na prezesów stronnictw — bezpartyjni emigranci mogą uchylać rezolucje domagające się dziejowych aktów zjednoczeniowych ale praktyczny polityk musi lepić zespół z tej gliny jaka ma i choćby był geniuszem nie może wyjść poza ramy, które narzuca mu materiał ludzki i dana sytuacja. Dlatego wydaje mi się, że byłoby bezpieczniej podejść do zagadnienia zjednoczenia z programem minimalnym a nie maksymalnym i zamiast miesiącami uzgadniać stworzyć możliwość natychmiastowej współpracy w oparciu o „status quo”.

LONDYNŹYK

“ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO - LITERACKI
WYDAWCA: GRYF PUBLICATIONS LTD.
169/171, Battersea Church Road, London S.W.11.
Tel. BAttersea 0879

ADRES REDAKCJI: c/o R. PIESTRZYNSKI,
31 A, Dean Road — London S.W.2.

Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji, Włoszech, Argentynie, Kanadzie, Libanie, Pld. Afryce, Stanach Zjednoczonych.

● CENA EGZEMPLARZA:

WE FRANCJI: 40 franków fr. — W BELGII: 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● PRENUMERATA:

WE FRANCJI: miesięcznie 160 fr. fr.; kwartalnie 450 fr. fr.
W BELGII: miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-,
rocznie 45/-.

● PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:

WE FRANCJI: Libella, 12, rue St.-Louis-en-l'Île, — Paris-IV,
nr konta pocztowego: Paris CC 565.150.
W BELGII: J. Korab Brzozowska-Csaky, 132, Avenue Maréchal
Joffré, Bruxelles-Forest; nr konta pocztowego 7315.20.
W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej, Av. Leandro
N. Alem, 641, Buenos Aires
O G Ł O S Z E N I A : (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

KONTAKTE

MIESIĘCZNE SPRAWOZDANIA Z KONGRESU
WOLNOŚCI KULTURY W NIEMCZECH
Bezplatna wysyłka
Berlin-Zehlendorf, Schmarjestrasse 4

Książki

O książce Miłosza

Szkice, które Czesław Miłosz zebrał w książce pt. „Zniewolony Umysł”, uważam zarazem za dokument i za interpretację najwyższego rzędu. Niewola ducha w państwach totalitarnych, której my, Niemcy, w okresie hitleryzmu doświadczyliśmy zewnętrznie we frazesach, gestach i postępkach ówczesnego codziennego życia, a wewnątrz w obserwacji tego, co się działo w ludziach, pokazana tu jest na tle wydarzeń we wschodnich demokracjach ludowych, a zwłaszcza Polski, w sposób zaiste przejmujący — nas, Niemców, może bardziej niż narody Zachodu, bo znamy dobrze to, co tu oglądamy w polskiej odmianie.

Sytuacja, która przez tych, co używają alternatyw kłamstwa czy prawdy, zdrady czy oporu bywa ujmowana tak prostacko, uchwycona tu została w swoim konkretności. Co się dokonuje w ludziach kiedy są pod naciskiem stałej groźby zniszczenia, i zarazem kiedy działa na nich sugestia wiary w Dziejową Konieczność, tę konieczność co narzuca się wraz z triumfem rzekomo niezwyciężalnej potęgi — to Miłosz pokazuje w zdumiewającej różnorodności odmian. Zapoznajemy się naocznie z formami skrywania myśli, wewnętrznej przemiany, nagłych przełożeń w chwili nawrócenia, rozbicia człowieka na dwie osoby. Widzimy zarazem potworną konsekwencję i potworną mętność tego świata ujmowanego jako całość, tej rzeczywistości która człowiekowi Zachodu wydaje się czymś niemożliwym i którą z tego powodu tak trudno mu pojąć.

Widzimy jak w całkowicie nowych warunkach człowiek się zmienia — gdy musi żyć w nieufności każdego do wszystkich i wszystkich do każdego, we wzajemnym śledzeniu się, w bezlitosnej walce ludzi zamaskowanych, w odgrywaniu roli, z którą

wreszcie zrasta się nierozzerwalnie. Czy to jest nowy człowiek? Nie, to człowiek, którym każdym z nas mógłby się stać w takich warunkach. Co jest kłamstwem? Pytanie to otrzymuje inną odpowiedź, gdy nieuniknione kłamstwo tkwi u nas w samych podstawach egzystencji. To dziwne: czytelnik tej książki musi myśleć o sobie i wtedy jego pewność, że zawsze potrafiłby być wiernym swemu człowieczeństwu, staje pod znakiem zapytania.

Praca ta, opisując konkretne doświadczenia — choć bez wymieniania nazwisk — należy do rzędu książek, w których ci co zerwali ostatecznie z reżimem ich krajów odsłaniają ukryte jego aspekty. Kłopotliwość takiego demaskowania łagodzona jest już przez fakt, że wiedzy użyć nam może tylko ktoś, kto brał w tym wszystkim udział i analizując własne impulsy, zdolny jest pojąć co się tam w gruncie rzeczy dzieje. U Miłosza kłopotliwość ta maleje jeszcze bardziej dzięki postawie tego głęboko cierpiącego człowieka, którą wyczuwamy poprzez dyskrecję, jasność i kunsztowność obiektywnego opisu. Przemawia tu do nas człowiek, który, stawiając największy problem, znalazł dystans do świata i do samego siebie.

Miłosz nie pisze jak nawrócony komunista, nie spotyka się u niego śladu tego agresywnego fanatyzmu wolności, który w gestach, tonie i zachowaniu działa jak odwrócony totalizm. Nie pisze też jako opozycyjny emigrant, który w gruncie rzeczy myśli o przewrocie i powrocie. Przemawia jako człowiek wstrząśnięty, którego troska o sprawiedliwość, o nieskrzywną prawdę zmusza — poprzez analizę wydarzeń pod terrorem — do odsłaniania samego siebie. Dzięki niemu stajemy się ostrożniejsi w ocenie ludzi żyjących pod totalitarnym reżimem. Jednakże odwieczne przeciwieństwa dobra i zła, szlachetności i nickszemności, prawdy i fałszu pozostają u Miłosza wyczuwalne na dnie wszystkiego co pisze, jakkolwiek daleko im do wygodnych, zgrabnych formuł. W rzeczywistości tego świata terroru nabierają nawet te przeciwieństwa jakoby nowych barw. Jest to doznanie niesamowite.

Poznajemy Miłosza jako pisarza, dla którego oderwanie się od świata mowy ojczystej jest źródłem nieukozonej męki, nieustannym podawaniem w wątpliwość jego własnej istoty. W rozprawach tych zdarza się nam być świadkami rozmowy z samym sobą autora, który szuka gruntu pod nogami. Co się dzieje z człowiekiem, który został z tego gruntu wyrwany? Ten los jest dziś losem milionów ludzi. U Miłosza jednak nie chodzi o rzeczy najprostsze: wiemy, że bezpaństwowość oznacza dziś (w przeciwieństwie do czasów sprzed 1914 r.) wyjęcie spod prawa, że obywatel świata bez paszportu państwowego staje się w obliczu tego co mu grozi, mniej niż człowiekiem (pokazała to z brutalną oczywistością Hannah Arendt w swojej wspaniałej książce o totalizmie). U Miłosza chodzi o coś więcej. Nawet kto uzyska nowy paszport jest jak podcięty u korzeni. Czym staje się duchowo, moralnie, jako człowiek? Pytanie zostaje otwarte. Odpowiedzią naszej epoki będzie rozwiązanie praktyczne,

które stworzyć zdołają tacy ludzie jak Miłosz, ci reprezentanci powszechnego dzisiaj losu. Dzięki powadze swego doświadczenia ukazanego w jego całej nagości, pokażą oni, jeżeli zachowają jako obywatele świata swoją wolność ludzką, to co jest jeszcze możliwe.

Książka ta wreszcie godzi we współczesnego człowieka, cierpiącego (o ile to prawda) na pustkę wewnętrzną i chwytającego się wiary, która pociąga za sobą taki terror bezprawnego zniszczenia i z niewoli ducha czyni swoje narzędzie. Obok innych poważnych dzieł książka Miłosza jest solennym ostrzeżeniem przed tą wiarą, która w praktyce, jakże ironicznie, utwierdza się przez kłamstwo, prawdę przez kłamstwo sprawdzając i przyjmuje postać dialektyki, na żużel spalającej substancję człowieka.

Potworne realia, które już tylekroć przedstawiano, Miłosz dziwnie nam przybliży. Dochodzi tu do głosu serce, które drży na widok każdej rzeczywistości niszczącej ludzi, oko o wielkiej precyzji psychologicznej, poczucie sprawiedliwości niezdolne do wybiegów.

Karl JASPERS

Nowa antologia poezji

W roku 1940 w okupowanym wówczas przez wojska sowieckie Żabiem pracował jako stróż „polikliniki” pewien Polak, jeden z nielicznych w tej wielkiej wsi huculskiej. Oprócz żony Ukrainki gdzieś z Pokucia i pięcioletniego synka Sławcia posiadał on jeszcze nazwisko na ski, głębokie przekonanie o swej z tej przyczyny, wyższości nad „tubylcami”, oraz patefon. Nie wiem jakie miał inne płyty oprócz „Modlitwy” z Halki Moniuszki, w każdym razie przypominam sobie, że tę właśnie puszczał dla siebie i syna przykazując mu przy tym surowo : „Sławciu, stań na baczność, to jest narodowo-religijne !” I Sławcio wyciągał się jak struna.

To wspomnienie nasunęło mi się, gdy nową antologię poezji polskiej Ważyka i Kotta ¹⁾, wydaną przed blisko półtora rokiem porównywałem z antologiami, na których mnie wychowano w Polsce dwudziestolecia. Zarówno te antologie jak i starsze, wydane przed 1914, należały przeważnie do kategorii „narodowo-religijnych”. Kto z nas nie wchodził w kontakt z poezją pol-

1) Jan Kott-Adam Ważyk, *Wiersze które lubimy*, Czytelnik 1951, XV-316 stron, nakład 20.300 egzemplarzy.

ską przez znany utwór pt. „Kto ty jesteś? Polak mały !” A potem przychodziła kolej na inne osiągnięcia naszej poezji jak

*Młodzieży polska patrz na ten krzyż,
Legiony polskie dźwignęły go wzwyż,
Przechodząc góry, doliny i wały
Dla Ciebie, Polsko, i dla Twojej chwały.*

Albo jeszcze później, o ile kto dotarł tak wysoko :

*Ojczyzno nasza, Matko bolesna,
Spełniona czasza łez i bezkresna
Męka stuleci, która cię truła,
Nad Tobą świeci wolna kopuła...*

Antologii czysto poetyckiej zdaje się jeszcze w historii literatury polskiej nie było. Nawet antologie poezji Młodej Polski musiały zawierać przynajmniej nieuniknionego *Księdza Kleszczyńskiego* :

*Książę! Fortuna się nie łąsi,
Zdradzą Francuzi. Zdradzą Sasi,
Ty byłeś tylko Polski synem :
Sprzysięgłeś się z Korsykaninem itd.*

Najbardziej jeszcze zbliżała się do wyboru poetyckiego antologia Grydzewskiego wydana w Londynie w 1946, ale i w tej utworów „narodowo-religijnych” nie brakuje, zarówno w XIX wieku (*Grzmią pod Stoczkiem armaty, Błyszczą białe rabaty*), jak i w poezji współczesnej, gdzie plenią się one nader bujnie dochodząc do takich wyżyn jak :

*Kwatera główna — oto treść
Meldunku : „Kapitanie !
Zwycięstwo ! Piękny był wasz szturm !
Spełniście zadanie !”*

Po roku 1945 zastąpiono w Polsce podejście „narodowo-religijne” podejściem „narodowo-ludowym” (nawet rady gminne były „Narodowe”) a raczej „narodowo-społecznym”. Zaczęto przypominać „wielkie tradycje demokratyczne” literatury polskiej. Jak każdy przewrót tak i ta rewizja utartych pojęć w krytyce i historii literatury miała swoje dobre strony. Odkryto przede wszystkim na nowo, lub przypomniano jedynie szerszej publiczności, szereg utworów, które w dwudziestolecu znali tylko specjaliści. Dzięki temu prądowi przewartościowywania szersze nieco koła zapoznaly się z takim nowoodkrytym poetą XIX wieku jak Józef Dunin-Borkowski, z fraszką mieszczańską i poezją so-wizdrzalską XVII wieku czy też z poezją ariańską i z problemem tak zwanych krypto-arian i poezji krypto-ariańskiej. Co praw-

da, problem poety, który wyrzeka się oficjalnie swojej wiary po to, by móc zostać w ojczyźnie i przemycić potem tę wiarę w poezji, jest dziś może łatwiejszy do zrozumienia niż przed rokiem 1939 czy może nawet przed 1945.

Każda nowa antologia o tyle jest usprawiedliwiona, o ile daje czytelnikowi coś nowego. Tytuł *Wiersze które lubimy* można było pojąć dwojako: my mogło oznaczać wszystkich czytelników, a więc wiersze, które lubimy, mogły być wierszami, które wszyscy lubią i... znają. Kott i Ważyk wybrali drugą możliwość: wiersze które oni sami lubią, a które przeważnie są mało znane. Jest naturalne, że akcent położony został na stronę „narodowo-społeczną” (Narodowo, a jakże! Mamy nawet „Sztandary polskie na Kremlu”!). Ale prawdziwą niespodzianką jest tu zwłaszcza poezja „socjalna” XVII wieku, to znaczy Potocki. Dlaczego w szkole wkuwano w nas nudną piłę, *Wojnę Chocimską*, a nie pokazywano nam takich rzeczy jak:

*Spi świat pijany winem, zamrużywszy oczy;
Nalerwa babilońska swacha, czart go toczy.
Spi świat równien martwemu, opiwszy się, drzewu,
Winem z prasy bożego na swe grzechy gniewu...*

albo też równie mocnego wiersza *Zbytki polskie*

*O czymże Polska myśli i we dnie, i w nocy?
Zeby sześć zaprzęgano koni do karocy;
.....
Zeby po stołach w cukrze piramidy stały
I winem z suchych groznów wspienione kryształły.
.....
Zeby w drodze karety, w domu drzwi barwiani
Strzegli z zapalonymi lontami dragani;
O tym szlachta, panowie, o tym myślą księża,
Choć się co rok w granicach swych ojczyzna zwięża;
Choć na borg umierają żołnierze niepłatni,
Choć na oczy widzą jej peryjod ostatni.
Ze te wszystkie ich pompy, wszystkie ich splendece
Pogasną jako w wodzie utopione świece.*

Oczywiście wszyscy znamy sielankową poezję Szymonowicza (Słoneczko, piękne oko itd), choć może nie każdy pamięta niekonicznie sielankowe zakończenie:

*Babęć, boś tego godzien, babęć naraimy,
Babę o czterech zębach, miło będzie na cię
Patrzyć, gdy przy niej siedzisz jako w majestacie.
A ona cię nadobnie będzie całowała:
Jakoby cię też żaba chropawa lizała.*

Tak samo pamięta się jeszcze bardziej sentymentalnego Zimorowicza. Ale kto zna wiersz Potockiego o rozkoszach życia szlacheckiego i nędzy życia chłopskiego, kończący się:

*Gdyby mi jeszcze niebo chłop wyrobił potem,
Wykupiłbym się z rajy jako z galer — złotem.*

Oczywiście w poezji wieku XVII ta „social conscience” uderza nas bardziej niż u Krasickiego czy u Węgierskiego:

*Owóż straż gdzieś chwyciła złodzieja i wiedzie;
Za bagatel nieborak będzie obwieszony.
A tego znasz, co oto w tej karecie jedzie?
Jeszcze go nie wieszają, choć skradł milijony.
(Spacer nocny po Warszawie)*

albo równie nieoczekiwany Lenartowicz:

— Powiadała stara Nastka,
Ze chłop sobie w domku kmiecym
Jak u Boga żył za piecem;
Czy to także przypowiadka?
— Gnerowali, jak gnerują,
Biedowali jak biedują.

— Rozповідаł ojciec stary,
Ze był naród jednej wiary...
Pomagala noga nodze...
Ani zwady ani krzyku,
A grosz zawdy był w kieszeni
Od jesieni do jesieni.
— Szczera bajka, mój kuliku.

Wiele miejsca zajmuje również satyra, mniej lub więcej socjalna, od wyżej cytowanego Szymonowicza, poprzez Zabłockiego inwektywę na kasztelana Jezierskiego:

*Hola, błaznie! ta ręka, Bóg moja nadzieja,
Skoro nie twoja, zatem nie ręka złodzieja,
Wkrótce ci taki, błaznie, nagrobek napisze:
„Jak żyłem, tak umieram, jak kradłem, tak wiszę”.*

poprzez anonimowy *Nadgrobek kmiotka* z końca XVIII wieku:

*Pamięć jego nazwiska zginęła zapewnie.
Gdyby był, jako pan, kradł, wisiałby na drzewnie.*

Niewątpliwie do poezji „narodowo-religijnej” w nowym sensie należy *Barykada Tetmajera*, której też jakoś nie uczyli nas w szkole (i nic dziwnego, skoro jej refrenem jest „Nasz sztan-

dar buja ponad trony" itd.), ale wiersz ten chyba trafił do antologii przez przeoczenie, jako że opisuje atak wojska na barykadę, umożliwiony przez Żołnierza-Mongola „o twarzy żółtej z okiem kosem”, a kończy się tym, że ów Mongoł zrozumiał, że zwycięski generał jest tym samym, który ujarzmił jego kraj, „wypalił wodzowi w sam łeb”. Niestety, nie znalazł się w antologii analogiczny wiersz Norwida, o wiele lepszy i zwięźlejszy (Tetmajer ma przeszło 3 strony druku) „Ty! prawd promienie wzięwszy za sztylety, Śmiesz jeszcze mniemać, żeś wódz — żeś generał!”, a kończący się

*Wrogi!... do nogi broń!... kto jeszcze człowiek
A bryłę lodu na kosi!... i hurra!...*

Nie znam osobiście pp. Ważyka i Kotta, miałem okazję słyszeć ich tylko raz w życiu, jakieś trzy lata temu, gdy przed gronem młodych artystów, głównie plastyków, bronili z zawziętością godną lepszej sprawy tzw. realizmu socjalistycznego, podając przy tym jako ideał do naśladowania przez malarzy polskich Matejkę! Trzeba przyznać, że najbardziej się na ten „realizm” wówczas oburzali młodzi malarze lewicowi. Malarze ci okazali się zresztą w następstwie tej dyskusji „trockistami”, nic więc dziwnego, że woleli pozostać w Paryżu. Pp. Ważyka i Kotta trudno więc posądzać o jakiegokolwiek uchylenie od linii czy o jakiś nacjonalizm lub, zachowaj Boże, imperializm czy federalizm. A jednak tak się dziwnie składa, że wielka ilość utworów w antologii związana jest tematycznie z krajem, którego związki z Polską są dziś w Polsce tabu, to jest z Ukrainą. Nie mówię już o Szymonowiczu itd., to epoka zamierzchna niemal, ale oto *Dumka Mazepy* Bohdana Zaleskiego (w uwagach uważano za przezorne nie wyjaśniać kto zaczął i że to ów Mazepa co „zdradził Cara”). A oto Siemieński o języku tak przesyconym ukrajinizacjami, oto *Dumka od Ukrainy* Olizarowskiego (poświęcona B. Zaleskiemu)

*Oj, wyleciał słowiczenko
Z Ukrainy młodej;
Oj, zaleciał daleczenko,
Za ziemię, za wody.*

*Ani wieści, ani słyhu,
Jak jemu w czużynie...?
Duma, kwili gdzieś po cichu,
Śni o Ukrainie.*

Oto Barszczewski przyznający się, że urodził się na Ukrainie (co prawda jest też i Książnin, o typowo polskim nazwisku, który stwierdza: Tuszył mieć ze mnie od tamtego czasu Witebsk poetę), oto wiersz Prusinowskiego o Kozaku, oto Rodoc.

Wiersz „narodowo-religijny” nie koniecznie musi być poezją. Ale nie koniecznie nią być nie musi. Wystarczy ostatecznie, aby wiersz napisany był przez dobrego poetę. Antologia zawiera obok znanego wszystkim antologiom *Bema pamięci rapsodu* również Norwida *Spartakus* a także wiersz *Do obywatela Johna Browna*, kończący się

*Więc nim kapelusz na twarz ci załamią,
By Ameryka, odpoznawszy syna,
Nie zakrzyknęła na gwiazd swych dwanaście:
„Korony mojej sztuczne ognie zgaście,
Noc idzie, czarna noc z twarzą Murzyna!”
Więc nim Kościuszki cieni i Waszyngtona
Zadrzy — początek pieśni przyjm, o Janie!*

*Bo pieśń nim dojrzy, człowiek nieraz skona,
A niżli skona pieśń, naród pierw wstanie.*

Książka zaopatrzona jest niezmiernie oryginalną, „narodowo-religijną” w każdym calu, przedmowę pióra Ważyka. Dowiadujemy się z niej, że „dzisiaj, w czasach triumfu socjalistycznej gospodarki rolnej, ze szczególną satysfakcją czytamy, jak poeta polski ubiegłego wieku z rozmiłowaniem opisuje szczepienie drzew owocowych i przepowiada sadzenie lasów”. Ani na chwilę nie wątpię w szczerłość tego entuzjazmu hortykulturalnego p. Ważyka. Dowiadujemy się też z przedmowy, że „te dwa zharmonizowane ze sobą w poezji Kochanowskiego odkrycia (tj. odkrycie ziemskiej przyrody i ziemskich uczuć) zadają podwójny cios światopoglądowi teologicznemu”. Przechodząc do czasów nowszych p. Ważyk oświadcza: „Nie chcemy zdzierać czarnej pieczęci, aby oglądać lęki, rozpacz, stylizacje poezji symbolicznej i neoromantycznej, która miała u nas przebieg szczególnie przykry”. Nic dziwnego, że jedynym przedstawicielem obecnie żyjących poetów w antologii jest Staff, a ze współczesnych są tylko Kasproicz, Niemojewski, Ostrowska, Or-Ot, Tetmajer, Wyspiański (2 wiersze), Miciński. Razem ze Staffem 30 stron. Chodit' bywajet slizko, Po kameszkam inym, I tak o tom czto blisko My łuczsze umolczim.

Intrygujące jest również, że wstęp nie wspomina niemal o tym co ostatecznie decyduje o wartości poezji, to jest o walorach poetyckich. Nie znaczy to bynajmniej, by antologia Ważyka i Kotta była tylko zbiorem wierszowanych poprzedników dzisiejszej poezji z łamów *Nowej Kultury* i *Życia Literackiego* (zgodnie z hasłem Ważyka w przedmowie: „naród, który wydał taką poezję, potrafi wydać wielką poezję socjalistyczną”).

Jeżeli główną zaletą nowej antologii jest pokazać czytelnikowi nowe niezbrane utwory i poetów, to antologia Ważyka i Kotta dobrze spełnia swoje zadanie. Pokazuje nam zarówno poetów, o których nigdy przeciętny śmiertelnik nie słyszał, jak i niezbrane, zapomniane lub świadomie przemilczane utwory.

A i czytelników, nielicznych być może, którzy czytają poezję dla jej zawartości poetyckiej, chyba antologia nie zawiedzie. Poczynając od Kochanowskiego :

*Ukaż złoty włos powiewny, ukaż swe oczy
Gwiazdom równe, które prędkie krąg nieba toczy.
I rękę alabastrową, w której zamknięte
Serce moje !*

albo też bardziej znane :

*...troski nieuśpione
Prędkim wiatrom podają za Morze Czerwone.*

Zimorowicza :

*Patrzaj, jak ogniem niebieskim dotknięte
Przemijają się śniegi w rzeki wrone...*

Klasyczną *pièce d'anthologie* jest Sępa Szarzyńskiego :

*I nie miłować ciężko, i miłować
Nędzna pociecha...*

Wbijają się w pamięć strofy Morsztyna (Andrzeja) :

*Już słońce padło, już horyzont ciemny,
Już płucze Febe ocean podziemny.
Już ptak spoczywa, szum ustał, już głuchym
Las się dębowym odzywa posłuchem.*

a także Zbigniewa :

*...póki morskie szklane
Marmury pełne ryb, a żyzne kraje
Sprawuje rolnik; póki się różane
Zapalać będą zorze; póki wiatry
Zbijać się będą o wysokie Tatry.*

albo też zupełnie nieoczekiwany błysk poezji u Aleksandra Chodźki :

*„Dobry dzień — powie — Nanno !
Dobry dzień wam, rycerze !”
„Dobry dzień, piękna Panno !”
Wam złoto, spichlerze,
I mółków, i panny,
Lecz Panna dla Nanny !*

albo też ten Lenartowicz, który każe myśleć o Norwidzie :

*A w źródku paciorki kropelka czerwona,
Jak główka od szpilki...
To iza zasuszona biednego Murzyna,
Plantator gdy smaga.*

Samo nagromadzenie poetycko lub egzotycznie brzmiących słów jest nieraz poezją, wiedział o tym Milton, Mallarmé albo Słowacki. Zdarza się to jednak także i innym poetom, i to najzupełniej niespodziewanym :

*I tyrolskie jabłonie, auzońskie orzechy,
Kanadyjskie topole, bzu perskiego krzaki,
I wirginijskie ciernie, i chińskie sumaki... (Kozmian !)*

Ale trudno dalej ciągnąć ten wybór z antologii. Szukanie pereł czy też — by użyć przenośni kulinarnej — rodzynek w cieście jest niewątpliwie pasjonujące. Lecz w ten sposób stworzylibyśmy już zupełnie nową antologię, w której wiersze dobierane byłyby według całkiem znów innego klucza, klucza ładunku poetyckiego. Jesteśmy w położeniu o tyle szczęśliwszym od młodych czytelników poezji w Polsce, że znamy i antologię sprzed 1914 i te z dwudziestolecia i wreszcie antologię Ważyka i Kotta. Wszystkie razem dają one dopiero obraz jeśli nie kompletny to w każdym razie wielostronny. A zbieranie pereł trzeba chyba odłożyć na czasy bardziej temu sprzyjające.

Andrzej VINCENZ

Świadectwo amb. Laroche'a

Wspomnienia ministerialne lub ambasadorskie mają zazwyczaj jako cel główny apologię własnej osoby. Książka Ambasadora Laroche'a jest pod tym, i wieloma innymi względami, zaszczytnym wyjątkiem. Nie dla własnej pisał ją chwały, ani też dla wyrównania rachunków ze swoimi przeciwnikami. Chciał po prostu służyć Historii, i dlatego też to uczciwe, zwięzłe i bogate w treść sprawozdanie z dziewięcioletniej działalności autora na posterunku Ambasady Francuskiej w Warszawie urosło do poziomu źródła historycznego, bez którego nie będą się mogli obejść przyszli badacze stosunków polsko-francuskich.

Niewiele pozostało tych źródeł. Katastrofy wojenne spustoszyły zarówno polskie jak i francuskie archiwa. Pozostały więc głównie wspomnienia tych co brali udział w polityce pomiędzy

dwiema wojnami światowymi, i na nich przyszli badacze będą musieli oprzeć swe prace. Zrozumiałą więc jest rzeczą, że pojawienie się każdego szczerzego, uczciwego i możliwie bezstronnego dokumentu źródłowego witane jest radośnie przez wszystkich ludzi interesujących się najnowszą historią Polski.

Do tego rodzaju dokumentów należy książka Ambasadora Laroche'a, tak samo jak *Journal* Jana Szembeka, zawierający tyle dokumentów ilustrujących postawę dyplomatów polskich i obcych wobec czołowych zagadnień tego bogatego okresu międzywojennego.

Wyczerpujące sprawozdanie o książce Ambasadora Laroche'a objęłoby co najmniej tom równej objętości, do tego stopnia poruszone przez autora sprawy sięgają najgłębszych złóż dyplomacji polskiej omawianego okresu. Chciałbym więc w tym krótkim artykule poruszyć tylko kilka punktów najważniejszych, a przede wszystkim sprawę tzw. zbliżenia polsko-niemieckiego, która zatrąfa Ambasadorowi Laroche'owi ostatnie lata jego, skądinąd przyjemnego w Polsce, pobytu.

Polityka polsko-niemiecka, zainaugurowana przez Becka, z całkowitą zresztą aprobatą jej treści jeśli nie metod przez Marszałka Piłsudskiego, nie doczekała się jeszcze należytego historycznego opracowania. W chwili kiedy dość hałaśliwie wkroczyła na scenę europejską nie zrozumiał jej nikt, ani wśród wrogów ani wśród przyjaciół. Sojusznicza Francja została zaskoczona, a Francuzi z wrodzoną zdolnością do logicznego myślenia powiedzieli sobie, że to przecież jest niemożliwe, aby porozumienie z Hitlerem ograniczało się do tego, co jest napisane w Deklaracji polsko-niemieckiej. Stąd nieustanne podejrzenia, że jest coś więcej, że istnieją tajne dodatki do Deklaracji, nieogłoszone umowy w poszczególnych kwestiach: Austria, Czechosłowacja a głównie Rosja Sowiecka. Francuzi, którzy mają zmysł historyczny, nie zapomnieli o tym, że jest zjawisko zwane: „le renversement des alliances” i Deklaracji polsko-niemieckiej przypisywali właśnie znaczenie takiego „renversement”. Zapewnienia, iż „porozumienie” polsko-niemieckie nie zawiera nic co by wykraczało poza ogłoszony tekst Deklaracji a zwłaszcza nic co by sprzeciwiało się sojuszowi z Francją, Paryż przyjmował z dużą dozą sceptycyzmu. Ani Quai d'Orsay, ani czołowi publicyści francuscy nie potrafili uwolnić się od podejrzeń, że jednak istnieje jakieś tajne porozumienie pomiędzy Hitlerem a Beckiem, które w stosownym momencie wyjdzie na wierzch. Inaczej cała ta nowa polityka wydawała im się nonsensem.

Umysłem francuskim sprawa ta wydawała się tym bardziej podejrzana, że wkrótce po tym zacieśnieniu stosunków polsko-niemieckich nastąpiło wyraźne rozluźnienie stosunków polsko-francuskich. Nastąpił okres szykan, zadrażeń, ciągłych incydentów, które w gruncie rzeczy z wielką polityką nie wiele miały wspólnego, ale które wyglądały *tak jak gdyby były one tej nowej polityki następstwem*. A że w tym samym czasie katastrofalnie osłabło działanie dyplomacji polskiej, to codzienne działa-

nie fachowców, których zadaniem jest tłumaczyć, oświecać, uspokajając ciągle powstające zadrażnienia, łatwo zrozumieć dlaczego atmosfera polsko-francuska stała się pogarszała.

Nie będę wchodził w szczegóły tego smutnego tematu. Wystarczy zacytować jeden fakt: na kilka lat przed wojną mianowano w Ambasadzie Rzplitej w Paryżu attaché wojskowego nie mówiącego po francusku. W chwili największego napięcia stosunków międzynarodowych, kiedy na gwałt trzeba było zacieśnić stosunki pomiędzy armiami sojuszniczymi, reprezentant wojska polskiego, nie mówiąc po francusku, skazany był na zupełną izolację. Czy to głupota czy sabotaż, oto pytanie które Francuzi musieli sobie postawić. A że na świecie nie docenia się ogromnej roli głupoty w polityce międzynarodowej, czynniki francuskie powiedziały sobie: „sabotaż”. Beck, potajemnie sprzyjający z Hitlerem, sabotuje stosunki sojusznicze polsko-francuskie, dla jakichś swoich dalekosiężnych celów politycznych, o których nikt nic bliższego nie mógł powiedzieć, ale których istnienie wydawało się wszystkim prawdą nie do obalenia.

Nie należy przypuszczać, że to przekonanie o istnieniu tajnych związków pomiędzy Hitlerem a Beckiem utrwaliło się tylko w Europie Zachodniej. Przekonanie to dzieliło wielu ludzi w Polsce, nawet wśród wysokich urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wiosną 1939 roku byłem w Warszawie i jak zwykle dużo rozmawiałem z moimi kolegami z Ministerstwa. Nie zapomnę nigdy zdumienia, które mnie ogarnęło, kiedy mój rozmówca, naczelnik jednego z ważniejszych Wydziałów MSZ, powiedział mi, że, jego zdaniem, istnieje tajny układ Beck-Hitler, mocą którego Polska w stosownym momencie zostanie wciągnięta do akcji niemieckiej przeciwko Rosji. „Inaczej cała ta polityka nie ma sensu”, powiedział ten wysoki urzędnik z Wierzbowej.

A jednak żadnego tajnego porozumienia między Beckiem a Hitlerem nie było, tak samo jak nie było w ogóle żadnego prawdziwego porozumienia polsko-niemieckiego. Była polityka pozorów, polityka polowań, wizyt, mów, polityka, która ze strony Niemiec polegała na świadomym czekaniu — Hitlerowi potrzebna była kilka lat na uzbrojenie — a ze strony Becka na jakichś nieokreślonych nadziejach, że uda się utrzymać równowagę pomiędzy Rosją a Niemcami, na przekonaniu, że Austriak Hitler, nie zarażony podobno pruską do Polski nienawiścią, pogodzi się z istnieniem niezależnego państwa polskiego, stojącego na linii marszu do Rosji.

Wielką zasługą Ambasadora Laroche'a jest, że nie dał się wziąć na lep łatwych i sensacyjnych tłumaczeń. Jego wnikliwy umysł od razu się zorientował, że trudności sojuszu polsko-francuskiego wynikały nie z „germanofilizmu” Becka ale z przyczyn bardziej obiektywnych i łatwiej uchwytnych.

Analiza tych trudności i przyczyn, które je wywołały, nie da się zmieścić w ramach artykułu, ale pisząc o książce Ambasadora Laroche'a, należy stwierdzić, że jedną z tych przyczyn i to

najważniejszą, autor, w końcowych zdaniach swego dzieła, bardzo jasno uchwycił.

« Le nœud des relations franco-polonaises, c'est en somme et surtout la question du désarmement qui aboutit au réarmement de l'Allemagne et à la rentrée en scène de la Russie. Une action résolue de la France pour stopper les exigences du Reich eût-elle détourné le Maréchal Piłsudski de son illusoire tentative de rapprochement avec Hitler ? Il se peut 1) ».

W tym właśnie tkwi sedno rzeczy i tutaj mogę wzbogacić dokumentację Ambasadora Laroche'a szczegółem dodatkowym, który wydaje mi się nie pozbawiony znaczenia.

Prawdą jest, że zbrojenia niemieckie górowały w świadomości Marszałka nad wszystkimi innymi problemami. Nie dopuścić do uzbrojenia Niemiec, to był, w jego mniemaniu, główny nakaz chwili. Ustępstwa bowiem w tej sprawie pociągały za sobą groźne niebezpieczeństwo nie tylko dla Polski. A w pakty i w aparat Ligi Narodów Marszałek Piłsudski nie bardzo wierzył.

Nie będę tu rozważał, czy ten sceptycyzm był całkowicie usprawiedliwiony. Chodzi o ustalenie faktów, gdyż tylko ich dokładna znajomość może wyjaśnić przebieg wizyty ministra Barthou w Warszawie.

Ambasador Laroche stwierdził w swoich wspomnieniach, że sprawa rozbrojenia była wysunięta podczas rozmowy w Belwederze.

« On en vint à la question du désarmement » — pisze p. Laroche. — « Il (Piłsudski) laissa apparaître la crainte que notre attitude de fermeté ne fût pas définitive. Barthou combattit cette impression. Piłsudski — ce détail ne figura pas dans le compte rendu que je fis sur l'instruction de Barthou pour le Quai d'Orsay — se mit à rire et, frappant familièrement sur le genou de son interlocuteur, lui dit : Non, non, croyez moi, vous céderez, vous céderez, et alors, moi, qu'est-ce que je peux faire ? Et il fit comprendre que c'était la raison de son accord avec l'Allemagne » 2).

Że Marszałek Piłsudski był tak pewny, że Francja ustąpi, nie jest żadną zagadką. Był pewny, albowiem uprzednio zasięgnął informacji. Mogę o tym mówić z całkowitą pewnością, gdyż byłem właśnie tym dyplomatą polskim, któremu Marszałek po-

1) „Sednem stosunków polsko-francuskich jest więc ostatecznie i przede wszystkim sprawa rozbrojenia, która doprowadziła do ponownego uzbrojenia Niemiec i wejścia na scenę Rosji. Czy zdecydowana akcja Francji zmierzająca do zahamowania roszczeń Reichu przekonałaby Marszałka Piłsudskiego o iluzoryczności jego próby zbliżenia z Hitlerem ? To możliwe”.

2) „Dochodzimy znowu do kwestii rozbrojenia — pisze Laroche — Piłsudski wyjawiał obawę, że nasza stanowcza postawa nie jest ostateczna. Barthou zwalczał to wrażenie. Piłsudski — ten szczegół nie znajdował się w sprawozdaniu moim, które sporządziłem na polecenie Barthou dla Quai d'Orsay — roześmiał się i klepiąc familiarnie po kolanie swego rozmówcę powiedział mu : Nie, nie, proszę mi wierzyć, wy ustąpicie, ustąpicie i wobec tego, cóż mi pozostaje do zrobienia ? Następnie dał do zrozumienia, że to był powód jego ugody z Niemcami”.

lecił przeprowadzenie tej decydującej w stosunkach polsko-francuskich rozmowy.

Instrukcje, które otrzymałem w tym względzie, głosiły, że polecenie przeprowadzenia tej rozmowy z Barthou pochodzi od samego Marszałka. W polskiej praktyce dyplomatycznej był to wypadek bardzo rzadki i zawsze oznaczał, że sprawa ma dla polityki rządu znaczenie zasadnicze i decydujące.

Rozmowa z Barthou miała przebieg następujący :

„Otrzymałem od Marszałka Piłsudskiego osobiście instrukcję przeprowadzenia z Panem, Panie Prezydencie, niniejszej rozmowy, w trakcie której mam Panu postawić następujące pytanie : Wie Pan doskonale, że Niemcy zaczęli się zbroić. Wie Pan również, że za jakieś dwa trzy lata Niemcy będą największą potęgą militarną na kontynencie europejskim. Otóż Marszałek Piłsudski pragnąłby wiedzieć co Francja zamierza uczynić, aby tej sytuacji zaradzić”.

Prezydent Barthou odpowiedział mi dosłownie : „Francja wie, że Niemcy się zbroją, ale Francja nie użyje siły, aby tym zbrojeniom przeszkodzić. Natomiast Francja zbrojeń niemieckich nie zalegalizuje”.

Nie mogłem się powstrzymać, aby nie powiedzieć p. Barthou, chociaż to nie figurowało w moich instrukcjach, że „w Warszawie uważają, iż armaty nielegalne strzelają nie gorzej od armat legalnych”.

Barthou się uśmiechnął, pochwalił dowcip, ale sytuacja od tego się nie zmieniła.

Zastanówmy się teraz nad wrażeniem, które mój szyfr sprawozdawczy musiał wywołać. Marszałek Piłsudski nie był prawnikiem i legalizacja lub nielegalizacja zbrojeń niemieckich wydawała mu się rzeczą dość obojętną. Do Ligi Narodów też nie miał zaufania, czemu zresztą trudno się dziwić. Z mego telegramu dowiedział się, że Francja nie użyje siły, aby uniemożliwić kontynuację zbrojeń niemieckich. To mu wystarczało. Że Francja nie ustąpi pod względem prawnym wydawało mu się rzeczą bez znaczenia. W swej wyobraźni widział już potężne wojska niemieckie, zagrażające zarówno granicom polskim jak i francuskim. Trudno się więc dziwić, że Marszałek Piłsudski na wszystkie zapewnienia Barthou o nieustępliwości francuskiej odpowiadał cytowanym przez Ambasadora Laroche'a „Vous cederez, vous cederez”.

Nie należę do admiratorów polityki Józefa Becka, i nieraz wyrażałem się o niej, zarówno w słowie jak i w piśmie, z surowością, którą wielu z moich kolegów uważało za zbyt bezwzględna. Opinia moje o tak zwanej „mocarstwowej i niezależnej” polityce Becka się nie zmieniła. Uważam ją w dalszym ciągu za katastrofalną, ale odpowiedzialność za tę politykę nie może być rzucona tylko na jedną stronę. Odpowiedzialność ta jest podzielona.

Przekonawszy się, że nawet tak wybitny, tradycjami wielkiej polityki francuskiej przepojony, mąż stanu jak Barthou nie

użyje siły, żeby przeszkodzić zbrojeniom niemieckim, Marszałek Piłsudski *stracił część swego zaufania do skuteczności sojuszu francuskiego, do jego skuteczności jako środka zaradczego przeciwko wybuchowi wojny*, i dlatego zdecydował się na próbę zbliżenia z Niemcami.

Lekarstwo okazało się gorsze od choroby. Wprowadziło bowiem zupełną dezorientację do polityki zagranicznej polskiej, utrudniając szczerzy i przyjazny kontakt z sojusznikiem francuskim, który w miarę zbliżania się wojny stawał się coraz potrzebniejszy.

Odręczenie stosunków polsko-niemieckich nie było samo w sobie rzeczą złą. Przeciwnie leżało ono w interesie zarówno Polski jak i Francji, i dobra dyplomacja przeprowadzałaby tę politykę nie wbrew Francji a w ścisłym z nią porozumieniu. Niestety ten „tour de valse” odtądźony został przez dyplomację Becka z rzadką nawet w naszych czasach niezdarnością.

Tym niemniej fakt pozostaje faktem: odpowiedzialność za kryzys w sojuszu polsko-francuskim nie powinien obciążać tylko polskiego konta. Czas najwyższy, aby uczciwa i niezależna analiza polityki polsko-francuskiej została przeprowadzona z należytych rozstawieniem wszystkich światła i wszystkich cieniów. Pisarz, który się podejmie tego zadania, będzie musiał się oprzeć między innymi i na książce Ambasadora Laroche'a, nacechowanej tak rzadką w literaturze politycznej głęboką bezstronnością, subtelną wnikliwością i niezwykłym umiarem w osądzaniu ludzi i wypadków.

Anatol MUEHLSTEIN

Can Russia survive?

Książka F. B. Czarnomskiego o Rosji pt. „Can Russia survive”? jest, pod wieloma względami, pożytecznym studium rzeczywistości sowieckiej i budzić zaczyna wątpliwości dopiero wówczas, gdy w ostatnich ustępach przestaje być studium a zaczyna być mętną publicystyką i niepomierne naiwnym „wishful-thinking”.

Autor jako generalne lekarstwo na problem sowiecki, wysuwa projekt utworzenia „wolnego rządu rosyjskiego” na emigracji. Kto ma utworzyć ten rząd tego autor nie mówi. „Free Europe”, Pentagon, brytyjski Foreign Office?... P. Czarnomski podkreśla jedynie, że zaden z reakcyjnych emigrantów marzących o przywróceniu w Rosji przed-rewolucyjnych stosunków — nie mógłby wejść do takiego rządu. Autor sądzi natomiast, że wśród emigrantów rosyjskich najświeższej daty jest

wielu demokratycznie nastrojonych, świetnie wykształconych a nawet znakomitych (brilliant) osobistości, którym można by powierzyć utworzenie „uczciwego, wydajnego, szacunku godnego rządu”. Ów wolny rząd winien być wyposażony w obfite środki finansowe. Niezależnie od tego, p. Czarnomski jest głęboko przekonany, że apel wolnego rządu rosyjskiego spotkałby się z tak olbrzymim oddźwiękiem w Ameryce, w Anglii, ba, nawet w dominiach brytyjskich, że w szybkim czasie rząd taki zebrałby miliony w dolarach i w funtach. (Jaka szkoda, że „wolny rząd polski” na nic podobnego nie może liczyć!).

Bezpośrednią konsekwencją wolnościowo-charytatywno-propagandowej akcji owego „Free Russian Government” (w oparciu o te miliony dolarów i funtów) — byłoby szybkie wycofanie się Rosji z okupowanych terenów. Sowiety nie miałyby bowiem innego wyboru z powodu masowych dezercji na Zachód...

No, Sir, it isn't as simple as that!

LONDYŃCZYK.

Notaki wydawnicze

Dlaczego tradycyjna szopka Bożego Narodzenia przedstawiana jest w formie jaskini, kiedy św. Łukasz wspomina tylko o stajni? Skąd bierze się nad złobkiem osioł i wół, których na próżno byśmy szukali w ewangeliach? Skąd wiemy, że rodzice Matki Boskiej mieli na imię Joachim i Anna? Skąd na drzwiach polskich chat litery K.M.B., kiedy ewangeliści nie wspominają o imionach trzech Króli (i jeszcze — skąd „trzej Królowie”, skoro św. Maciej mówi tylko o „mędrcach”? Skąd bierze się ogłoszony dwa lata temu dogmat Wniebowstąpienia Matki Boskiej, skoro w ewangeliach nie ma śladu tej tradycji?

Odpowiedź na te wszystkie pytania dają „Apokryfy”. Teksty te, jak „protoewangelia Jakuba”, ewangelia św. Piotra”, ewangelia pseudo-Mateusza”, są pismami pierwszych wieków chrześcijaństwa, których Kościół nie włączył do Kanonu Pisma Świętego, ustalonego w ostatecznej formie w IV wieku. Do tego czasu różnie oceniali Ojcowie Kościoła skład Pisma: i tak np. Apokalipsa św. Jana odrzucana jest przez większość wschodnich kościołów aż do IV wieku, podczas gdy apokryficzny „Pasterz Hermasa”, mglisty tekst mistyczny, stanowi przedmiot szczególnego kultu pierwszych chrześcijan w okresie przesładowań. Pasjonującą antologię apokryficznych ewangelii zebrał F. Amiot, profesor seminarium paryskiego St. Sulpice (*Evangelies Apocryphes*, Librairie Arthème Fayard, Paris, 1952). Przedmowę (która sama stanowi esej błyszczący erudycją i przepelniony poetyką czułością do tych ciekawych tekstów) napisał Daniel Rops, jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy katolickich, autor najlepszej może książki o życiu Chrystusa (*Jésus en son Temps*, Fayard, Paris, 1945-46).

Apokryfy cieszą się od dawna smutną „oficjalną” sławą. Św. Hieronim nazywa je „chorobliwymi snami”. Renan „ordynarnymi i dziecinnymi amplifikacjami”, niezgodnymi zestawienia z „arcydziałami Marka, Łukasza, Macieja”. A przecież cała sztuka chrześcijańska, średniowieczne legendy, a nawet liturgia pełnymi rękami czerpały z tej skarbnicy, w której jest co najmniej

tyłek poezji i piękna co naiwności i wykrzywienia doktryny. Zresztą, jeżeli Kościół odrzuca Apokryfy jako pisma fałszywe, przyznaje jednocześnie, że zawierają one często ślady owej Tradycji, która na równi z Pismem Św. stanowi podbudowę wiary.

Oto na przykład kilka wątków dotyczących dzieciństwa Jezusa; z „ewangelii Pseudo-Tomasza” i z „Księgi Ormiańskiej Dzieciństwa”, które dadzą pewne wyobrażenie o tonie apokryfów: Jezus lepi z gliny ptaszki, które zaraz ulatują żywe (źródło polskiej legendy ludowej); Jezus zamienia w barany dzieci, które go drażnią; ręka nauczyciela który go chce uderzyć usycha; Jezus każe sklonić się koronie drzewa i zabiera grono dzieci na powietrzną przejażdżkę; Jezus uczy Św. Józefa stolarki...

◆
Czy rozkwit sekt, przesądów, powodzenie magów i astrologów, rozwój submistycznej flory towarzyszy zawsze cywilizacjom schyłkowym (jak twierdzą chociażby Spengler i Toynbee), czy też, słowami Roberta Kanterasa, „pierwszym odruchem ateizmu niefilozoficznego jest odwrócenie się od Boga, drugim — oddanie się magom, jasnowidzom, wróżbom” — jedno jest pewne, a mianowicie że ostatnie stulecie może rywalizować w tej dziedzinie z późnym cesarstwem rzymskim. Maurice Colinon poświęca swą książkę *Faux Prophètes et Sectes d'Aujourd'hui* (Plon, Paris, 1953) współczesnym czarownikom i ich praktykom, oraz prorokom i sektom, które kwitną dziś na świecie. Książka Colinon, do której przedmowę dał również Daniel Rops, posiada „Imprimatur” paryskiej archidiecezji i napisana jest z punktu widzenia katolickiego. Głównym jej akcentem jest zdziwienie, że ludzie przechodzą koło prawdziwej wiary i oddają się ekscentrycznym kościołom w których widzimy, słowami Chestertona, „chrześcijańskie cnoty w stanie szaleństwa”.

Spirytyzm, Kaodaizm, teozofia, „antonizm”, „Christian Science”, adwentyzm, Świadkowie Jehowy, Mormoni, Kwakrzy — autor daje nam krótką historię ruchu, skrót wierzeń i zarys działalności. Często zresztą zmuszony jest do wyrażenia zdziwionego szacunku dla czystości motywów i zapału „braci”. Jednym z najciekawszych dla nas jest rozdział o Świadkach Jehowy, którzy w świecie komunistycznym mają już sporą martyrologię i przypominają nieco sektę przepowiedzianą przez Koestlera w jego apokaliptycznej wizji przyszłego świata — stawiającą czoło komunistycznym tyranom przez samokaleczenie i samobójstwo.

Krytykując astrologię, jasnowidzów, spirytyzm, Colinon wychodzi z zasad ścisłego racjonalizmu, które mogą dziwić u wyznawcy religii objawionej. Jak mówi Daniel Rops w przedmowie, warto by się zastanowić czy pewna tendencja „racjonalistyczna”, z którą tradycyjne kościoły chrześcijańskie starają się uzasadnić swe doktryny nie sprzyja właśnie rozwojowi tych sekt dających swobodniejsze ujęcie wiecznemu irracjonalizmowi człowieka.

◆
U Plona ukazał się drugi tom *Cahiers Simone Weil*. Jest to dalszy ciąg integralnego wydania tych notatek w których zapisywała ona co wieczór esencje duchowej i umysłowej przygody, jaką przynosił jej każdy dzień życia. Bogactwo i nasilenie myśli, siła z jaką przemawia to bezustanne poszukiwanie absolutu sprawia, że te krótkie hermetyczne zapiski mają napięcie przy którym błędna „wielkie umysły” naszych czasów. Jakże mdły wydaje się „Journal” Gide'a z powtarzającym się w nieskończoność czytaniem Hardy'ego czy Mereditha, z „gorzej dzisiaj niż wczoraj” zagranym nokturnem Szopena i z zażytą przed spoczynkiem aspiryną...

◆
Nieliczni są pisarze mający odwagę pokazać czytelnikowi jasno, szczerze i bez ogródek jak bardzo są „antypatyczni”. Gdyż można opiewać zło, ścia-

gać na siebie nienawiść, a jednak zachować „piękną rolę” i spoglądać w lustro z upodobaniem. Sade, Byron, Genet — w różnym stopniu odrzuceni przez świat — dążą ku przemienieniu zła w poezję i cieszą się blaskiem własnej wizji: główną ich pasją jest duma. Wydaje się, że łatwiej jest opiewać okrucieństwo, morderstwo, zdradę, niż odsłonić własną zawiść, snobizm, skąpstwo, małostkowość. Ze łatwiej przyznać się do zgwałcenia pięknej dziewczyny, niż do samogwałtu w krótkiej koszulince. Bernard Frank należy do tej kategorii pisarzy ekshibicjonistów co Céline czy Maurice Sachs, którzy gorączkowo odsłaniają w sobie cechy wywołujące odrazę bardziej niż nienawiść. Grają tu rolę różne psychologiczne motywy: wielka próżność (stać mnie na to, żeby pokazać jakim jestem naprawdę); pewna forma mazochizmu; pogarda dla innych (nikt z was nie jest więcej wart ode mnie, tylko się okłamujecie). Reakcja czytelnika, oczywiście o ile auto-analiza jest naprawdę głęboka i wyjątkowa (a przez to wzbogaca naszą wizję świata i człowieka), bywa złożona. Z autorem zawarliśmy znajomość osobistą i nie możemy go „lubić” (tak jak spokojnie „lubimy” nadal przyjaciół i pisarzy, którzy te same cechy w sobie kryją). Ale jednak odczuwamy szacunek dla odwagi i inteligencji których wymaga podobny stosunek do samego siebie.

Bernard Frank jest dwudziestokilkuletnim pisarzem i publicystą którego niezwykła inteligencja i wielka kultura zwróciły uwagę Gide'a, Mauriac'a, Sartre'a w tym powojennym okresie w którym tworzył się nowy wyraz Francji. Kolejno zbliżał się do komunistów, do Malraux, ostatnio współpracuje z „Temps Modernes”, będąc jednocześnie poniekąd „wewnętrznym wrogiem” w obozie Sartre'a. Jego *Géographie Universelle* (La Table Ronde, Paris 1953) jest rodzajem poetyckiej autobiografii, której założenie przypomina nam „Trans-Atlantyk” Gombrowicza. Frank mówi o Anglii, Belgii czy Niemczech, ale terenem jego podróży jest jego własna psychika, a skojarzenia historyczne czy geograficzne są jedynie dowolnym przewodnikiem. Powstaje rodzaj intrygującego „auto-Bedekera”, w którym fakty i wydarzenia prawdziwe stapiają się w jedno z poetycką wyobraźnią. Podobnie jak w ludzkim życiu, nie ma granicy pomiędzy faktem i fikcją.

Frank ani na chwilę nie zapomina, że jest Żydem i trudno dociec czy ta zaostrzona świadomość „odrębności” jest źródłem jego mazochizmu, czy też wrodzony mazochizm skłania go ku „antysemickiej” wizji świata. Intelktualista anty-intelktualny, snob antyrystokratyczny, rewolucjonista antykomunistyczny, tyran antyfaszystowski, pasożyt antyburżuazyjny, Frank pogardza wszystkimi, a zwłaszcza „ludźmi dobrej woli”. Mimo okrucieństwa autoanalizy pozostaje jednak wątpliwość czy nie zachował pewnej ostatniej dozy szacunku, którą rezerwuje dla samego siebie. *Géographie Universelle* jest nie tylko dokumentem epoki, ale rzadkim połączeniem inteligencji i poezji.

◆
Nowojorski Ośrodek Studiów Środkowoeuropejskich wydał krótką bibliografię w języku angielskim głównych dzieł XX wieku dotyczących Europy środkowo-wschodniej.

Mid Europe, a selective bibliography (National Committee for a Free Europe Inc., New York, 1953) w opracowaniu Jiriny Sztachowej, zawiera 1693 pozycje (w tym 122 książki o Polsce). Bibliografia poświęcona Polsce zawiera szereg luk (nie jest chociażby wymieniona książka gen. Andersa), a zawiera pozycje mało istotne, o słabej wartości dokumentacyjnej, jak plotkarską książkę Virgilia Sapiężyny.

Przegląd miesięczników

Majowy numer *Preuves* otwiera artykuł Raymond Arona, stanowiący interesującą zachodnio-europejską przeciwagę artykułu Mieroszewskiego pt. „Pytanie brzmi — jak?” z ostatniego numeru „Kultury”. „Burnham i Polityka Wyzwolenia” jest wstępem Arona do książki Burnhama, która ukaże się wkrótce we francuskim tłumaczeniu u Calmann-Lévy pt.: „L'Alternative : Contenir ou libérer”. Czytając długi, głęboko przemyślany wywód Arona — bodaj najbardziej inteligentnego zachodniego publicysty — trudno się oprzeć wrażeniu, że bez tego wstępu książka Burnhama byłaby nie do przelknięcia dla francuskiego czytelnika. Aron zaczyna od uspakajania zastraszonego neutralisty, stwierdzając że nie ma powodu do oskarżenia Burnhama o „prowokację” czy o mimowolne dostarczanie broni propagandzie komunistycznej. Burnham pierwszy usiłuje odpowiedzieć na nieprzyjemne pytanie : czy można zwyciężyć pozostając w postawie defensywnej ? Ale — twierdzi Aron — krytyka Burnhama nie jest całkowicie przekonująca : przecież w zasadzie teza utrzymania wolnych połączeń świata jest słuszna, zgadza się z nią sam Burnham — spór toczy się bardziej o metodę niż o samo meritum sprawy. Oto co pisze Aron o stanowisku Burnhama wobec Europy środkowo-wschodniej :

„Nie myślę żeby podstawienie sloganu „wyzwolenia” pod slogan „containmentu” miało zaznaczyć zasadniczą zmianę w kolejach zimnej wojny, ani aby dojście do władzy republikanów, ożywionych odmiennym od demokratów duchem miało być początkiem nowego rozdziału w dyplomacji amerykańskiej.

„Republikanie wcale nie są zdecydowani na posunięcia — jedyne zarazem symboliczne i realistyczne — które zaleca Burnham : wycofanie uznania rządom satelickim i utworzenie ochotniczych legionów. Osobiście uważałbym pierwsze z tych posunięć za błędne — lepiej nie zamykać rządzącej elicie krajów satelickich drogi, którą przebył Tito — drugie zaś za rozsądne. Ograniczone wojny które imperium sowieckie narzuca Zachodowi mogłyby być staczone częściowo przez te legiony, co by wywołało psychologiczny rozgłos, który by może zniechęcił Moskwę do wznowiania lub przedłużania tych wojen prowadzonych poprzez podstawionych satelitów”.

A oto, słowami Arona, stanowisko Europejczyków wobec konfliktu :

„Europejczycy mają powody do niechęci wobec teoretyka „wyzwolenia”: wojna totalna by ich nie oszczędziła, jakkolwiek by miał być jej wynik ostateczny. Ale instynkt samozachowawczy nie jest jedynym powodem tego półneutralizmu. Nie chodzi tu — jak twierdzi Burnham — o zachowanie pewnej autonomii dzięki równowadze dwóch olbrzymów. Gdyby imperium sowieckie runęło, Europa odzyskałaby razem z jednością perspektywę przyszłego rozwoju. Nie — chodzi tu o głębszą przyczynę europejskiej ostrożności : pomiędzy takimi koncentracjami siły, wojna totalna byłaby rujnująca dla wszystkich. Nie ma innego wyjścia z konfliktu pomiędzy komunizmem i zachodem jak wojna totalna, ale wojna totalna przyniosłaby zbyt wiele trupów i ruin, aby mogło się opłacić nawet zwycięstwo. Nie można przeciąć konfliktu — należy go zużyć. Bez żadnych iluzji — wybuch nie jest wykluczony i musi na długą metę nadejść o ile komunizm nie straci swej ostrej formy — stawiamy na niewiadomą czasu.

„Strusia polityka czy mądrość ? Nie możemy na to odpowiedzieć. Jesteśmy świadomi tego, że będzie się nam może wyrzucać że tkwiąc w bezruchu pozwoliliśmy przeciwnikowi wybrać właściwą chwilę i że akumulowany zapas masowych środków zniszczenia zapewni napastnikowi błyskawiczne zwycięstwo, czy też doprowadzi do całkowitego zniszczenia obu stron. Widzimy to niebezpieczeństwo i przyjmujemy ryzyko, które jest w nim zawarte.

„Istnieją okoliczności, w których zdanie się na łaskę bogów, po wypełnieniu swego obowiązku, jest jedynym stanowiskiem, nie bohaterskim, ale rozsądnym. Ale nie wypełnia się swego obowiązku zdając zbyt wiele na łaskę bogów”.

Ten sam numer *Preuves* przynosi analizę zmian, które zaszły w Rosji Sowieckiej i ich perspektyw w dwóch artykułach — Aleksandra Weissberg-Cybulskiego (znanego czytelnikom „Wiadomości”) i Franz Borkenaua. *Preuves* omawia również wyniki ankiety przeprowadzonej wśród polskiej emigracji przez „Kulturę”.

Twentieth Century kontynuuje w majowym numerze analizę enigmaty Kremla. Sebastian Haffner w artykule pt. „Znaczenie Malenkowa” przedstawia „optymistyczny” punkt widzenia : sukcesja Lenina przerwała się i nowy carat może, zrzuciwszy ostatnie ślady starego bolszewizmu, stać się nowym autochtonicznym wyrazem potęgi rosyjskiej. Haffner (członek redakcji „Observera”) propaguje w swym artykule w nieco zmienionej formie tezę, którą ukuł E.H. Carr : komunizm przyjął się jedynie w nieuprzemysłowanej części świata („głębocy” komentatorzy zachodni często traktują komunizm jako rodzaj wielkiej firmy mającej za zadanie uprzemysłowanie Azji i wschodniej Europy); poza tym komunizm mógł zapuścić korzenie tylko tam gdzie zawsze kwitł despotyzm („warto się zastanowić nad tym, że dzisiejsze państwa komunistyczne obejmują tereny monarchii absolutnych sprzed stu lat : Chin, Rosji, Prus i cesarstwa habsburskiego”). Teza ta, z gruntu fałszywa i szkodliwa, będzie zapewne obecnie przeżywać nowy rozkwit wobec fali „appeasementu”.

W kwietniu ukazał się drugi numer *Diogenes*, międzynarodowego kwartalnika wydawanego przez Międzynarodową Radę Filozofii i Nauk Humanistycznych pod egidą UNESCO. Redakcja stawia sobie za zadanie publikację syntetycznych artykułów z dziedziny wszystkich nauk, które dotyczą człowieka, w oderwaniu od aktualności. Problemy przedstawiane są z pominięciem technicznych szczegółów, mogących interesować jedynie specjalistę i formułowane są tak, aby zainteresować kulturalnego czytelnika, otworzyć mu perspektywy na możliwości zawarte w danej hipotezie, w danym studium czy danym odkryciu.

I tak Colin Clark, jeden z najwybitniejszych brytyjskich ekonomistów, dawniej profesor w Cambridge, obecnie zatrudniony jako ekspert przez rząd australijski, rozwija w artykule pt. „Przyszłość Proletariatu” gospodarcze konsekwencje pewnych tez Toynbee'go (o proletariacie zewnętrznym i wewnętrznym). Zdaniem Clarka, który zawsze w oparciu o etykę katolicką, postawił już niejedną rewolucyjną tezę ekonomiczną, współczesne społeczeństwo może doprowadzić do „deproletaryzacji” zarówno tej grupy robotników nazwanych przez marksistów „proletariatem”, jak upośledzonych i spóźnionych kulturalnie społeczeństw. Kluczem do „deproletaryzacji” jest, zdaniem Clarka, „rozproszenie” polityczne (decentralizacja władzy), geograficzne (emigracja na wielką skalę) i gospodarcze (rozbieżność scentralizowane-

god przemysłu). Jest to oczywiście stare marzenie anarchisty, ale Clark przedstawia je tu z punktu widzenia tradycyjnej kultury i ze znajomością sedna sprawy (możliwości gospodarczych, przynajmniej teoretycznych) właściwą uczonemu.

W tym samym numerze Paul Rivet reasumuje współczesne dociekania na temat pochodzenia człowieka; Lionello Venturi zestawia architektoniczną koncepcję malarstwa Piero della Francesca, G. Seurat i Juan Gris; Heinrich Fichtenau pisze o narodzinach średniowiecznego cesarstwa. Najciekawszym może działem „Diogenes” jest krytyka książek (tym bardziej, że w pierwszych numerach omawiane są rewelacyjne książki naukowe, które ukazały się na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat). W dziale tym współpracowniczką „Kultury” Jeanne Hersch poświęca piękny artykuł pracy Jaspersa od czasu wojny.

Prasa krajowa często reprodukuje „postępowe” karykatury zachodnie (starając się zwalczać władzę satyry). Historii postępowej karykatury i satyry poświęca się obszerne studia. Na honorowym miejscu figurują tam zawsze karykatury świetnego niemieckiego satyryka lewicowego George Grosza. *Der Monat* przynosi w majowym numerze obszerny ustęp z pamiętnika Grosza, dotyczący jego jazdy do Rosji w 1922 r. Grosz, fetowany przez Lenina, Radka, Lunaczarskiego, opuszcza Rosję głęboko rozczarowany: „Nie można ani moich myśli, ani obrazów które legną się w mojej głowie zamknąć do obozu koncentracyjnego...” Oto — lepsze od wszelkich studiów na ten temat — wytłumaczenie dlaczego nie może dziś być w Polsce satyry.

Stosunek do Niemiec jest jedną z kwestii do których każda z emigracji narodowych środkowo europejskich ma swoje podejście. Warto tu zanotować miesięcznik rumuński *Bruecke zum Westen*, organ związku wolnych Rumunów w Niemczech i Niemców wysiedlonych z Rumunii (Niemców siedmiogrodzkich). *Bruecke zum Westen* wydawane jest przez gen. Jon Gheorghe (Aschau-Chiemgau, Weidackwies 100). Miesięcznik zawiera artykuły przeważnie polityczne i obszerne wyciągi z prasy rumuńskiej emigracyjnej i krajowej.

(j)

W nowojorskim organie białoruskiego towarzystwa naukowego *Veda* ukazało się 14-stronicowe omówienie książki F. Czernyszewicza „Nabereżnicy” pt. Tragedia nieświadomości. Autor, dr Januczona, zastrzega się na wstępie, że omówi nie stronę literacką książki, ale wyłącznie „odbite w niej życie miejscowe”. Jednakże recenzja poświęcona jest w przeważnej mierze problemowi braku świadomości narodowej wśród Białorusinów XIX i początku XX w. Autor zadaje sobie również pytanie, dlaczego szlachta białoruska, zwłaszcza katolicka, czuła się Polakami, mimo iż nieraz mówiła w domu po białorusku. Trudno oczywiście sądzić nie znając bliżej problemu, ale wydaje się, że wyjaśnienie proponowane przez autora jest nieco uproszczone: świadomość białoruska istniała do upadku państwa białoruskiego (tj. przyłączenia W. Księstwa Litewskiego do Rosji za rozbiorów), poczem zanikła ponieważ Rosjanie zakazali kościoł unicki i język białoruski, wobec czego część Białorusinów przyłączywszy się do kościoła rzymsko-katolickiego stała się Polakami. Zdaniem autora polskie wpływy na Białoruś miały otwartą drogę od 1815 roku dzięki zniesieniu granicy, no i dlatego że Polska

stała wówczas wyżej kulturalnie od Białorusi, bo „została przyłączona do Rosji 20 lat później”. W rzeczywistości wpływy polskie datują się od XVI-XVII w., kiedy kultura polska stała rzeczywiście wysoko i coś reprezentowała. Ale w 1815-tym?

Problem podzielenia się Białorusinów na „masę chłopską ruską” i na szlachtę „polską” jest naprawdę tragiczny (choć większości Polaków ten tragizm jest być może niezrozumiały), ale przyczyny zjawiska są bodaj bardziej skomplikowane, a także o wiele wcześniejsze niż rozbiory. Dr Januczona myli się też może sądząc że W. Księstwo Litewskie było państwem białoruskim. Mimo wszystko stanowiło ono część Rzeczypospolitej Polskiej, już od XVII wieku język polski był wprowadzony do W. Księstwa i mimo wszystko był to język „panów”. Jak słusznie zauważył w swoim czasie J. Serech w paryskiej „Ukrainie”, nawet jeśli nie było w Rzeczypospolitej bezpośredniego prześladowania językowego i narodowego, to sam fakt, że była ona państwem polskim, że dwór królewski był polski, że centrum państwa leżało w Polsce, wszystko to nie mogło nie mieć skutków językowych dla Ukrainy i Białorusi. Problem więc był chyba przede wszystkim socjalny — kultura polska *uważana była* za „wyższą” m.in. dlatego że była kulturą dworu, i już w XVII w. panowie i elita duchowieństwa przechodzą z prawosławia wprost na obrządek łaciński a nie unicki. Nie z powodów religijnych ale socjalnych: kościół unicki był kościołem chłopów, łaciński — panów (i takim pozostał aż do końca na Białorusi a prawdę mówiąc i w Galicji). Nic dziwnego, że panowie a więc i szlachta woleli należeć do kościoła łacińskiego. Podobnie było i z językiem polskim, nawet jeśli używano go tylko od święta. Oczywiście kwestia rozwinęłaby się zupełnie inaczej, gdyby nie rozbiory i powstały wówczas (ale czy dopiero wówczas?) rozdział na Polaków — panów i ruskich — muzyków. Nie znam Białorusi, ale wydaje mi się, że to wszystko odbija się doskonale w *Nabereżeńcach*”, mimo a być może właśnie *dzięki* całemu patriotycznemu (lub jak mówi dr Januczona „romantyczno-imperialistycznemu”) stanowisku autora. Nie trzeba być językoznawcą, by zauważyć że wszystkie osoby powieści nie wyłączając autora, myślą po białorusku, nawet jeśli próbują mówić po polsku. Książka Czernyszewicza jest chyba jednak dokumentem epoki, epoki z historii Białorusi ostatecznie, w której część szlachty białoruskiej czuła i myślała jak to opisuje Czernyszewicz. Chociażby więc jako dokument zasługiwałyby na uwagę Białorusinów. Szkoda też, że dr Januczona zrezygnował z literackiej oceny powieści, która odbija „życie miejscowe” jeśli nie całości to w każdym razie części mieszkańców ziem nad Berezyną. Porównanie z drukowaną w tymże piśmie *Veda* powieścią p. Siadury wypada z literackiego punktu widzenia, z punktu widzenia wizji życia na Białorusi jaką nam daje, zdecydowanie na korzyść Czernyszewicza. Ale to nie jest chyba kwestia stanowiska politycznego, tylko talentu literackiego i wierności posiadanej wizji.

(v.)

Nadesłane nowości wydawnicze

DOKUMENTY CHWILI

- GUERRY (L.). *L'antisémitisme stalinien*. (Pp. 130). (Ed. Cahiers des Amis de la Liberté, Paris, 1953, frs. 150).
- PAPEN (von Franz). *Mémoires*. Pp. 322. (Ed. Flammarion, Paris, 1953, frs. 650).
- JACQUOT (P. E. Gén.). *Essai de stratégie occidentale*, précédée d'une lettre d'André Malraux. Pp. 202. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 390).
- DEDJER (V.). *Tito parle...* Pp. 480. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 900).
- GUNTHER (J.). *Passeport pour les U.S.A.* Préface par André Maurois. Traduit de l'américain par Jean Bué. Pp. 602. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 970).
- DEUTSCHER (I.). *Staline*. Traduit de l'anglais par Jean-Pierre Herbert. Pp. 446. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 900).
- VALLAT (X.). *Charles Maurras, numéro d'érou 8.321*. Pp. 290. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 600).

LITERATURA

- PAVESE (C.). *Avant que le coq chante*. Traduit de l'italien par Nino Frank. Pp. 330. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 750).
- MILLER (H.). *Souvenir souvenirs*. Traduit de l'américain par André Michel. Pp. 347. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, Collection du Monde Entier, frs. 700).
- WEIL (Simone). *Cahiers*. II. Pp. 429. (Ed. Plon, Collection „L'Épi”, Paris, 1953, frs. 720).
- FRANK (B.). *Géographie universelle*. Pp. 224. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1953).
- KAFKA (F.). *Tentation au village et autres récits extraits du Journal*. Pp. 252. (Ed. Grasset, Paris, 1953, frs. 480).
- CHARDONNE (J.). *Vivre à Madère*. Pp. 238. (Ed. Grasset, Paris, 1953, frs. 480).
- NEMESIO (V.). *Le serpent aveugle*. Pp. 386. (Ed. Plon, Collection „Feux Croisés”, Paris, 1953, frs. 750).
- JOUHANDEAU (M.). *Galante ou convalescence au village*. Pp. 254. (Ed. Grasset, Paris, 1953, frs. 450).
- DROUET (Anne). *Ces sacrées vacances*. Pp. 188. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1953, frs. 480).
- BOURNAND (R.). *Vie privée des déesses et des Dieux*. Pp. 253. (Ed. Grasset, Paris, 1953, frs. 630).
- JASIENCZYK (J.). *Brunatne i czerwone*. (Marek Korda). Powieść z cyklu „Ludzie i miasto”. Str. 217. (Nakł. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1953).
- GREEN (Julien). *S u d*. Pp. 245. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 420).

HISTORIA

- WEYGAND. *Mémoires. Idéal vécu*. Pp. 650. (Ed. Flammarion, Paris, 1953, frs. 975).
- WALTER (G.). *La guerre de Vandée*. Pp. 362. (Ed. Plon, Paris 1953, frs. 900).

RÓŻNE

- RUSSEL (B.). *Histoire de la philosophie occidentale en relation avec les événements politiques et sociaux de l'Antiquité jusqu'à nos jours*. Traduit de l'anglais par Hélène Kern. Pp. 906. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 1.800).
- NIJINSKY. *Journal*. Traduit et préfacé par G. Solpray. Pp. 277. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 650).
- BLUM (P.). *La peau*. Pp. 126. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1953, frs. 150).
- DONCOW (D.). *Poetka wohnennich mež Olena Teliha*. Str. 95. (Wyd. nakładem Oleksy Tjażkoho, Toronto, Kanada, 1953).
- CZUCHNOWSKI (M.). *Motyl i zakonnica*. Poematy. Str. 39. (Nakł. autora, Londyn, 1953).

Kronika kulturalna

Refleksje z pokazu

W połowie maja br. odbył się w Londynie pokaz słuchaczy Studium Teatralnego Związku Artystów Scen Polskich. Należy podkreślić słowo : pokaz użyte w miejsce zwyczajowego terminu : popis. Na popisy wychowanków szkół teatralnych składają się zwykle wyjątki sztuk dobrane do ich indywidualności, najpełniej, najkorzystniej ukazujące ich możliwości aktorskie. W tym przypadku posłużono się pełnym tekstem jednego utworu — „Moralności pani Dulskiej”. Sztuka jest genialna, promieniuje tą aurą, którą wytwarza zwycięskie zmaganie się dzieł sztuki z czasem. Mimo to można mieć wątpliwości czy wybór był słowny.

„Moralność pani Dulskiej” jest jedną ze sztandarowych sztuk dzisiejszego niewolnego teatru w Polsce, wystawia się ją od początku i ciągle, aż do przesytu i mdłości — „dla celów demaskatorskich”. Nie jest ona poza dwiema, trzema rolami, szczególnie podatnym materiałem dla adeptów aktorskich; trudno sobie praktycznie wyobrazić młodą dziewczynę, która by mogła w pełni udźwignąć rolę tytułową. Całość nie daje jednakich możliwości, „równego startu” wszystkim kandydatom. I wreszcie : skrajny naturalizm nie jest ani stylem literackim ani stylem scenicznym, w który należałoby przede wszystkim wdrażać początkujących aktorów. Ale mniejsza o to — są to sprawy do sporu raczej akademickiego.

Istotniejsza jest rzecz inna. O wyborze komedii Zapolskiej — poza sugestią idącą z kraju — rozstrzygnął stosunek ról kobiecych i męskich. Na pokazie ten stosunek jeszcze się zaostrzył, bo trzy role kobiece były obsadzone podwójnie. Ostatecznie wyraża się on cyframi : 9:3 na korzyść pań, oznacza ich aż trzykrotną przewagę w składzie Studium.

Jest to dosyć zastanawiające, że nieurodzaj na amantów, który był zmorą teatru polskiego w ostatnich dziesiątkach lat, przedłuża się na wychodźstwie. Jak to wytłumaczyć u narodu, który w przekonaniu swoich i obcych uchodzi za jeden z najbardziej męskich, kochliwych, „amantowskich”? Czy wyzywa się on w rzeczywistości do tego stopnia że już nic nie zostaje na teatrze, że nie ma żadnej nadwyżki, która by szukała ujęcia w artystycznym zmyśleniu? W życiu emigracyjnym najpewniej działają przede wszystkim względy gospodarcze — dla młodych mężczyzn teatr nie jest „karierą”.

Tak czy owak, ta duża dysproporcja ilościowa kobiet w stosunku do mężczyzn jest organiczną słabością Studium i słabością tzw. narybku, który usiłuje ono przygotować. Jest to studium teatralne i teatr kobiet. Górują one nad mężczyznami nie tylko liczebnie ale i rzeczowo. Wybrana sztuka dawała im zresztą większe pole do popisu czy pokazu.

Ogólnie biorąc jest to materiał bardzo surowy, zielony ale w wielu przypadkach obiecujący. Ujemną cechą, wspólną wszystkim wychowankom Studium — poza jednym lub dwoma wyjątkami — jest to że nie umieją mówić na scenie. Gubią wyrazy w otchłaniach ust i gardła, nie wytrzymują pauz, nie potrafią „podawać” tekstu. Wypowiadany słowom i zdaniom brak wyrazistości, nośności, celności. Chwilami odnosi się dość niepokojące wrażenie teatru prawie mimicznego, aktorstwa, jakby nałożonego z zewnątrz. To wrażenie wskazuje na przedwczesność pokazu, zdradza w nim pozorowanie gry bez istotnego działania aktorskiego; zaczyna się od poruszenia całej osobowości i wieńczy się pełnym, wszystko zamykającym, uskrzydłym słowem, słowem — przeżyciem.

Z pojedynczych ról za najdojrzałą, najbliższą teatrowi zawodowemu należy bodaj uznać Juliasiewiczową p. Mroczkowskiej. Warunki zewnętrzne, wycucie stylu, umiejętność noszenia kostiumu, stosunkowo duża wyrazistość słowa, gestu i mimiki, żywa wyobraźnia aktorska — wszystko to każe dobrze rokować tej młodej aktorce. Niestety zawiodła ona całkowicie w wielkiej scenie ze Zbyskiem w akcie III; odpowiedzialność za to obciąża również reżysera, p. Kielanowskiego, który „puścił” ten akt w przeciwieństwie do dwu pierwszych, bardzo starannie przygotowanych. Panna Starnawska jako Hesia pokazała wrodzoną sugestywną *vis comica* (chwilami wydawała się córką Miry Zimińskiej), ale osiągnęła rekord w zacieraniu tekstu, sklepaniu słów, zabijaniu żywcem odkrywczych fraz Zapolskiej. Obie odtwórczynie Meli (p. Sobieniewska i p. Suzinówna) stanowią dobry materiał na „nawne”, szkoda że naiwność była tu przyrządzona na słodko, pieścizliwie, wywierała wrażenie minuderii. Panna Nowacka porała się mężnie z przerastającą jej siłą arcyrolą mamy Dulskiej, ale ta *tour de force* stanowi sprawdzian jej możliwości. Poprawnie prosto, czysto zagrała lokatorkę p. Buras-McGregor. Bardzo słabe były obie Hanki, Tadrachowa bardziej kroita na chłopkę z wodewilu, z „Krakowiaków i górali”

niż z tej drapieżnej, naturalistycznej „tragikomedii kołtuńskiej”.

Z mniejszości męskiej tylko p. Dybowski jako Zbyszek Dulski miał możność pokazania siebie. Warunki nie przeznaczają go na klasycznego amanta ale w tej roli, nie najwdzięczniejszej, pokazał prawdę i siłę wyrazu, potrafił jej nawet nadać ton oryginalny jakby kalekiego, rachitycznego romantyzmu, bezwiednie spokrewnił ją z „szaloną Julką”. Najważniejsze jest że ten słuchacz Studium trzyma pierwsze miejsce pod względem przygotowania wokalnego, przyrodzona czysta dykcja łączy się u niego z nabytą umiejętnością posługiwania się głosem i słowem. Odtwórca niemej roli Dulskiego-ojca (pp. Musik i Ozdoba) są niewiadomymi, o których nie można nic powiedzieć.

Pokaz Studium odbył się w okolicznościach szczególnych — w chwili całkowitego zamarcia teatru na emigracji. Właśnie dobiegł końca proces, który ludzi przytomnych już od wielu lat niepokoił i alarmował. W całej Wielkiej Brytanii jest w tym momencie czynny jeden kabaret czteroosobowy. Zniknęły liczne, w niektórych okresach zbyt liczne, współzawodniczące ze sobą i wzajemnie się unicestwiający zespoły dramatyczne, które przebiegały ten kraj, łączyły oddalone od siebie, zagubione w obcości ośrodki polskie niewidzialną więzią. Aktorzy zdarli siły, zniechęcili się, poszli do innych zawodów, rozproszyli się po świecie. Stoimy wobec ruiny i próżni.

Jest to wynik wyjątkowo zgodnego współdziałania dwu bezwładów: bezwładności społeczeństwa emigracyjnego i bezwładności aktorskiej.

Ludzie teatru wykazali brak poczucia rzeczywistości, brak dyscypliny. Ich organizacja zawodowa, która w przedwojennej Polsce składała dowody odpowiedzialności i sprężystości, na obczyźnie dopuściła do obniżenia poziomu, do zacierania granicy między teatrem zawodowym i teatrem amatorskim, do grasowania jednostek artystycznych nieodpowiedzialnych, do marnotrawienia możliwości materialnych i moralnych, do przegrania wyjątkowej pozycji, jakiej teatr nie miał w żadnym wychodźstwie polskim i niepolskim, nie miał i nie ma w żadnym innym kraju naszego osiedlenia.

Ale jeszcze większa wina obciąża społeczeństwo emigracyjne. Przyglądało się ono najzupełniej biernie wszystkiemu co się działo w tej dziedzinie. Z równą obojętnością kwitowało bohaterские wysiłki jak słabości, poślizgnięcia, staczenie się po równi pochyłej, jedno i drugie przyjmowało jako rzecz naturalną. W ciągu ośmiu lat od zakończenia wojny i zdjęcia teatru z etatu wojskowego, żadna instancja oficjalna, żadna organizacja społeczna nie wystąpiła z zaofiarowaniem stałej pomocy, opieki, rady. Zabiegi o zainteresowanie rozmaitych stowarzyszeń i zjednoczeń, stworzenie tzw. teatru społecznego, zbudowanie domu aktora spęły na niczym. Były to szyfrowe prace teatralne.

W tym stanie rzeczy pokaz Studium nie upoważnia do pochopnego optymizmu. Pokazano nam kilkoro młodych ludzi, którzy często z wielką ofiarnością, z samozaparciem się osobistym

odbyli dwuletnią naukę, stojącą grubo poniżej poziomu szkolnictwa teatralnego w Polsce przed wojną i poziomu na tych wyspach. Po wyjściu ze szkoły znajdują się oni w pustce, w ziemi niczyjej, na zapuszczonym ugorze. To prawda że nie ma teatru bez dopływu świeżych sił, ale nie ma też teatru z samego narybku, nie ma teatru bez ciągłości, bez atmosfery, która sprzyja rozwojowi młodych talentów. Nie ma teatru bez gruntu społecznego, bez zapotrzebowania społecznego.

Z tej gromadki uzdolnionej, pełnej zapału ale jeszcze dalekiej od technicznego przygotowania mogą wyrosnąć aktorzy albo pod-aktorzy, pseudo-aktorzy, ludzie z pretensjami, którym brak rzeczowego pokrycia.

Kto weźmie za nich odpowiedzialność? Kto wreszcie poczuje się do odpowiedzialności za teatr na emigracji?

Tymon TERLECKI

Londyn, 14.5.1953.

Film francuski prowadzi

Dotychczas byłem zdania, że film, choć jest potężną syntezą wszystkich sztuk, nie jest w stanie przekazywać widzowi treści metafizycznych. Po obejrzeniu wielkiego dzieła Roberta Bressona *Journal d'un curé de campagne*, będącego filmową adaptacją powieści G. Bernanosa, jestem zmuszony zrewidować ten pogląd. Nagrodzony wielką nagrodą kinematografii francuskiej w roku 1951, a przedtem Prix Louis Delluc, filmowy „Pamiętnik wiejskiego proboszcza” na pewno przekazuje widzowi nastrój mistyczno-religijny, a zatem metafizyczny, a także komunikuje części treści myślowych arcydzieła Bernanosa.

Nie łatwo dociec na czym polega siła tego ascetycznie prostego filmu, który idąc wiernie za pierwowzorem literackim, bez żadnych tricków, bez chwytów wyrafinowanej reżyserii fotografii filmowej — pokazuje główne wydarzenia krótkiej działalności świętego z Ambricourt i główne myśli, zanotowane w jego pamiętniku. Proste, przeważnie krótkie sekwencje fotografii ruchomej, nieliczne dialogi, raczej skąpa, ale celna muzyka i snujący się przez cały film mówiony monolog wewnętrzny, przeplatany — zdawałoby się monotonna — zbliżeniami piszącej ręki księdza — oto rejestr środków artystycznych, użytych przez reżysera. Dodać trzeba grę aktorów, głównie Claude Laydu w roli tytułowej, która dominuje nad całym dziełem. O ascezie stylu Bressona świadczy np. fakt, że nawet w dialogach nie zawsze

ustaje głos wewnętrzny proboszcza z Ambricourt. W niektórych sekwencjach partnerzy jego pozostają poza ekranem wchodząc nań tylko na krótkie momenty, a słowa (czy ubrane w wyrazy myśli) nie pochodzą z zamkniętych ust Laydu, lecz płyną jak akompaniament muzyczny obok, a raczej spod obrazów, jak gdyby z innego wymiaru.

Myślę, że głównym źródłem siły filmowego „Pamiętnika wiejskiego proboszcza” jest przedziwna prostota. Pozorna monotonia faktury oddaje spokojny na zewnątrz, choć naładowany duchowymi przygodami nurt tragicznie smutnego i świętobliwego życia. Film jest w równej mierze utworem wizualnym, co poetyckim i muzycznym — powracające rytmicznie obrazy fragmentów rękopisu to klamry, oddzielające poszczególne frazy. Krecja tytułowa wyróżnia się także niebywałą prostotą i wykracza poza styl najlepszych realizacji scenicznych i filmowych aktorstwa francuskiego i światowego. Żadnych gier, żadnych gestów na efekt, częste chwile nieruchomości — nawet nie ma gry twarzy. A mimo to, czy raczej dlatego aktor ewokuje jeśli nie pełnię świętości, to tajemniczą wielkość człowieka idącego ku świętości — stwarza przejmującą indywidualność ewangelicznie pokornego, szarego, niezdarnego, niepraktycznego i śmiertelnie chorego księżyka, którego parafia zupełnie nie rozumie, a nawet uważa za alkoholika i pólidiotę. Wydaje mi się, że zastosowanie tego jedynie słusznego stylu gry jest w pierwszym rzędzie zasługą reżysera, który z pewnością czytał „Pamiętniki” Stanisławskiego, mówiące o konieczności zupełnego zaniechania przez aktora gestów w celu skupienia całej uwagi wrażliwości widza na przeżyciu wewnętrznym. Styl ten, jak wiadomo, szeroko stosował Pudowkin (np. w *Matce*).

I jeszcze jedno. Nie będąc wcale ilustracją do dzieła literackiego, lecz dziełem samodzielnym, film Bressona w pewnym sensie przybliżył i humanizuje powieść Bernanosa. Czytając tę książkę naładowaną ogromem myśli, chwilami traci się obraz bohatera — autora pamiętnika — mnie osobiście zdarzało się to często. W filmie przeciwnie: choć spowity w tajemnicę, człowiek góruje nad pamiętnikiem, człowiek wzrusza, człowiek każe się zamyślać nad problemami. W tym sensie (i tylko w tym sensie) film zdaje się nawet przewyższać komunikatywność powieści, choć przekazuje tylko część jej myślowego ładunku.

Ale wszystkie te rozważania nie wiele nas zbliżają do istoty osiągnięcia Bressona. Nie ulega kwestii, że film jest zupełnie wyjątkowy w kinematografii światowej i niepojęty jak każde wielkie dzieło sztuki. Powolny, bez ciekawej akcji, nieefektywny — wciąga i przykuwa zarówno myśl jak uczuciowość widza, o czym świadczą najlepiej pochlebne (i czasem zakłopotane) recenzje protestanckiej i pogańskiej krytyki angielskiej. Dlaczego tak się dzieje — dokładnie nie wiadomo i moim zdaniem zostanie to tajemnicą sztuki Bressona i Bernanosa. W każdym razie zgadzam się ze znanym krytykiem francuskim Michel Au-

briantem, który napisał : „Ze odważył się na to reżyser, że znalazł się producent, który mu zaufał — oto powód do chwały naszej kinematografii”.

Odbyty w Londynie Festiwal Filmów Francuskich dał niezły przekrój ostatniej twórczości francuskiej. Pokazano szereg dzieł różnorodnych — od bajki, poprzez komedię historyczną i współczesną komedię muzyczną z wypadami w historię — do filmów o tematyce współczesnej : obyczajowej, psychologicznej i polityczno-problemowej. Połowa tych filmów wyrasta z utworów literackich.

Barbe Bleu — jedyny na festiwalu film kolorowy — to dowcipnie i pomysłowo wyreżyserowana przez Christian Jaque'a (według utworu A.P. Antoine'a) historia sinobrodego feudała, który u d a w a ł, że morduje swe liczne żony, a naprawdę zamykał je w wieży, gdzie wiodły życie niewolne, ale nie pozbawione rozkoszy stołu, plotkarstwa i licznych strojów, dostarczanych przez pseudookrutnika. Antoine postawił na głowie baśń Perraulta, a Jaque z kolei przeniósł ją w medium filmowe tworząc przezabawną komedię nie tylko sytuacji, ale i charakterów. Pierre Brasseur bowiem stworzył w tym filmie niecodzienną w sztuce postać bezbrzeżnie próżnego kaboty, który będąc na dnie wcale łagodnym człowiekiem i bodaj niezbyt jurnym mężczyzną ponosi chętnie znaczne ofiary, aby uchodzić za demona okrucieństwa i zmysłowości. Ostatnią jego pseudoofiara, a zarazem demaskatorką oszustwa staje się uroczo naiwna Cecile Aubry. Jedyną, niemałą wadą tego filmu jest nieprzyjemny kolor.

Cieszący się w Polsce wielkim powodzeniem *Fanfan la Tulipe* jest również dziełem Christian Jaque'a, podejmującym legendarny wątek bohatera ludowych piosenek gaskońskich — rycerzyka-zabijaki gotowego zawsze walczyć w obronie dobrej (albo i gorszej) sprawy. Scenarzyści Rene Wheeler i Rene Fallet osadzili Fanfana w wojsku Ludwika XV i rozwijając motyw piosenki o *Joli Tambour* (której melodia przewija się w ilustracji muzycznej) — kazali mu przeżywać najdziwsze, najbardziej nieprawdopodobne, a jednak pasjonujące widza, a przy tym przezabawne przygody. Grający tę rolę Gerard Philipe jeździ konno, pojedynkuje się, skacze i kocha lepiej od amerykańskich kowbojów. Czyni to wszystko z uśmiechem, czego nie potrafią aktorzy amerykańscy, traktujący swe junaćkie wyczyny ze śmiertelną powagą. Tu inaczej : wszystko jest żartem, zabawą, a nawet, gdy przechodzi w tendencję (Jaque wykipiwa zabójczo „koronkową” wojnę wodzów XVIII wieku, a zwłaszcza Anglików) — nie sposób traktować jej na serio. Uśmiech prześwietla cały film, a śmiech — gdy wybucha na widowni — nie dusi, lecz odpręża. *Fanfan* jest czymś więcej niż rozrywką — reżyser dał tu pokaz

tak wysokiego kunsztu, że dzieło swe przeniósł w wymiar prawdziwej sztuki udowadniając zarazem, że w gatunku awanturno-czo-sensacyjnym Francuzi potrafią być lepsi od Amerykanów.

Osiągnięciem formalnym wielkiej klasy są *Les belles de nuit* Rene Claira. Czyniąc bohaterem swego filmu współczesnego muzyka (Gerard Philipe), rozpoczynającego karierę w ubogiej dzielnicy prowincjonalnego miasteczka, hałaśliwego w codziennym życiu i w dodatku w nadmiarze korzystającego z radiofonii — reżyser zręcznie skonstrastował nurt poetycko-muzyczny ze świdrującą uszy codziennością. Mało tego. Chcąc rozszerzyć skalę dźwiękową swego dzieła kazał muzykowi być neurotycznym wrażliwcem, oddanym najdziższemu marzeniom sennym, w których dowcipnymi skokami cofa się w początki XX wieku, potem w lata czterdzieste XIX-go wieku, do Rewolucji Francuskiej i dalej — aż do epoki kamiennej, gdy brodate dzikusy biegały po świecie z olbrzymimi pałami. Każdy z tych celowo poplątanych obrazów historycznych dodaje istotne elementy do wachlarza dźwiękowego filmu, a pogoń przyjaciół, ścigających poprzez wieki biednego muzyka — najpierw wabionego, a potem wciąganego w koszmar przez piękne kobiety — należy do najzabawniejszych w kinematografii światowej. W *Belles de nuit* Rene Clair powrócił do znanej nam z innych jego dzieł — zwłaszcza z *Le voyage imaginaire* — krainy marzeń sennych, w której porusza się ze swobodą freudowskiego psychologa i z ekspresją wielkiego artysty, znającego wszystkie tajniki obrazowego języka filmowego. Ale tym razem Clair przestyliizował swą wizję w określonym kierunku. Trochę wbrew rzeczywistości (bo zjawiska słuchowe w snach zdarzają się bardzo rzadko) kazał swemu bohaterowi śnić jednocześnie oczami i uszami, a odbiorcom filmu wędrować wraz z G. Philipem — doskonałym narzędziem reżysera — po wielkiej krainie dźwięku, nigdy dotąd nie zrelacjonowanej na ekranie tak bogato i wymownie. Pięknościami ze snów są tu Martine Carol, Gina Lollobrigida i Magali Vendeuil. Muzykę skomponował Georges Van Parys, w scenopisie pomagali Clairowi Pierre Barillet i Jean-Pierre Gredy.

Poprzez igrzącą z czasem, dźwiękowo-psychologiczną fantastykę Claira przechodzimy od bajki i kostiumowej historii do współczesności. *La table aux crevés* Henri Verneuil (według powieści Marcela Aymé) daje ostrą, epicką charakterystykę dzisiejszej wsi prowansalskiej z chciwością i pracowitością jej chłopów, z ich kłótniowością, materializmem i swoistym katolicyzmem, rozbajającym — nie bez wielkiego trudu — twarde, zawzięte dusze. Akcja filmu jest tylko pretekstem do pokazania szereckiego obrazu i trafnie uchwyconej atmosfery. Fotografia André Germaina przenosi nas do bogatego, pełnego słońca kraju i wierne, a zarazem twórczo chwyta prawdziwych ludzi, naturę, zwierzęta i przedmioty — wszystko, co potrzebne jest do syntetycznego spojrzenia na Prowansję. Geniusz sceny i filmu francuskiego

Fernandel wcielił się tu w postać prowansalskiego chłopca, który natychmiast po samobójczej śmierci swej jędzowatej żony z przerażającym realizmem organizuje sobie następne, korzystniejsze małżeństwo z Marią Mauban.

Jeśli do scharakteryzowanych powyżej filmów francuskich dodamy tuzin innych — jak *Le plaisir* Maxa Ophulsa (trzy sfilmowane artystycznie nowele Maupasanta), *Souvenirs Perdus* Christian Jaque'a, znakomite *Les jeux interdits* René Clementa, *L'amour, madame* G. Grangiera, *Casque d'Or* i inne filmy J. Beckera, *Dédé* Yves Allegreta, *Les enfants terribles* Cocteau-Melville'a — wówczas moglibyśmy pokusić się o próbę ostrożnej syntezy. Wydaje się, że powojenna kinematografia francuska zaczyna — po włoskiej — przejmować prym w filmie światowym, rozumianym jako sztuka. Zawdzięcza to przede wszystkim swym inteligentnym, wrażliwym i wysoce utalentowanym reżyserom oraz znakomitym aktorom, wychodzącym ze szkoły aktorstwa charakterystycznego (żaden kraj nie ma tylu artystów dramatycznych o tak rozległej skali jak Fernandel lub Gerard Philipe). Pracę filmu francuskiego wyróżnia i charakteryzuje nastawienie estetyczne: świadczy o tym m. in. duża ilość dzieł poetyckich (Cocteau) i rozrywkowych na poziomie artystycznym. Tematycznie film francuski lubi sięgać do neutralnych dzieł literackich — historycznych, rzadziej współczesnych, przy czym adaptacje te są najlepsze i najwierniejsze w kinematografii światowej. Komedie przeważają nad filmami problemowymi. Nurt społeczny, reformatorsko-demaskatorski — tak charakterystyczny dla renesansu filmu włoskiego — jest prawie nieobecny w kinematografii francuskiej, posiada ona natomiast poważny nurt religijny (*Journal d'un curé de campagne*, *Dieu a besoin des hommes* i in.).

Opinię o przodownictwie filmu francuskiego, sformułowaną przeze mnie przed tegorocznym festiwałem filmowym w Cannes, zdaje się potwierdzać orzeczenie międzynarodowego jury tego festiwalu, przyznając pierwszą nagrodę nieznanemu mi jeszcze filmowi Henri Georges Cluzota *Le salaire de la peur*, który — (jak donoszą korespondenci angielscy) — ma być „real strong meat”, a zarazem najlepszym dziełem autora *Manon* i *Le corbeau*.

KRYTYK

Wystawy paryskie

Wystawa sztuki tureckiej nie wydaje się nam, Polakom, bardzo interesująca. Z jednej strony pociągają nas wystawy „wielkiej” uznanej sztuki Zachodu, Flamandów, Włochów, Francuzów, z drugiej wystawy egzotyczne: sztuka Meksyku, Indii, Chin, Turcja jest za mało egzotyczna, aby znaleźć ją do tej kategorii, a za mało znana i uznana, aby należeć do kategorii pierwszej. Toteż gdy ogląda się wystawę sztuki tureckiej w Paryżu (*Splendeur de l'art turque* w Musée des Arts Décoratifs) ogarnia nas miłe zdumienie. Egzotyczność sztuki tureckiej leży bowiem dla nas najwyżej w czasie, ale nie w przestrzeni. Wchodzimy w tę wystawę tak jak w świat bohaterów *Trylogii*, tak jak otwiera się księgę Łozińskiego *Zycie polskie w dawnych wiekach*. Ze ścian spoglądają na nas pasy stuckie (jest nawet kilka pasów, przy których zaznaczono, że to pasy polskie), „polskie” makaty (polskie dzięki temu, że je nasi pradziadkowie zrabowali na Turkach). W środku olbrzymi namiot sułtański przypomina namioty wezrya spod Wiednia czy Chocimia w naszych muzeach. Z talerzy i półmisków wychylają się postacie kozaków i szlachciców z XVII wieku, szarawary, karabele, podgolone lby. Dzisiaj gdy Turcja jest od nas tak daleko, zapominamy o ustawicznym z nią kontakcie od XV aż po koniec XVIII wieku. Wojny widocznie także sprzyjają kontaktom kulturalnym, a zresztą obok wojen były i długie lata pokoju, stosunków handlowych dzięki Włochom i Ormianom (nie darmo to właśnie Ormianie wyrabiali pasy i kilimy, zarówno w Turcji jak w Polsce). O wszystkim tym oczywiście specjaliści wiedzieli od dawna. Wystawa ma tę zaletę, że uwidocznia to także i niespecjalistom. A przede wszystkim, iż dowodzi w sposób namacalny, że w Europie (i to jak widzimy w bardzo szerokim znaczeniu) granice kulturalne nie istnieją, że nawet przepaść religijna między Islamem i Chrześcijaństwem nie przeszkadzała szerzeniu się wpływów kulturalnych. Dodatkową zaletą wystawy jest to, iż pokazuje nam naoocnie, że naszą kulturę łączy tak wiele ze Wschodem. Gdy oglądamy miniatury indyjskie uderza nas nieraz jakaś postać niby to kozaka czy szlachcica z XVII wieku. To Islam zaniósł aż do Indii te same wpływy cywilizacyjne, które odeń zapożyczyli nasi przodkowie. Ale są też rzeczy być może starsze: niektóre motywy dekoracyjne kilimów czy ceramiki są uderzająco podobne w Turcji i na Ukrainie, już mniej w Bumunii, choć zdawałoby się, że to przez nią powinien być iść wpływ turecki. Czy mamy tu do czynienia z bezpośrednim wpływem na Ukrainę? Nie jest to wykluczone, ale może są i starsze pokrewieństwa lokalne. Toteż wielka szkoda, że wystawa ta nie może być oglądana w Krakowie czy jeszcze lepiej we Lwowie.

W galerii Haim-Gairac (13, rue de la Seine) ma miejsce skromna ale dobrze zorganizowana i ciekawa wystawa krajobrazów flamandzkich XVI wieku. Wszystko to są krajobrazy drugorzędnych mistrzów (oprócz jednego Patinira, którego też umieszczono konsekwentnie *hors catalogue*). Zadano sobie trud pozbierania tego wszystkiego z kolekcji prywatnych, rzeczy są nieznanne a pouczające, bo stanowią to co utarło się nazywać „kręgiem wielkich mistrzów” (głównie zresztą Breughela). Interesujące są zwłaszcza krajobrazy młodszych Breughelów wzorujących się wyraźnie na starym; obaj to jest Piotr i Jan (*de Velours*) zawodzą najbardziej w umieszczaniu postaci w krajobrazie; krajobraz wychodzi a postać jest tylko plamą, nie ma

tego człowieczeństwa właściwego ludziom starego Breughela. Ale przegład całości zgromadzonych krajobrazów (czy raczej krajobrazików, bo format prawie wszyskich niewielki) jest pouczające, zarówno dlatego, że pokazuje poziom do jakiego doszli drugorzędni malarze jak i to do czego dojść nie byli w stanie.

W muzeum sztuki ludowej (Arts et traditions populaires) ma miejsce wielka wystawa sprzętu ludowego. Sprzęt ów pojęto dość szeroko, bo pokazano nie tylko stoły, krzesła i szafy, ale też sprzęt, który można by nazwać technicznym: żarna, przybory do pieczenia chleba, sprzęt kuchenny. Oczywiście wystawa nie pretenduje bynajmniej do oddania całego, zamierającego już zresztą, bogactwa folkloru francuskiego. Trudno było pokazać więcej niż 20 lamp oliwnych (dziedzictwa po Rzymianach) czy więcej niż kilka dzieł na ciasto. Co uderza tutaj, to nie tyle postęp, jaki zrobiła ostatnio wieś francuska, zelektryfikowana dziś w prawie 100 procentach, jak właśnie brak postępu niemal do ostatnich lat XIX wieku. Wieś bretońska uparcie świeciła luczywem aż do chwili kiedy ją zelektryfikowano, podobnie jak gdzieś indziej znów nigdy nie osiągnięto wynalazku cepów i młócieli kijem aż dopóki nie wprowadzono młocarek elektrycznych.

Dla Polaka wystawa ta będzie z pewnością o wiele mniej egzotyczna niż dla większości Paryżan. U nas wszystkie te (lub prawie wszystkie, bo są i różnice) narzędzia i sprzęty były w najlepsze używane i pewno są w dużej mierze do dzisiaj. Wieś francuska podlegała wpływom miasta o wiele wcześniej niż nasza, ale mimo wszystko całość jej cywilizacji technicznej datuje się z czasów kiedy w Europie jeszcze żadnych miast nie było, i to sprawia, że nasza cywilizacja chłopska i cywilizacja chłopska francuska stanowią jedną całość, bo mają to samo pochodzenie poprzedzające wszelkie późniejsze nawarstwienia kultur miejskich, mniej lub więcej napływowych; są one niejako najniższym fundamentem jedności europejskiej.

Jan TOROSIEWICZ

Rozstrzygnięcie konkursu R. W. E.

W dniu 3-cim Maja, w czasie uroczystej audycji, poświęconej pierwszej rocznicy rozgłośni Radia „Wolna Europa” w Monachium, ogłoszono wyniki Konkursu Literackiego, który rozpisany był na jesieni ubiegłego roku. Konkurs obejmował trzy tematy do opracowania. Pierwszy temat: „Moje najciekawsze przeżycie z lat 1939-1952”. Drugi temat: „List do Kraju. — Co chciałbym powiedzieć przyjaciółom w Polsce”. Trzeci temat: „Co Zachód może przeciwstawić komunizmowi”. Ogółem napłynęły 544 prace.

Wśród prac z tematu pierwszego nagrodzono prace następujące:

Pierwsza nagroda : (300 dolarów) — godło : M. JOTI, tytuł : „Złamanany Krzyż”. Po otwarciu koperty nazwiska nie ogłoszono, gdyż autorka zastrzegła sobie jego poufność. Praca pochodzi z Anglii.

Druga nagroda : (200 dolarów) — godło : Kruk, tytuł : „Szeregowiec Abraham Moneta”. Autor — Jan Siemiesz (Bronisław Przyłuski) z Anglii.

Trzecia nagroda : (100 dolarów) — godło i tytuł : „Dziwna Msza”. Autor : Aleksander Alfons Klotz, Londyn.

Również *trzecią nagrodę* — dodatkowo — przyznano pracy pod godłem „708”. Autor : Wacław Solski, St. Zjednoczone.

Spśród drugiego tematu nagrodzono prace następujące :

Pierwsza nagroda : (300 dolarów) — godło : „Trąba”. Autor : Stanisław Gostek, Sztokholm.

Druga nagroda : (200 dolarów) — Godło : „Borowik”. Autor zastrzegł nie ogłaszanie nazwiska. Praca pochodzi z Anglii.

Trzecia nagroda : (100 dolarów) — Godło : „Zośka”, tytuł : „List do siostry”. Autorka : Olga Zeromska, Londyn.

Spśród prac z tematu trzeciego nagrodzono prace następujące :

Pierwsza nagroda : (300 dolarów) — Godło : „Wilnianin”. Autor : Michał Sambor, Londyn.

Druga nagroda : (200 dolarów) — godło : „Borowik”. Autor : Józef Maria Ursyn, Afryka Środkowa.

Trzecia nagroda : (100 dolarów) — Godło : „Obserwator”. Autor W. Nienaski, Francja.

Prócz tego wyróżniono 30 prac.

Pisząc książkę o latach 1939-1950 Melchior Wańkowicz zwraca się do osób mogących udzielić następujących informacji :

1. Udział wojsk pancernych w bitwie pod Falaise.
2. Polacy (zwłaszcza torpedowiec i lotnictwo) w wypadzie na Dieppe.
3. Polacy w ruchu oporu we Francji.
4. Nazwisko oficera, który, przechowywany przez kolegów na poddaszu w Murnau, powiesił się, kiedy go Niemcy wykryli (i okoliczności sprawy).
5. Sądy niemieckie nad oficerami-jeńcami polskimi oskarżonymi przez Niemców o niszczenie dywersantów itp.
6. Losy i dane biograficzne o „Wandzie”, kierownicze stacji radiowej niemieckiej w języku polskim w czasie bitwy o Monte Cassino.
7. Dane o armii Berlinga, podchorążówkach dla Polaków w Sowietach, udziale Polaków w lotnictwie sowieckim i Polakach-zrzutkach sowieckich do Polski.
8. Wypadki na Wołyniu w latach 1943-1944.
9. Informacje o Polakach w batalionach pracy w Rosji („Rabocziye bataljony”).
10. Szczegóły ewakuacji na Ziemię Zachodnie ludności z kresów.
11. Spalenie tysiąca kilkuset ludzi w stodole w Gardelegen.

Autor będzie wdzięczny zarówno za wspomnienia osobiste, jak za wskazanie informatorów lub źródeł. Wszystkie materiały opatrzone zastrzeżeniem będą zwrócone. Nadsyłać je należy pod adresem :

Melchior Wańkowicz, 4 Arbor Place. Glen Cove L. I.-N.Y. USA

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Na marginesie polemiki o przyszłe rozwiązanie kwestii polsko-ukraińskiej, korespondencja p. M. Nowary z West Sale, Australia, w numerze 1/63 „Kultury” nasuwa mi kilka uwag, z którymi dzielię się z Panem Redaktorem, pozostawiając Jego uznaniu zamieszczenie ich w dziale „Listy do Redakcji”.

Pan Nowara przedstawia się nam na wstępie swego listu jako przynależny do pokolenia wychowanego całkowicie w niepodległej Polsce. Smuciły go i drażniły uprzedzenia dzielnicowe rodziców, nie interesowały go ich „kompleksy antyniemieckie, antyrosyjskie i antylitewskie”.

A szkoda, bo rezultatem tego braku zainteresowania jest, jeśli nie zupełna ignorancja, to próba fałszowania na modłę bolszewicką najnowszej historii Polski. Wynika to z zestawienia nazwisk ludzi, których p. N. i ta młodzież, z którą się stykał, czci jako tych, którzy „wyrąbali granice Polski”.

Można walczyć o ideę a więc o wolność i granice Polski orężem, półm, słowem czy jeszcze innymi środkami — wspaniale walczył o to Paderewski — ale „wyrąbywać” granice można tylko z szabłą w garści no i zwykłe w mundurze. Nie używali szabli ani nosili mundurów ani Paderewski ani Witos ani Dmowski ani zapewne Korfanty, choć był wodzem powstań śląskich. Ale obok tych czterech cywilów znajdujemy dwa nazwiska „wojskowe”, które p. N. czci nadal jako wyswobodzicieli Polski: Haller — zgoda, ma swe wielkie zasługi. Natomiast każdy Polak zaprotestuje chyba przeciw zamieszczeniu Żeligowskiego obok Paderewskiego i obok czterech innych zasłużonych Polaków. Żeligowski, ten od urodzenia chyba przesiąknięty kultem dla Wschodu oficer carski, który tylko posłusznie choć niechętnie wykonał rozkaz Piłsudskiego by zająć Wilno, ale który w okresie katastrofy zle się czuł na Zachodzie i w sklerotycznym już mózgu powziął decyzję powrotu na Wschód: car czy Stalin — wsio równo — tenże Żeligowski jest przedmiotem czci p. N. jako jeden z tych co „wyrąbali granice Polski”.

Ale szczytem myśli politycznej p. N. jest fakt, że w jego galerii wskrzesicieli Polski, gdzie jest Żeligowski — nie ma Piłsudskiego. Fakt, który nie wymaga komentarzy, ale który ilustruje „dojrzałe poglądy oparte na eksperjencji” p. N., tego, który chce przemawiać imieniem jeśli nie całej, to znacznej części młodzieży przedwojennej.

Należę do pokolenia starszego, obarczonego zatem w pojęciu p. N. kompleksem dzielnicowym i antyzaboreczym, ale choć nigdy ani legionistą ani piłsudczykiem nie byłem, nie uwierzę, by większość młodzieży wychowanej już w wolnej Polsce zechciała wykreślić z jej historii nazwisko Piłsudskiego, a zachować i czcić Żeligowskiego.

Zakończenie listu p. N. jest godne jego treści: „nie czytam pism, które nie odpowiadają moim poglądom”.

Z należnym szacunkiem,

T. DROBNIAK

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Dla kogoś wsłuchanego w głosy realne Zachodu, choćby obcojęzyczne głosy radiowe, jest rzeczą wręcz zastanawiającą w jak wysokim stopniu umiemy nieraz — my Polacy — dyskutować sprawy ważne w ujęciu krótkofalowych definicji, czasem z minionego sezonu, a zarazem w oderwaniu od aktualnych wyraźnych nurtów międzynarodowych.

Ci, którzy wypowiadają się obecnie np. za oddaniem Lwowa, z Wschodnim Podkarpaciem, Podolem i Wołyniem, na rzecz jakiejś wymarzonej przez siebie Ukrainy, zupełnie sobie z tego sprawy nie zdają, że w przekładzie na realny język politycznej rzeczywistości międzynarodowej, ich głos jest zaliczany jako wypowiedzenie się za trwałym pozostawieniem owego rejonu Sowieckiej Rosji.

Dla świata angielskiej mowy bowiem, Ukraina oznacza dziś na ogół jedynie trzecie wcielenie Sowietów z ich trójpostaciowej reprezentacji w Organizacji Narodów Zjednoczonych.

„Głos Ameryki” w swych jakoby bojowych „Ukraińskich Audycjach”, tak się wyraża o narodzie ukraińskim: „Nasza nacja, oden z radiańskich narodów...”

Tożsamo włączenie, już nałogowo, spotkało Ukraińców w nowej amerykańskiej „Radiostacji Wyzwolenia Ludów Sowieckich”.

To wygląda na plan długofalowy.

Moglibyśmy się pocieszać, że Francja, leżąca przecież w Europie, inaczej będzie na to spoglądała. Rozwieją się jednak te nasze złudzenia, gdy choćby zajrzemy do popularnego źródła pojęć, do „Nouveau Petit Larousse”. Czytamy tam: „Ukraine, contré au sud est de la plaine russe... 30.000.000 d'habitants (Ukrainiens). Etat membre de la U.R.S.S....”

Tutaj zatarło się już nawet samo pojęcie istnienia odrębnej narodowości ukraińskiej, jeżeli informacja Larousse identyfikuje narodowość z polityczną przynależnością terytorialną. Nie uwzględnia ona nawet faktu, iż sowieciarska inżynieria demograficzna już zdążyła zredukować element ukraiński w tej „republice związkowej” — fikcyjnie niepodległej — do około 50 procent jej zaludnienia — z obcą warstwą rządzącą.

Istnienie Ukrainy prawdziwie niepodległej mogłoby być dla Polski — oczywiście — bardzo pożądane, podniecanie jednak Ukraińców do walki przeciw Polsce — o Lwów — prowadzi, prostą drogą, ku utraceniu przez nich Kijowa, oraz ku utraceniu szansy niepodległego bytu.

Pokazały to już doświadczenia lat 1918-1920, ku ich szkodzie — i naszej także.

Stanisław Wiktor SZCZEPANOWSKI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę uprzejmie o umieszczenie w Pańskim piśmie następującego oświadczenia.

Od paru miesięcy otrzymuję listy od osób które przez omyłkę spowodowaną jednakowym brzmieniem imienia i nazwiska uważają mnie za p. Michała Pawlikowskiego (z Medyki), autora książki pt. „Dwa Światy”.

W związku z powyższym oświadczam, że nie jestem autorem tej książki i że w wypadkach, gdy zabieram głos publicznie, podpisuję się jak niżej.

Racz przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Michał K. PAWLIKOWSKI
2128 Stuart Street
Berkeley 5, California

Redaktorze,

W artykule „Notatki z Lektury” naszego przyjaciela Miłosza o „Diables de Loudun” Huxley’a w poprzednim numerze „Kultury” czytam:

„...bo Surin padł ofiarą narzuconej sobie ascezy, dlatego nadmiernej, że nie chciał uznać, że do Boga idzie się tylko poprzez (podkreślenie autora) świat, a kto chce sięgnąć do Niego bezpośrednio i w abstrakcji pada często ofiarą tych sił w nim samym, które pokazują język”.

Tylko poprzez ??

Dlaczego tak czujny na treść i odcień każdego słowa Miłosz wypowiada sądy sprzeczne z doświadczeniem paru tysięcy lat mistyki z taką... dezywolturą.

Wyobrażam sobie jakby się dostało za to zdanie Miłoszewi od gwałtownika św. Hieronima (jego listy w Polsce wydane znajdują się w bibliotece „Kultury”), szedł on do Boga „w pustyni kwiatami Chrystusa kwitnącej”, „w samotności rodzącej kamienie”, pisał z zachwytem o mnichach, którzy nawet gdy byli chorzy „przyjęcie czegoś gotowanego uważali za zbytek”. Chyba „asceza nadmierna” dla Miłosza?

Co by powiedział św. Jan od Krzyża przedziwny poeta, męczony przez Inkwizycję za to właśnie, że ze św. Teresą brał udział w walce o *zaostrzenie* reguły Zakonu Karmelitów. Pisał św. Jan, że „dobra Boże przewyższające wszelką miarę mogą być zawarte jedynie w sercu *pustym i samotnym*”. Więc „bepośrednio i w abstrakcji od świata”?

A św. Piotr z Alcantary! Nie śpiąc w ciągu 40 lat więcej niż półtora godziny na dobę, jedząc raz na trzy dni, nie podnosił on nigdy przez te długie lata oczu, tak, iż musiano go prowadzić, gdy go obowiązek gdzieś wzywał. „Był już w tak podeszłym wieku” — pisze o nim św. Teresa — i tak wychudły, że wyglądał jak gdyby był zrobiony z korzeni drzewnych. Mówił mało, odpowiadał jedynie na pytania, ale wtedy rozmowa jego była bardzo przyjemna bo miał u m y s ł u r o c z y” (w tekście francuskim brzmi to „esprit charmant”). Tak więc święty posiadał esprit charmant po czterdziestu latach życia bez snu, o głodzie z opuszczonymi stale oczami. Znowu chyba „nadmierna asceza”?

Cała wielka tradycja ascetyczna buddyjska, pustelnicy tybetańscy, czy pustelnicy egipscy z pierwszych wieków chrześcijaństwa, którzy walczyli z ciałem „znienawidzonym towarzyszem”, tysiące świętych chrześcijańskich, czy choćby Pascal który nawet strawę tak połykał, by nie czuć jej smaku, do współczesnej nam Żydówki francuskiej Simone Weil, która się wprost zamorzyła na śmierć ascezą, czy Amerykanina trapisty i poety Mertona, którego poezje sam Miłosz tłumaczył, wszyscy świadczą, że do Boga można iść nie „t y l k o p o p r z e z”, ale i p r z e c i w ś w i a t u. Ta droga nie jest wcale jedyna, może być obca czy nawet zabójcza dla wielu, ale jakże negować nie tylko jej istnienie, ale i szczyty osiągnięć na tej drodze zdobyte.

Zdanie Miłosza ex cathedra i nieścisłe zarazem jest specjalnie rażące w artykule, gdzie mowa o Huxley’u, bo cały tego pisarza zachwyty (jego pełny wyraz poparty setkami cytat daje on przede wszystkim w *The Perennial Philosophy*) idzie ku ludziom, którzy wybrali drogę całkowitego wyrzeczenia się świata — noc ciemną i bez gwiazd.

Józef CZAPSKI

Szanowny Panie Redaktorze.

Jestem przyjacielem „Kultury”, drukuję w niej, czasami, dzięki Pana uprzejmości, moje artykuły, nie mam więc obawy być posądzony przez Pana o uprzedzenie, lub złośliwość. Z całą więc szczerością wyrażam zdziwienie z powodu umieszczenia przez Pana w majowym numerze „Kultury” artykułu

p. K.A. Jeleńskiego pt. „Notatki o żalobie”. Dla uniknięcia nieporozumienia stwierdzam, że szanuję zarówno prawo pisarza do swobodnego wyrażania swoich idei, jak prawo redaktora do swobodnego wyboru tekstów dla prowadzonego przez siebie pisma. Zgodzi się Pan ze mną jednak, że w najbardziej demokratycznych stosunkach swoboda posiada pewne granice, poza którymi zaczyna się: w działaniu anarchia, w pisaniu — głupstwo. Moim zdaniem artykuł p. Jeleńskiego wykracza właśnie poza granice najszerzej pomyślanej swobody.

A oto uzasadnienie.

Zestawiwszy teksty żalobnych bzdur, popełnionych przez polskich poetów régime’owych po śmierci Stalina, występuje p. Jeleński z nieoczekiwaną tezą, według której grunt pod te bałwochwalcze pienia został przygotowany w niepodległej Polsce. „Ale zarówno za życia, jak po śmierci Piłsudskiego — pisze on — zarysowało się i utrwaliło szereg rysów polskiego charakteru, na które łatwo było przeszczepić obecną formę patosu, służalczości i banału”. Zdaniem p. Jeleńskiego „w moralnym tonie polskim nie tak wiele się zmieniło”, a mówi to, stygmatyzując upodlenie poetów w Polsce komunistycznej. „Czy jest różnica pomiędzy „Strzępami Meldunków” — zapytuje — i wskazaniami Bieruta?”, po czym twierdzi, że tej różnicy nie ma, że jest ten sam ton, „przeznaczony dla idiotów”. Nie widzi różnicy pomiędzy tonem Wasilewskiej i Iłakowiczówny, a w tonie poezji polskiej w okresie niepodległości dopatruje się „półświadomej hipokryzji”.

Widziałem p. Jeleńskiego raz w życiu i zdaje mi się, że w okresie niepodległości był on w takim wieku, że niewiele rozumiał z tego, co się naokoło niego działo. Ale Pan, Panie Redaktorze, był już wtedy człowiekiem uformowanym, kierował Pan pismami, które zwracały na siebie uwagę, czuł Pan atmosferę polskiego życia i wie Pan, na pewno Pan o tym wie, że wywody p. Jeleńskiego są zwykłym urojeniem.

Jest mi dosyć obce dramatyzowanie, a więc i frazeologia, nie mam chęci piętnować kogokolwiek, zwłaszcza młodego człowieka, który może się jeszcze wiele nauczyć, ograniczę się więc do zwykłej logiki. Czy nie zgodzi się Pan ze mną, że zestawiając temat Piłsudskiego w poezji Polski niepodległej z tematem Stalina w poezji Polski ujarzmionej p. Jeleński porównuje zjawiska nieporównywalne? Jak można porównywać holdy, składane wybitnej postaci polskiej przez Polaków, z bałwochwalcstwem wobec zbrodniarza, który Polskę pozbawił niepodległości na korzyść obcego państwa, którego był szefem? Przecież w tym jednym tylko aspekcie zawarty jest cały bezmiar różnicy pomiędzy tonem moralnym w Polsce przedwojennej, a ujarzmionej.

Zażośmy teraz na chwilę, że były to zjawiska porównywalne i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Jak Pan wie, w Polsce niepodległej pisał o Piłsudskim ten tylko, kto chciał. Proszę poradzić p. Jeleńskiemu, żeby zapytał kogośkolwiek z poetów i pisarzy, przebywających na emigracji, czy go kto zmuszał, lub czy mu choćby tylko sugerował pisanie o Piłsudskim? Gdyby p. Jeleński przeczytał uważnie choćby tylko to, co o warunkach pracy pisarskiej w Polsce komunistycznej napisał p. Miłosz, dowiedziałby się, że tam nie było do pomyślenia, aby poeta nie złożył swego haraczu wierszem o Stalinie, że należało to do wypełnienia „normy”, bez której istnienie pisarza nie było możliwe. Bałwochwalcza poezja o Stalinie należy do upodlenia dlatego, że świadczy ona o uległości poety i pisarza wobec przymusu. W Polsce niepodległej nikt nikogo do pisania o Piłsudskim nie zmuszał, a za niepisanie o nim nie przesądzało. Mielśmy poetów i pisarzy, wrogo ustosunkowanych do Piłsudskiego. Żadnemu do głowy nie przyszło napisać wiersz czołobitny dla przypodobania się, gdy w Polsce ujarzmionej musiałby pisać na cześć Stalina nawet poeta, który by go w głębi duszy nienawidził. Poeta, nie piszący o Stalinie, musiałby się zdobyć na heroizm. Poeta, nie piszący o Piłsudskim, nie odczuwał z tego po-

wodu najmniejszego niepokoju i w ogóle nie było to dla niego problemem życiowym. Czy naprawdę „w moralnym tonie polskim nie tak wiele się zmieniło”?

Stalin stał się tematem poezji w Rosji po czystkach w 1938 roku, w Polsce po narzuceniu okupacji sowieckiej, czyli po roku 1945. Był w obydwach wypadkach u szczytu potęgi, przytłaczał grozą swej nieograniczonej władzy i nieludzkich metod, chciał bałwochwalstwa i uczynił zeń jedno ze znamion systemu. Pan, Panie Redaktorze, powinien był wytłumaczyć p. Jeleńskiemu, że Piłsudski wszedł do pieśni żołnierskiej, kiedy był jeszcze stosunkowo mało znanym „ryzykantem”, a do poezji został wprowadzony strofami Mączki, Słońskiego i wielu innych zanim został Naczelnikiem Państwa, zanim pisanie o nim mogło przynosić jakikolwiek zysk, wszystko jedno, moralny, czy materialny. Nazwisko Stalina zostało wymazane z tematów poezji sowieckiej nazajutrz po jego śmierci. Piłsudski żyje ciągle w wolnej poezji polskiej, choć oportunistom zachęcać by się zdawało do przemilczania jego nazwiska. „Strzępy Meldunków” nie były potrzebne gen. Składkowskiemu dla żadnych celów praktycznych, jego kariera, mówiąc bez patosu, już była zrebiona, a książka wyszła w roku 1936. Nie było w Polsce nikogo, nawet wśród najbardziej nieprzejednanej opozycji, kto by powątpiewał o szczerości tego autora. Mówiąc o hipokryzji, choćby tylko półświadomej, w stosunku poetów i pisarzy do Piłsudskiego i porównywując ją z hipokryzją piszących o Stalinie, p. Jeleński dowodzi tylko, że atmosfera życia polskiego w niepodległej Polsce była mu zupełnie obca.

Martwi p. Jeleńskiego łatwość, z jaką „żargon stalinizmu... został przeszczeplony” polskiej prasie i literaturze, wini on za to również nasz charakter narodowy i twierdzi, że byłoby to nie do pomyślenia w Anglii, czy we Francji. Zdaje się, że p. Jeleński mało czytał i mało słyszał o sowieckich metodach opanowywania literatury. Chciałbym go pocieszyć: w razie objęcia władzy we Francji i w Anglii komuniści uporaliby się jakoś z tym zadaniem. Jako próbka, niech posłuży wiersz Aragona o Stalinie w „Humanité”. Prasa francuska wyśmiała go, to prawda. Ale Francja nie jest jeszcze okupowana przez komunistów. Czy p. Jeleński sądzi, że prasa francuska wyśmiałaby Aragona, gdyby w pałacu elizejskim siedział francuski Bierut, a na placu Matignon francuski Radkiewicz?

Mamy w naszym charakterze narodowym wiele wad rzeczywistych, z którymi walka jest wskazana. Nie obwiniamy się jednak wadami, których nie posiadamy. Nie było podłości i hipokryzji w moralnym tonie polskim w okresie niepodległości, choć było może zbyt wiele patetycznego frazesu. Walcząc z konformizmem, nie wpadajmy w mazochizm. Nie wyjdzie to na zdrowie moralne ani nam, żyjącym w warunkach wolności, ani ludziom w kraju, gdyby p. Jeleńskiemu uwierzyli. Nie trzeba współdziałać z régime'm, nawet nieświadomie, w spotwarzaniu polskiego tonu moralnego przed wojną. W jego wysiłkach w tym kierunku walka z nazwiskiem Piłsudskiego odgrywa poważną rolę. Uważam, Panie Redaktorze, że popełnił Pan błąd, drukując artykuł p. Jeleńskiego. Wypowiadam to zdanie z całym przekonaniem, otwarcie i uczciwie, gdyż nie chciałym, aby do naszych stosunków zakradł się cień hipokryzji, choćby półświadomej.

Łączę wyrazy szacunku.

AI. KAWAŁKOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

W ostatnim numerze „Kultury”, P. Jerzy Prądyński ubolewa nad tym, że po Dmowskim, precyzyjnym w swych pismach i po zachodniemu chłodnym w rozumowaniu, nastąpił okres ONR-owskich mgieł, mitów, a czasem wprost łobuzerii, zaś p. A.K. Jeleński ubolewa nad stylem wierności, przeznaczonym dla idiotów i pisze, że „ta forma uległości, półświadomej hipokryzji przeżyła... sanację, czy ślubowania jasnogórskie ONR-ców” i „przeszła na emigrację”. W związku z tym nasuwają mi się pewne uwagi, którymi pragnąłbym się podzielić z czytelnikami „Kultury”.

Wiadomo wszystkim, że w 1938 r. przestałem być członkiem ONR, ale bynajmniej się nie wstydzę ani tego, że należałem do organizatorów Obozu Narodowo-Radykalnego, rozwiązanego w miesiąc po założeniu, (po czym zesłano do Berezki Kartuskiej kilkudziesięciu jego członków), ani też aktualnej jeszcze przynależności do tej, znacznie szerszej grupy pokolenia dorosłego, a jeszcze nie zdziennikarstwa, które p. A.K. Jeleński określa mianem oenerowców.

Zacznijmy od p. Jerzego Prądyńskiego. Czy nigdy nie przychodzi mu na myśl, że różne systemy myśli politycznej dochodzą do formy precyzyjnych konstrukcji wtedy dopiero, gdy już przestają odpowiadać potrzebom życia, gdy stają się raczej hamulcem niż motorem rozwoju myśli i twórczości ludzkiej?

Dmowski precyzyjnie udowadniał w memoriale, złożonym podczas rokowań wersalskich, że Europa Środkowa winna być zorganizowana na zasadach absolutnej suwerenności poszczególnych państw, zaś ONR już w 1937 r. na łamach swego legalnego pisma, jakim było ABC, głosił mit federacji trzech mórz, Adriatyku, Bałtyku, Morza Czarnego. Trochę za późno, ale bądź co bądź wcześniej od niektórych, może zasłużonych, ale świeższej daty federalistów. Precyzyjne myślenie Dmowskiego nie pozwoliło mu dostrzec konieczności radykalnych zmian ustroju społeczno-gospodarczego Polski, które z mgieł ONR-wskich wznosiły się już wcale wyraźnym konturem, zanim doszło do września 1939 r.

Wrzesień ten był dokładnie przewidziany przez zespół pięciu warszawskich dziennikarzy gospodarczych, którzy zbierali się na poufne konferencje, szukając dróg uświadomienia opinii o groźącym niebezpieczeństwie. W zespole tym było dwu oenerowców, z których jeden zmarł w obozie koncentracyjnym, drugi żyje na emigracji, choć (jak wyżej powiedziano) do ONR nie należy. Oni właśnie byli inicjatorami współpracy. Dwóch innych uczestników również zmarło. Jednym z nich był zmarły niedawno były więzień obozu oświęcimskiego dr Stefan Surzycki, drugim sprawozdawcą rządowej „Gazety Polskiej” Bohdan Witwicki, zmarły na emigracji. Piąty... wydaje mi się, że p. Jerzy Prądyński wie, kto był piątym i że przypomniał sobie, iż dla jego (chętnie przyznaję — odważnych) artykułów szukał miejsca w piśmie wydawanym przez... ONR-owca, nie mogąc ich drukować w „Polsce Zbrojnej”, w której pracował. Oddajmy każdemu żywemu i umarłemu, co mu się należy i nie mówmy — tu przechodzę do p. Jeleńskiego — o uległości. ONR był objawem braku uległości wobec przebrzmiałych autorytetów ludzkich. Chętnie przyzna się do uległości, wynikających ze ślubowań jasnogórskich, gdyż w niej właśnie znakomita większość Polaków czerpała siły do nieugiętości na innej płaszczyźnie. Znam lekarza ONR-ca, któremu Niemiec, wyznaczając stanowisko w dzielnicy żydowskiej w 1940 r. powiedział w Warszawie:

„Znam pana przeszłość i mam nadzieję, że będzie pan wiedział, co ma pan robić. Lekarz odparł: „Wiem. To co nakazuje mi moja religia i moja etyka lekarska wobec każdego człowieka”. W 3 miesiące później lekarz ten zmarł w Mauthausen za dopełnienie ślubowań jasnogórskich, jak tyłu, tyłu innych.

Właśnie w przełamaniu rozmaitych „precyzji”, na których zaciążyły przebrzmiałe doktryny, polegała istota ruchu ONR-skiego. Nieuchronnym następstwem odrzucenia tych precyzji było stosowanie zasad „jasnogórskich” wobec *wszystkich* ludzi. Procesu tego, będącego w toku, nie dostrzegano. Za to, wracając do p. Prądzyńskiego, mówi się tylko o wystąpieniach antyżydowskich („łobuzeria”). Rekomenduję pp. Jeleńskiemu i Prądzyńskiemu zapoznanie się z tym, co na temat przyczyn tzw. antysemityzmu w Polsce pisali pisarze żydowscy tj. ze znanych mi Hannah Arendt, Zabotyński, Manes, Frommer i inni.

Przychodzi mi na myśl, że polski infantylizm przejawiać się może także w służalczym powtarzaniu za innymi całkowicie błędnych sądów. Ta forma umysłowej niesamodzielności pociąga za sobą przyklepanie stempelka „Oenerowskiego” bez sensu do wszystkiego, a także w powracaniu do zalecanych przez mądrych starców różnej maści anachronizmów.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Wojciech ZALESKI

P.S. Jeszcze co do precyzji myślenia. W tym samym numerze „Kultury” filozof hiszpański José Ferrater Mora wymienia tych Polaków, którzy dokonali podziwu godnych rzeczy w dziedzinie logiki. Wśród nich 2 oenerowców. Nic dziwnego więc, że do tezy p. Prądzyńskiego o mgłach oenerowskich odniosłem się z pewną dozą dobrego humoru.

SPROSTOWANIE

Tytuł artykułu Jana Ulatowskiego w zeszycie kwietniowym „Kultury” powinien brzmieć: „Prawda i konwenans”.

Autorem artykułu pt. „Nazwy ukraińskie w Kanadzie”, zamieszczonego w numerze majowym jest A. VINCENZ a nie J. Torosiewicz,

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

A l'occasion de la publication du premier volume de ses mémoires « Idéal vécu », le général WEYGAND nous a accordé une interview consacrée aux questions polonaises. Le général nous parle de la bataille de Varsovie de 1920, des impressions que lui ont laissées des personnalités polonaises telles que Pilsudski, Haller, Paderewski, Sikorski, Sosnkowski. Il commente l'apport militaire français en 1939 par rapport à l'alliance militaire franco-polonaise et regrette que le commandement français n'ait pas tiré plus de profit de l'expérience contenue dans la campagne de septembre en Pologne.

En disant que la Pologne n'a pas d'intérêt à la conclusion d'un nouveau Locarno, le général Weygand estime que le monde libre devrait encourager les exilés d'Europe centrale et orientale à entretenir par tous les moyens leurs sentiments nationaux et à maintenir leurs cultures.

Witold GOMBROWICZ parle de Henri Sienkiewicz, l'écrivain polonais auteur de romans historiques qui influencèrent toute une génération. Plus d'une génération, nous dit Gombrowicz. Il voit en Sienkiewicz le créateur (ou plutôt le popularisateur) d'un « type », incorporé comme idéal dans le subconscient des Polonais. Il déplore la superficialité, la facilité, l'irresponsabilité de cet idéal et nous le présente comme entrave à tout développement profond.

Michał SAMBOR conteste, dans « Littérature en exil », la validité d'une excuse que nous entendons souvent : « Les conditions difficiles » de la vie en exil seraient responsables d'une pénurie littéraire... Il présente la solitude de l'écrivain exilé dans ses possibilités de stimulation.

Jan ULATOWSKI nous parle, dans « Quelle Réalité ? », du brillant essayiste polonais Bolesław Micinski, mort prématurément pendant la guerre, et de Czesław Miłosz. L'équilibre social et politique n'est possible qu'en fonction de l'équilibre intérieur de l'homme, nous dit-il en conclusion.

Le savant slaviste d'origine russe Roman JAKOBSON, professeur à l'Université de Harvard, nous donne un ample panorama de l'influence tchèque dans la littérature polonaise médiévale.

En s'appuyant sur les plus récentes données économiques de la Pologne et de la Tchécoslovaquie, Jan WSZELAKI nous parle de la nécessité de préparer un « Plan Schuman » pour l'Europe centrale et orientale.

Jan HOLCMAN analyse, dans un essai musicologique, l'influence exercée par la musique de Chopin sur les compositeurs modernes, sur Prokofieff, Bartok et Schoenberg en particulier.

La section littéraire contient une poésie de Czeslaw MILOSZ, « L'Enfant de l'Europe », et un extrait du dernier roman de Czeslaw STRASZEWICZ, « La Souricière de la rue Ziemowite ». Straszewicz, écrivain exilé habitant l'Uruguay depuis la guerre, nous y donne une image intuitive, vivante et paradoxale de la vie en Pologne d'aujourd'hui.

Melchior WANKOWICZ et Zdzislaw PESZKOWSKI traitent des aspects différents de la vie des émigrés polonais aux Etats-Unis.

Y a-t-il des « neutralistes » parmi les exilés polonais ? Juliusz MIEROSZEWSKI nous en présente trois catégories différentes : la première, « géopolitique », la deuxième, soupçonneuse d'une alliance imminente américano-soviétique, et finalement la troisième, « intellectuelle ».

Włodzimierz BACZKOWSKI tâche d'établir un bilan politique international depuis la mort de Staline. Le bilan lui semble favorable aux soviétiques.

Dans l'abondante chronique littéraire, il faut noter l'article du grand philosophe allemand Karl JASPERS sur le livre de Czeslaw Milosz, « La pensée captive », dont la traduction française paraîtra bientôt.



2 HOGARTH ROAD,
LONDON S. W. 5,
ENGLAND

PACZKI DO POLSKI

DOBRE, SZYBKIE I TANIE

Pełne Ubezpieczenie

LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Piszcie Po Cenniki 100 Popularnych
Paczek Największego Polskiego Domu
Wysyłkowego w Europie.

HASKOBA LTD.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz

Dépôt légal : 2^e trimestre 1953

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg ...	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires ...	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney ...	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vandrekindere, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20 ...	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Walery Bader, Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo; Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana ...	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-IV ^e ...	150 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Marcil, N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; Stan. L. Lemański, 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; H. R. Radomski, 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; Stanisław Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec” (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. W., Toronto/Ont. ...	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin. ...	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone; St. Mikiciuk, Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54 ...	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue lhberg, Genève, Tél. 2-32-2 ...	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärgatan 3/IV, Stockholm ...	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Melvin ...	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 6 5, Henry St., Utica, N.Y.; L. Dudarew-Jasetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleszczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; M. Szyrowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14 Michigan; S. Sokolowski, 856 E. Stiles St Philadelphia 37, Pa. ...	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11 ...	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632. ...	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, dołączając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.
Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; 1/2 strony 6.000 fr. fr.

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Ukazały się dotychczas następujące tomy :

- T. I. WITOLD GOMBROWICZ **TRANS-ATLANTYK I ŚLUB**
Cena 600 frs. (12 sh., \$ 2,00)
- T. II. GEORGE ORWELL **ROK 1984**
Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,75)
- T. III. CZESŁAW MIŁOSZ **ZNIEWOLONY UMYŚL**
Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,75)
- T. IV. JAMES BURNHAM
BIERNY OPÓR CZY WYZWOLENIE ?
Cena 600 frs. (12 sh., \$ 2,00)

W przygotowaniu :

- T. V. CZESŁAW MIŁOSZ **ŚWIATŁO DZIENNE Poezje**
Cena 350 frs. (7 sh., \$ 1,00)

ZESZYTY KRAJOWE "KULTURY"

ENCYKLOPEDIA WIEDZY O KRAJU

- T. I. **RAMY ŻYCIA W POLSCE, Cz. 1-sza**
*Institucje polityczne. Wymiar sprawiedliwości. Rodzina. Szkolnictwo.
Ruch wydawniczy. Życie gospodarcze i zawodowe*
Cena 750 frs. (15 sh., \$ 2,25)
- T. II. **RAMY ŻYCIA W POLSCE, Cz. 2-ga**
*Nowa Konstytucja. Partia i stronnictwa. Armia. Reglamentacja
twórczości artystycznej. Państwowy i prywatny przemysł i handel.
Rzemiosło.*
Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,75)
- T. III. **SOWIETYZACJA KULTURY W POLSCE**
*Nowe wytyczne filozofii. Teoria i historia literatury. Nauki społeczno-
ekonomiczne. Biologia. Literatura piękna*
Cena 800 frs. (16 sh., \$ 2,30)
- T. IV. **STRUKTURA GOSPODARSTWA POLSKIEGO**
*Zdrowotność i dynamika populacyjna. Kadry pracowników. Surowce
i energetyka. Rolnictwo. Hutnictwo i przemysł metalowo-przetwórczy.
Przemysł chemiczny. Przemysł elektrotechniczny. Przemysł włókienniczy.
Przemysł rolniczo-przetwórczy. Transport. Handel zagraniczny.*
Cena 800 frs. (16 sh., \$ 2,30)
- T. V. **SYTUACJA KOŚCIOŁA W POLSCE**
Młodzież i szkolnictwo
Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,50)